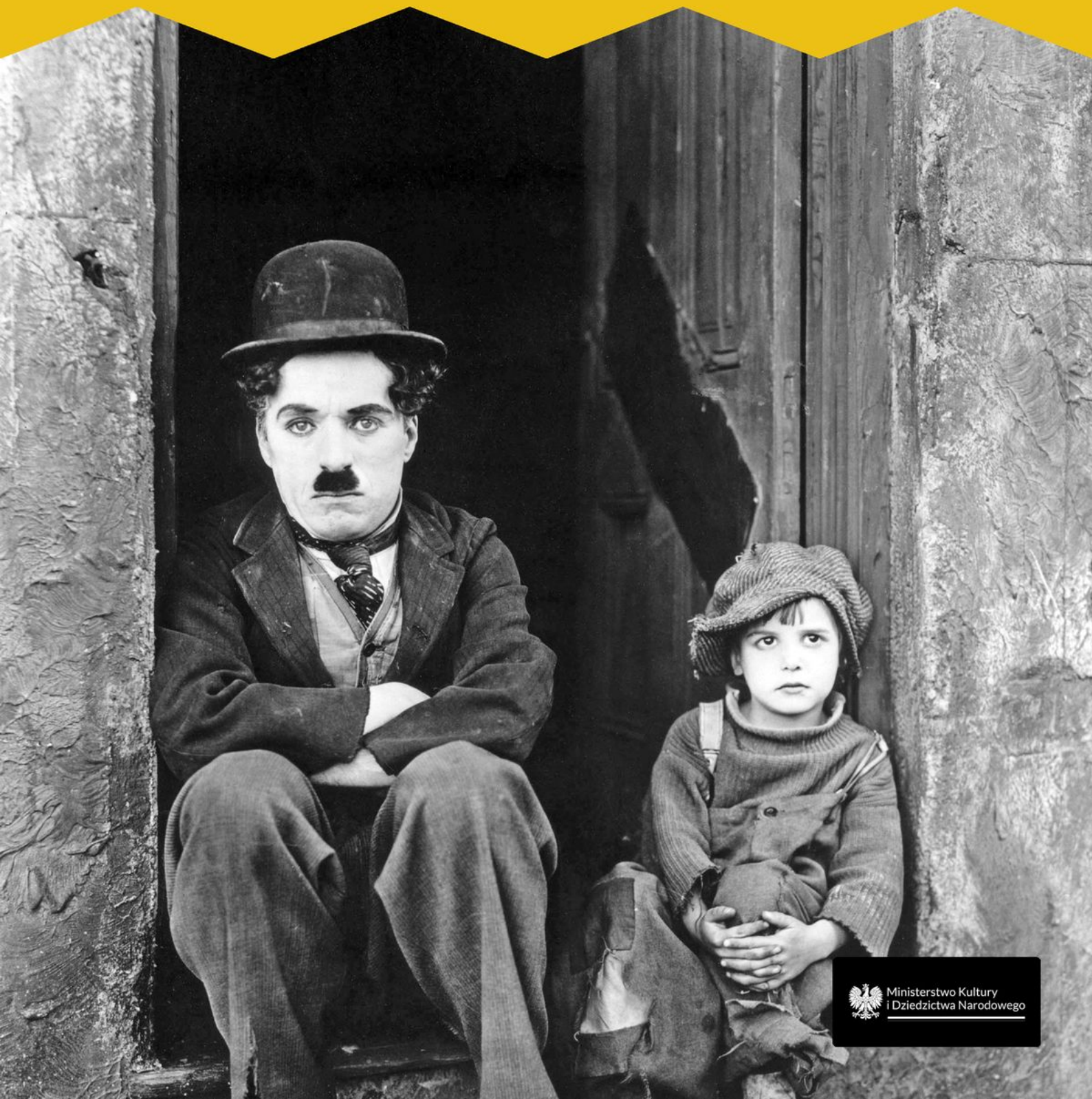


# Raj amerykański. Część druga



EGON ERWIN KISCH

# Raj amerykański

CZĘŚĆ DRUGA

TŁUM. E. GRODZKI

## JEJ KRÓLEWSKA MOŚĆ GUMA DO ŻUCIA

Fabrykanci gumy do żucia twierdzą: pierwotni mieszkańcy Ameryki Środkowej podczas swych polowań trzymali w ustach żywicę drzewa sapotylli<sup>1</sup> (*Achras zapota*), aby pobudzić wydzielanie się śliny i przemóc w ten sposób pragnienie.

Interes, Handel

To twierdzenie jest niezgodne z prawdą. Prawdą jest za to, że podobnej uwagi nie znajdzie się w żadnym opisie hiszpańskich konkwistadorów<sup>2</sup> i że właśnie w tych okolicach, gdzie rośnie ten gatunek sosny<sup>3</sup>, żująca zaraza nie znalazła do dziś dnia ofiary.

Prawdopodobniejsza jest inna historia jej powstania. Pewien kupiec w Nowym Jorku otrzymał z Meksyku ładunek okrętowy tej żywicy z żądaniem przerobienia jej na gumę. Było to jednak niemożliwe, gdyż materiał okazał się niepodatny. Co trzeba było zrobić z przesyłką? Odbiorca — chyba ten Mr. Thomas Adams<sup>4</sup>, którego przemysł gumowy pragnie obdarzyć mianem największego dobroczyńcy narodu — był zwolennikiem amerykańsko-teologicznego poglądu na przyrodę.

„Ryż rośnie w Chinach — rozumował Jankes<sup>5</sup> — nie dlatego, że Chińczycy chętnie go jedzą, lecz dlatego, że w Chinach rośnie ryż, stał on się narodową potrawą Chińczyków; nie dlatego trafiają się w Antarktyce<sup>6</sup> białe niedźwiedzie i psy morskie, ponieważ Eskimosi chętnie odziewają się w ich futra i smarują tranem, lecz na odwrót.

Moda, Interes

A zatem — myślał Mr. Thomas Adams z właściwą mu bystrością — Amerykanie będą musieli pożerać moją żywicę po prostu z tej przyczyny, że jest ona na miejscu”.

Będą musieli! A od czegoż reklama? W połowie zeszłego stulecia zaczęły ukazywać się krzykliwe plakaty.

Żucie tabaki jest trujące i niehigieniczne!

Żucie *chiclegummi*!

Guma do żucia oczyszcza zęby!!

Guma do żucia dezynfekuje jamę ustną i podniebienie!!!

Guma do żucia czyni zęby śnieżnobiałymi!!!

Kto żuje *chicle*, ma w krótkim czasie przyjemny zapach z ust!!!

<sup>1</sup>sapotylla a. *sapodilla* (*Manilkara zapota*) — także: pigwica właściwa, sączyńiec właściwy; gatunek wiecznie zielonego drzewa z rodziny sączyńcowatych (*Sapotaceae*); w jego korze, gałęziach i młodych owocach znajduje się sok mleczny zawierający 25–50% gumy (lateksu) zw. „chicle”, służącej do wyrobu gumy do żucia; materiał ten pozyskuje się z roślin dziko rosnących, gł. w Meksyku i Gwatemali. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>hiszpańscy konkwistadorzy — uczestnicy hiszpańskich wypraw mających na celu podbicie Ameryki Południowej i Środkowej, prowadzonych w XV–XVI w. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>ten gatunek sosny — sapotylla nie jest sosną, lecz należy do rodziny sączyńcowatych (*Sapotaceae*), z rzędu rzędu wrzosowców (*Ericales*). [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Adams, Thomas (1818–1905) — fotograf ze State Island, zainspirowany przez meksykańskiego generała, który miał w zwyczaju żuć kawałki *chicle*, wyprodukował pierwszą gumę, używając tego surowca; pierwsza partia trafiła do sprzedaży w lutym 1871 r. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Jankes — żartobliwe określenie Amerykanina, osoby pochodzącej z płn. części Stanów Zjednoczonych; używane gł. w znaczeniu negatywnym, pogardliwym. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Antarktyk (z gr. *antarktikos*: naprzeciw północy) — Antarktyka; obszar leżący na południowej półkuli kuli ziemskiej, obejmujący kontynent Antarktydy oraz wody Oceanu Południowego wraz z otaczającymi go wyspami. [przypis edytorski]

Guma do żucia sprzyja trawieniu — a przeto po każdym posiłku guma do żucia!!!

Chcesz być zdrowy i piękny? Żuj więc gumę!!!!

Któż nie zechciałby być zdrowy i piękny? Dojrzała Ameryka powróciła do żucia gumy.

Przy intymnych stosunkach, jakie zachodzą w Ameryce między przedsiębiorcami i urzędami, można uznać za pewnik, że zakaz palenia w tramwaju i w kolejce podziemnej (tak, podobnie jak w Berlinie, nawet w niektórych kinach i bibliotekach palenie jest wzbronione) został zarządzone przez przemysł gumowy. Automaty są na miejscu: wrzuca się cent, wypada kawałek gumy, który starczy do dwudziestego przystanku.

Wszystko żuje. W latach dziewięćdziesiątych<sup>7</sup>, gdy wykryto wszechobecność bakterii, a jednocześnie stała się modna wiara w zdrowotne działanie mięty, powstała ruchawka<sup>8</sup>. Pośpiesznie domieszano tej substancji do gumy do żucia i uchodziła ona za zabójczą dla bakterii.

Główna przyczyna tego leży w amerykańskim charakterze narodowym, który ma skłonność do gorączkowo pracowitego próżnowania. Wciąż coś się robi, a nic się nie dzieje, jest się szalenie zajęтым, a nie pracuje się, rozpętane są wielkie prądy, ale wszystko zostaje po dawnemu, o *headlines* — ogromnych tytułach artykułów wszystkich gazet — dziś rozprawia się namiętnie, aby jutro zupełnie o nich zapomnieć.

Człowiek w subwayu<sup>9</sup> lub na promie rozmawia o czymkolwiek z przyjacielem, czyta przy tym w gazecie o czymś zupełnie innym, myśli zapewne o czymś innym jeszcze, może o krzyżowce, którą rozwiązuje, wyciąga do czyszciciela butów nogi i żuje gumę, aby zęby i język oswobodzić w ten sposób od nieczystości.

W automatycznych restauracjach nowojorczyki pochłaniają posiłek w ciągu pięciu minut, aby potem godzinami gryźć i ssać lasy amerykańskie.

Przy gryzieniu lukrecji, przy żuciu betelu<sup>10</sup> czy tabaki, przy łuskaniu słonecznika czuje się smak. Smak gumy do żucia zatrafi się po minucie i przez resztę godziny pozostają w ustach kleiste kłaczki.

Wytwarzanie gumy do żucia jest narodowym pomysłem USA. Wzrósł on zwłaszcza od wojny światowej; jako żołnierz podczas marszu i na warcie przyzwyczaił się Amerykanin do żucia i zdobył dla tej czynności całe połacie Europy. Podczas gdy przed wojną jedynie 74 fabryki z personelem 2689 osób, a wynagrodzeniem rocznym 1 648 000 dolarów przerabiała surowiec wartości 320 000 dolarów na produkt wartości 17 159 000 dolarów, dzisiaj płaci konsument już 150 milionów dolarów rocznie, chociaż liczba fabryk i personelu nie wzrosła nawet w przybliżonym stosunku. Wszystko bowiem wytwarza się maszynowo.

W olbrzymich halach fabrycznych American Chicle Company na Long Island widzi się tylko niewielu ludzi i tylko przy wysyłce i w salach kontrolnych pracują setki kobiet, które są zawsze tańsze od najtańszej maszyny, w białych kitlach i białych czepkach, przy biegnących wstęgach.

Laboratorium nie można oglądać. Pozostaje tajemnicą otrzymywanie smaku ananasa, cytryny, pomarańczy i olejku goździkowego, tak jak i barw.

Poza tym walczy się o zdobycie tajemnicy syntetycznego fabrykowania surowca. Gdyby w 1914 roku wojenny konflikt z Meksykiem spowodował to straszliwe niebezpieczeństwo, Ameryka mogłaby pewnego dnia zostać bez gumy do żucia.

Próba ze sprowadzoną z Borneo żywicą „*pontianac*”<sup>11</sup> zawiodła tak samo, jak próby sztucznej fabrykacji *chicle*.

Wiarogodnym się też staje twierdzenie pewnego socjalistycznego członka kongresu, że imperialistyczne zapędy Stanów Zjednoczonych na Meksyk były inspirowane przez Mr. Wrigleya i pozostałych fabrykantów gumy do żucia.

<sup>7</sup>w latach dziewięćdziesiątych — chodzi o lata 90. XIX w. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>ruchawka (pot.) — zamieszki, niepokoje społeczne. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>subway — daw. nazwa przejścia podziemnego a. metra. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>betel — używka popularna od starożytności w Azji Południowej i na Dalekim Wschodzie, składająca się z liści pieprzu żuwego oraz zawierająca nasiona palmy areki. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>żywica „*pontianac*” — najpewniej żywica pochodząca z regionu Pontianac na Borneo. [przypis edytorski]

Czyn

Jedzenie, Obyczaje

Praca, Kobieta, Pozycja społeczna, Robotnik

Kolonializm

---

Tymczasem dostawcy surowca są jeszcze cudzoziemcami, nazywają się „*chicleros*” i żyją w meksykańskich lasach sosnowych z nacinania nożami kory drzew, zbierania żywicy wypływającej dla zasklepienia rany, którą po opakowaniu w jutę wysyłają okrętami.

Przyszła guma do żucia leży oto w Long Island City. Każdy kawałek podobny jest do pnia drzewa i zawiera dokładnie tyle ciężkich odpadków, ile można było wepchnąć do krzepnącej żywicy, aby otrzymać jak największy przyrost wagi.

Oczyszczona z nich, pocięta na niewielkie kawałki, sprasowana, stopiona w płyty i filtrowana, spływa żywica o piętro niżej, gdzie stoją mieszadła — co wygląda bardzo dziwnie — nie amerykańskiego pochodzenia, lecz z firmy Werner Pfeleiderer, Cannstatt — Stuttgart.

Powietrze w tej hali jest ciężkie i przesycone słodyczą pyłu cukrowego. Do *chicle* dodaje się drobnoziarnionego cukru, masy o różnych smakach i olejków o różnych zapachach, odróżniających poszczególne gatunki. Praca przy rozżarzonych rynnach, odrywanie bryłek z walców i nowa obróbka masy jest bardzo ciężka; nie wykonują jej Amerykanie, lecz Włosi i Żydzi.

Owoce tej pracy jest ciasto. Posuwa się ono automatycznie dalej przez sale ze sztucznym powietrzem o określonej ciepłocie i gęstości, przez maszyny, krojące formy, gdzie staje się ono przyzmatami, pałeczkami i kulkami.

Dwieście pionowych rynien, czynnych w *Coating department*, który w niemieckiej fabryce gumy do żucia nosiłby nazwę „Oddział drażetek” (autor zna to z przemysłu pralinek).

Na ścianie wiszą tablice z „rekordami” poszczególnych robotników — fabrykanci starają się wyteżoną pracę, wykonywaną dla ich korzyści, przedstawić jako wyczyn sportowy.

W ruchomych rynnach podskakują kule, w niektórych nieobrobione przyzmaty. Ocierają się o siebie, przylegają, uderzają, aż stają się gładkie, polerowane i błyszczące.

Te kształtne kawałki o różnobarwnych odcieniach są zatem identyczne z trójgraniastymi belkami, które przybyły z Meksyku. Wkrótce zaś staną się identyczne z kleistą bryłką, którą jakiś chłopak rzuca pod krzesło, ssąc ją przedtem godzinami w ustach.

Tak zachęcająco, niewinnie i nęcąco wyglądają będące w sprzedaży kuleczki, sześcianki i pastylki. Są już gotowe i toczą się jedne za drugimi w salach pakowania, wysyłki i ładowania, gdzie maszyny pracują indywidualnie i różnolicie, ludzie zaś mechanicznie i jednostajnie.

## NOCNY SĄD

— Zdaje mi się, że jeszcze teraz jesteście pijani.

— Nie piję nigdy, *sir*.

— Proszę powiedzieć: Konstantynopol.

— Kolstantip — Konstaltinkopel.

— Czy byliście kiedyś karani?

— Nie, *sir*.

— Uznają was za winnego.

---

— Stałem właśnie na Lexington Avenue, kiedy przyszedł policjant z tą panią i zaprowadził mnie tu.

— Panie sędzio, ten człowiek prześladowuje panienkę z naszego sklepu swymi propozycjami miłosnymi. Cały dzień sterczy przed wystawą, handlujemy konfekcją damską, i gapi się w okno. Nasze klientki to krępuje.

— Jeśli jeszcze raz zajrzycie do sklepu, dostaniecie trzydzieści dni.

---

— Zatrzymałem tego człowieka, bo wciąż zaczepiał przechodniów na Madison Square.

— Czy byliście karani?

— Nie, wielmożny panie.

— Uznają was za winnego.

---

— Mam piekarnię na Walker Street. Dziś około piątej po południu rzucono dwa kamienie, które stukły obie szyby. Wybiegam i widzę uciekających chłopców. Jeden z nich — ten właśnie — został i poszedł mi spokojnie naprzeciw. Zatrzymałem go, a moja żona sprowadziła policjanta.

— Ile masz lat?

— Szesnaście.

— Dlaczego stukłeś szybę?

— Nie mam z tym nic wspólnego, nie znam tych chłopców, którzy przebiegli obok mnie. Poszedłem po tytoń do fajki dla mego ojca.

— Chcesz zostać zaprzysiężony?

— Tak, panie sędzio.

— Wstań, podnieś rękę i powtarzaj za mną przysięgę.

— *...so help me God*<sup>12</sup>.

— Czy jest tu twój ojciec?

— To ja, panie sędzio. Jest tak, jak mówi mój syn.

— Jeśli chłopak jeszcze raz będzie choćby podejrzany o stłuczenie szyby, pójdzie na trzy lata do domu poprawczego. — (do oskarżonego) — Jesteś wolny.

---

— Sprzedawał zabawki na Dworcu Centralnym. Spytałem go o pozwolenie, odpowiedział, że na Boże Narodzenie nie trzeba pozwolenia.

— Uznaję was za winnego.

---

— Przychodzi przed godziną pijany do domu i rzuca we mnie garnkami. Posłałam córkę po policję.

— Nie, *sir*. Przychodzę właśnie po pracy do domu...

— Z pracy, ty kłamczuchu!

— Proszę się uspokoić!

— I ta kobieta, która jest moją żoną, mówi do mnie, że jestem synem suki i jeszcze coś w tym rodzaju. Rzuciłem w nią czymś!

— Uznaję was za winnego.

---

— Ten człowiek — (ślepy Murzyn) — zebrze codziennie w kolei podziemnej między Bowling Green i South Ferry.

Przedstawiciel magistratu:

— Był 41 razy karany.

— Trzydzieści dni.

---

W ten sposób i w tym tempie *guilty, not guilty*<sup>13</sup>, idzie przez całą noc, pięćdziesiąt do trzystu spraw, w sobotę jeszcze więcej.

Najwyższa ilość: 495 przez noc, 33000 przez rok.

Uznany za winnego zostaje zaprowadzony do oddziału daktyloskopijnego, gdzie sprawdza się w kartotece, czy i jak często był karany. Później sprowadza go się do sędziego, który mu wymierza karę.

Na zewnątrz, w wielkiej klatce czekają aresztowani, podnieceni sprawą i wstrząśnięci skazaniem. Świadkowie ze zdenerwowaniem na twarzach siedzą w sali. Policjanci dostarczają wciąż nowych aresztantów, przed domem czekają „zielone Minny”<sup>14</sup>, tutaj zwane „Black Maria”.

Przywiozły one oskarżonych i uwożą skazanych. Tych, co dostali mniej niż pięć dni, do Seventh District Prison na wschodniej połowie 53 ulicy. Skazanych na nieokreślony przeciąg czasu lub do sześciu miesięcy, lub na pięć miesięcy 29 dni (co jest gorsze od

---

<sup>12</sup>*so help me God* (ang.) — tak mi dopomóż Bóg. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*guilty, not guilty* (ang.) — winny, niewinny. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*zielone Minny* — nazwa karetek więziennych. [przypis tłumacza]

najwyższego wymiaru sześciu miesięcy, gdyż przy tym odpada ewentualne obniżenie kary o 5 dni w miesiącu za dobre sprawowanie się) w dół na piekielną Wyspę Pomyślności. Małoletnich do Reformatory Prison na wyspie Hart.

W Brooklynie urządza nocny sąd tylko dla kobiet, w Nowym Jorku sędzi się kobiety i mężczyźni, którzy tegoż dnia po czwartej popołudniu zostali podejrzani o drobne wykroczenia, podlegające kompetencji niższego sądu kryminalnego. Nocna sesja jego zwie się *Night Court* i ma liczną klientelę: pijanych i prostytutki, rzemieślników oskarżonych o zatrudnianie dzieci, dyrektorów teatrów, przez których wystawiony utwór skierował zgorzonego widza z widowni do policji (reżyserka Mae West<sup>15</sup> dostała dziesięć dni aresztu za sztukę *Płeć*); gospodarzy, w których domu uprawiano prostytucję; chłopców zamieszanych w bójkę; kupców za nieuczciwą konkurencję; rodziców nieposyłających dzieci do szkoły; ludzi, którzy przekroczyli przepisy o ruchu ulicznym, którzy splunęli w kole powietrznej, popełnili kradzież na sumę poniżej 100 dolarów, żebrali lub zajmowali się handlem ulicznym bez pozwolenia, spowodowali u kogoś lekkie uszkodzenie ciała, przeskrobali coś takiego, jak to biedni ludzie, którzy nie mogą sobą pokierować i dlatego są sądzeni<sup>16</sup>.

Każdy oskarżony może zrzec się przysięgi albo uchylić od zeznania jako świadek, jeśliby to dla niego było kłopotliwe. Obecny zawsze przy tym jest urzędnik magistracki, „*bridgeman*”, aby monotonnym głosem pouczyć oskarżonych o zasadach prawnych, że mogą wezwać świadków i natychmiast ich sprowadzić, mogą wziąć obrońcę lub zażądać odłożenia sprawy do dnia następnego.

Uniewinniony nie traci dzięki nocnemu wymiarowi sprawiedliwości dnia roboczego i nie ma zatargu z pracodawcą, uznany za winnego może dzięki nocnemu sądowi stracić swą nieskazitelność, rok życia, a często mieć złamaną karierę życiową. (Srożąc się o północy sprawiedliwość powinna wydawać tylko wyroki uniewinniające, naznaczać kary pieniężne lub ostrzeżenia, wszystkie zaś inne kary przekazywać właściwym sądom — wtedy miałyby jakiś cel społeczny).

Poniżej, obok i naprzeciw budynku sądowego widać oświetlone szyby: kancelarie adwokatów. Za pomocą reklam świetlnych obwieszczają oni, że za każdego mogą złożyć żadaną kaucję. Ich przedstawiciele — często są nimi własne małżonki — zbliżają się do ludzi wchodzących do sądu dla zyskania klienta.

— *Somebody in trouble*<sup>17</sup>? — „czy ma pan nieprzyjemności?” — zapytuje, aby rozpocząć rozmowę.

Reporterzy siedzą w sali. Ale jeśliby nawet udało im się pochwycić coś niezwyklego z biegnącego pasa sprawiedliwości — dla wydawcy sensacja z nocnego sądu nie jest sensacją godną Nowego Jorku i rzuciłby tę wzmiankę do kosza.

Małymi człowieczkami są tutaj adwokaci, reporter, oskarżony i sędzia, który jest wszechmocny.

## SAMIUTKI W FILADELFI

Doktor Becker znajduje się po raz pierwszy w mieście, zamieszkałym przez miliony ludzi, z których nie zna nikogo, nikt nie zna jego, ba, nie mógłby nawet nikogo odwiedzić lub powołać się na kogoś lub na coś. Nie jest to zbyt przyjemne i napełnia doktora Beckera specyficznym poczuciem samotności i obcości.

<sup>15</sup>Mae West, właśc. Mary Jane West (1893–1980) — amerykańska aktorka teatralna i filmowa, piosenkarka, dramatopisarka, scenarzystka i komiczka; szczyt jej popularności przypadł na lata 30. XX w., jednakże ostatni raz zagrała w filmie *Sextette* (1978); słynęła ze skandalizujących ról i swobodnego trybu życia, przelamywania tabu (szczególnie dotyczących seksualności) w swoich sztukach teatralnych oraz w życiu; była symbolem seksu; w kinie zadebiutowała w *Night After Night* (1932), największym sukcesem stał się film *Nie jestem aniołem* (*I'm No Angel*, 1933); wspomniany przez Egona Kischę skandal wiąże się z pierwszą napisaną i wyreżyserowaną przez Mae West sztuką teatralną pt. *Sex* (1926), w której zagrała swą pierwszą rolę broadwayowską: aktorkę oraz resztę obsady aresztowano i postawiono przed sądem pod zarzutem obrazy moralności, a w kwietniu 1927 Mae West została skazana na 10 dni więzienia, wyrok skrócono ze względu na dobre sprawowanie, sprawa nadała jej rozgłos i zapewniła rozwój kariery jako aktorki i autorki tekstów scenicznych (m.in. *The Drug* z 1927 r., poruszająca temat miłości homoseksualnej, *Diamond Lil* z 1928 r., sukces komercyjny na Broadwayu). [przypis edytorski]

<sup>16</sup>biedni ludzie, którzy nie mogą sobą pokierować i dlatego są sądzeni — w oryginale gra słów *richten*: kierować, sądzić. [przypis tłumacza]

<sup>17</sup>*Somebody in trouble* (ang.) — ktoś ma kłopoty. [przypis edytorski]

Aby zaznajomić się z tym miastem, Filadelfią, w którym nie zna nikogo, niczego, czyta na tramwajach nazwy stacji końcowych i ogląda widokówki. Z pierwszych wylania się przystanek o nazwie Delaware River Bridge, z czego wnioskuję, że miasto leży nad Delaware. Widokówki pouczają, względnie przypominają mu, że Filadelfia wraz z Pensylwanią została założona przez Williama Penna, że tutaj nastąpiło ogłoszenie niepodległości Ameryki i że poza najbardziej czczonym człowiekiem Ameryki, a mianowicie Jerzym Waszyngtonem, działał tutaj drugi najbardziej szanowany bohater narodowy, mianowicie Benjamin Franklin<sup>18</sup>. Posiadają oni pomniki, odtworzone na widokówkach, zaś pomnik Williama Penna stoi też na dachu ratusza.

Istnieje również zgodnie z widokówkami Independence Hall i doktor Becker, zadowolony, że istnieje coś, o co może się zapytać, udaje się tam. Z jego hotelu na Chestnut Street (zawdzięcza go czarnemu tragarzowi) ma tylko parę kroków do budynku mającego takie znaczenie dla niego i dla historii ludzkości.

Po drodze zatrzymał się jednak, skuszony przez tablicę z napisem, który głosił: „*The Drs. La Grange and Jordan European Museum; established in Philadelphia in 1858, open daily, except Sunday, for gentlemen only*”<sup>19</sup>. Doktor Becker wszedł i znalazł się w *panopticum*<sup>20</sup>.

Na człowieka, który, jak wzmiankowano na wstępie, nie podejrzewał w milionowym mieście istnienia nawet jednego znajomego, musiało być nie lada niespodzianką, gdy nagle ujrzał naprzeciw siebie Wenus<sup>21</sup> i Kupidyna<sup>22</sup>, braci syjamskich<sup>23</sup> i wielu innych dawnych przyjaciół.

Ze szczególnym wzruszeniem ogląda doktor Becker nr 206, który przypomina mu popełnione w jego niemieckiej ojczyźnie przestępstwo: zamach bombowy w Bremerhaven dla zdobycia sumy ubezpieczeniowej; nie wpada jednak na domysł, że biust<sup>24</sup> J. G. Thomasa znalazł się tu tylko dlatego, że był on Anglikiem. Dopiero po chwili zauważa, porównując katalog z woskową rzeczywistością, że wszystkie niemieckie postaci są z tego European Museum usunięte — prawdopodobnie od czasu wzięcia przez Amerykę udziału w wojnie<sup>25</sup>.

Znajduje jedynie Bismarcka — ale gdzież to go znajduje — zepchniętego w najdalszy kąt działu chorób wenerycznych. Boli to doktora Beckera i dlatego nie daje posłuchu kustoszowi muzeum, który zbliża się właśnie do niego, z brodą i w okularach, przedstawia jako specjalista chorób męskich i poleca przy sposobności.

Poleca się i doktor Becker. Udaje się do hallu Niepodległości i sąsiedniego Kongresowego<sup>26</sup>. Poza paru relikwiami znajduje się tam namalowana historia Ameryki w obrazach rodzajowych. Doktor Becker dziwi się, jak idyllicznie toczyła się historia Ameryki. Wszystko szło gładko od tego wieczoru dziesiątego października 1492 roku, gdy Krzysztof Kolumb szczególnie gorąco odmówił *Salve Regina* i pośmylny wiatr zagnał go bardzo szybko do utęsknionego brzegu Stanów Zjednoczonych, aż do dnia, gdy matka Washingtona żegna syna, nie bez dania swemu Jerzemu rady, aby pobił Anglików na Long Island i wziął 42000 jeńców. Dalej malarze XIX wieku uwiecznili w wesołych barwach uroczyste lądowania i święta, w których brali udział promieniejący szczęściem Indianie, ale nigdzie nie zaznaczono, w jaki to sposób ci goście zniknęli na zawsze z tego świata.

Nie znalazł również doktor Becker sceny uwożenia Murzynów, którzy odegrali przecież decydującą rolę w historii Ameryki.

Wkrótce potem zauważyliśmy pod gołym niebem wschodniej części Filadelfii człowieka, który wydał nam się znajomy. I rzeczywiście, był to doktor Becker, który wsiadł

<sup>18</sup>Franklin, Benjamin (1706–1790) — jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*The Drs. La Grange and Jordan European Museum; established in Philadelphia in 1858, open daily, except Sunday, for gentlemen only* (ang.) — Muzeum Europejskie dr. La Grange’a i dr. Jordana, założone w Filadelfii w 1858 r., otwarte codziennie, z wyjątkiem niedziel, tylko dla dżentelmenów. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*panopticum* — muzeum figur woskowych sławnych osób. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Wenus (mit. rzym.) — bogini miłości. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>Kupidyn (mit. rzym.) — syn Wenus, bóg i uosobienie miłości. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>bracia syjamscy — tu zapewne: Remus i Romulus, mityczni założyciele Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>biust (daw.) — popiersie. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>od czasu wzięcia przez Amerykę udziału w wojnie — chodzi tu o I wojnę światową 1914–1918. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>hallu Niepodległości i sąsiedniego Kongresowego — Independence Hall oraz Congress Hall w Filadelfii. [przypis edytorski]

do pierwszego lepszego tramwaju i wysiadł, gdy skusiła go do tego okolica. Spełniła, czego się od niej spodziewano. Doktor Becker przechadzał się po umajonych wzgórzach, obok altanek, niestrzyżonych trawników i nęcącej murawy, po skalistych ścieżkach i szerokich uliczkach, a park w zimowej osłonie był najpiękniejszy ze wszystkich, jakie widział kiedykolwiek.

Zaznajomiwszy się za pośrednictwem dziecka w wózek z jego babką, zapytuje doktor Becker o nazwę tej okolicy. Wyjaśnienie, że jest to Fairmont Park, jest wypowiedziane tak zdziwionym tonem, że doktor Becker uważa za stosowne, by dla zatarcia tej luki w swym wykształceniu pochłubić się wiadomościami zaczerpniętymi z tablic tramwajowych. Wskazując na rzekę u swoich nóg, zaznacza, że Delaware jest wspaniałe.

— Nie, panie, to nie jest Delaware, to Schuylkill River, Delaware płynie po przeciwnej stronie Filadelfii. Czy rzeczywiście nigdy pan nie był w naszym mieście?

Filadelfia należy do największych miast kuli ziemskiej i pytanie to, z lekką domieszką niedowierzania zadane, jest tu bardziej na miejscu niż na przykład w herbaciarni wioski Karpilowa na Kaukazie, gdzie odpowiedź doktora Beckera na podobne pytanie wzbudziła wesołe ożywienie przy wszystkich stołach: ten człowiek jest pierwszy raz w życiu w Karpilowie. Na szczęście w chwili, gdy babcia z Fairmont Park zaczynała wątpić o nieświadomości cudzoziemca, *baby*<sup>27</sup> uśmiecha się, a gdy wnuczek się śmieje, miękną serca wszystkich babek. Przebacza doktorowi Beckerowi, że rzeczywiście czy też pozornie nie był jeszcze nigdy w Filadelfii, staje się gotowa do udzielenia dalszych wyjaśnień i wskazuje mu willę na wzgórkach.

Patrzy w kierunku jej ręki.

— Piękny dom — mówi, ale okazuje się to błędem.

— To hańba Filadelfii, należałoby go usunąć.

— Tak — dodaje doktor Becker — zawadza trochę tam na górze.

Ach, popełnia wciąż błędy, babka zauważa twardo:

— Nie, wygląda cudownie i dlatego zostawia się go w spokoju, chociaż jest hańbą. Czy słyszał pan już o generale Benedyckie Arnoldzie<sup>28</sup>?

Oczywiście, jest głośny w Europie. Znakomity... Był to wielki łajdak i zdradził Amerykę podczas wojny o wolność. Największy łotr Ameryki żył współcześnie w Filadelfii z jej najszlachetniejszym człowiekiem. A ten dom na górze był jego domem. My, Patriotyczna Liga Kobiet, chcielibyśmy go zburzyć, lecz...

Lecz *baby* wydaje się to śmieszne.

Babcia wskazuje inną rzecz, godną widzenia.

— Tam, na skalistych urwiskach, znajdzie pan wiele jaskiń, gdzie przed stu laty przebywali ich mieszkańcy — sami Niemcy. Gminę niemiecką opanował jakiś szaleńczy poryw, aby żyć w lesie i żywić się korzeniami. Matka moja знаła jeszcze kilku z tych eremitów. Opowiadała mi, że byli to dobrzy ludzie. Ale ja w to nie wierzę.

Wiemy, jacy są Niemcy i jak straszliwie torturowali oni podczas wojny jeńców amerykańskich.

*Baby* dość już się naśmiała, a doktor Becker otrzymał wystarczającą ilość ustnych wyjaśnień, w każdym razie więcej, niż mógłby oczekiwać po obcym milionowym mieście. Jedzie, zadowolony z Filadelfii, z powrotem do swego hotelu.

## HANDEL LUDŹMI W HOLLYWOOD

Nie tylko nędza statystów wstrząsa szczęśliwcem, któremu udało się przekroczyć próg państwa filmu. Wielką jest często nędza gwiazd.

<sup>27</sup>*baby* (ang.) — dziecko, niemowlę. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*Benedict Arnold V* (1741–1801) — kupiec z Connecticut, generał Armii Kontynentalnej podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych (1775–1783), zasłużony w walkach o zajęcie Fortu Ticonderoga (1775), podczas inwazji na Kanadę brytyjską (1775), w zwycięskiej bitwie o wyspę Valcour na jeziorze Champlain (1776) oraz w bitwie pod Saratogą (1777); zapamiętany został jednak przez Amerykanów głównie z powodu nieudanej próby poddania wojskom brytyjskim amerykańskiego fortu w West Point w stanie Nowy Jork w 1780 r. Spisek został wykryty i udaremniony: Amerykanie złapali brytyjskiego majora Johna André z kompromitującymi dokumentami, na wieść o tym gen. Arnold uciekł na stronę brytyjską w dół rzeki Hudson na statku „Vulture”, umknąwszy pościgowi wysłanemu przez gen. George’a Waszyngtona, który zajął jego miejsce w West Point; imię Benedicta Arnolda stało się synonimem spiskowca i zdrajcy. [przypis edytorski]



Mieliśmy nieopisane szczęście spotkać u wejścia pewnej willi wszechświatowej sławy królową filmu X, która się właśnie oddalała.

- Chciała mnie naciągnąć — rzekł właściciel domu.
- Naciągnąć? Po co? Dlaczego?
- Nie może zapłacić komornego.
- Nie rozumiem.
- Nie ma pan pojęcia, co to jest kontrakt, panie Kisch.

Jak to! Mr. Kisch nauczył się podczas wojny, że kontrakty są strzępkami papieru. Ale teraz Mr. Kisch widzi, że są nim tylko w prawie narodów, tylko tam, gdzie można je po prostu podrzeć i poświęcić miliony ludzi, gdy wymaga tego korzyść paru ludzi.

Nie są one żadną miarą strzępkami papieru w przemyśle na przykład filmowym. Tutaj nie można porwać kontraktu, bez względu na to, czy dzięki niemu uprawia się jawnie handel ludźmi i niewolnictwo, czy też nie.

Rzadko można się czegoś o tym dowiedzieć. Ci właśnie, którzy na tym cierpią, najmniej sobie życzą wyjawienia tych tajemnic. Od dawna już nie używa się szklanych domów do zdjęć filmowych — mieszka się w nich teraz. Rzadkie są teraz zdjęcia zewnętrzne, ale życie prywatne przeniosło się na zewnątrz. Diva nie zdejmuje biustonosza, idąc spać. Czyż może być pewna, że w kącie pokoju nie ukryła się jakaś wielbicielka, reporter filmowy lub co najmniej aparat?

— Co! — krzyknięto by z przestachem. — Chce pan pisać o kontraktach, panie Kisch? Cóż to może obchodzić ogół i co to ma wspólnego ze sztuką?

Bądź co bądź obchodzi to ogół o wiele więcej niż małżeńskie czy też osobiste życie artystów filmowych, a ze sztuką ma przynajmniej tyle wspólnego, co hollywoodzki film. Gdyby wszelkie stosunki społecznie nie były tam tak zakłamane, inaczej by wyglądały wytwory Hollywoodu.

Mr. Kisch chce pisać o kontraktach.

---

Niegdyś w filmie Lubitscha<sup>29</sup> *Pocałuj mnie jeszcze raz*<sup>30</sup> grała młoda dziewczyna, nazwiskiem Clara Bow<sup>31</sup>, i spodobała się. Ben Schuberg, wtedy drobny producent filmowy, zaangażował ją z niewielką pensją i pięcioletnim zobowiązaniem (oczywiście jednostronnym — z jej strony) dla swoich bardzo tanich filmów. Ben Schuberg zrobił karierę, stał się kierownikiem produkcji „Famous Players” i miał prawo kupowania dla tej bogatej firmy ludzi — czyli kontraktów.

Któż może być bliższym obecnemu *general producer*’owi<sup>32</sup>, Schubergowi, od dawnego *independent producer*’a<sup>33</sup>, Schuberga? Kupuje zatem Schuberg od Schuberga kontrakt z Clarą Bow. Sprzedawca Schuberg robi dobry interes, ale i nabywca źle na tym nie wychodzi i może z powodzeniem pochłubić się wobec firmy tym kupnem. Clara Bow otrzymuje przecież co tydzień 4–5 tysięcy listów od wielbicieli, a ta *fan mail*<sup>34</sup> (fan — skrót od fanatyk) posiada na hollywoodzkiej giełdzie ludzkiej wartość akcji jako oznaka popularności. Jeszcze większe ma zresztą znaczenie raport kasowy kinoteatrów. Ale i *box office*<sup>35</sup> jest stale pełne przy Clarze Bow.

Clara nie ma zupełnie materialnego udziału w interesie. Gdyby chciała zerwać kontrakt, nie mogłaby filmować dla innego towarzystwa, gdyż wszystkie one są między sobą

---

<sup>29</sup>Ernst Lubitsch (1892–1947) — niem. reżyser, scenarzysta i producent filmowy współpracujący z Hollywood; współpracował m.in. z Gretą Garbo i Polą Negri; do najbardziej znanych filmów w jego reżyserii należą: *Madame Dubarry* (film niemy, 1919), *Patriota* (1928), *Sztuka życia* (*Design for Living*, 1933), *Wesoła wdówka* (*Merry Widow*, 1934), *Ninoczka* (1939), *Sklep za rogiem* (*The Shop Around the Corner*, 1940), *Być albo nie być* (*To Be or Not to Be* 1942) czy *Niebiosa mogą zaczekać* (*Heaven Can Wait* 1943); kilkakrotnie nominowany do Oscara, w 1946 roku otrzymał Nagrodę Akademii za całokształt twórczości. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*Pocałuj mnie jeszcze raz* — oryg. *Kiss Me Again*, film niemy w reż. Ernsta Lubitscha z 1925 r. na podst. scenariusza Hannsa Kräly; powstał w niemieckim okresie twórczości reżysera, obecnie obraz jest uznany za zaginiony. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Gordon Bow, Clara (1905–1965) — amerykańska aktorka filmowa niezwykle popularna w epoce kina niemego, symbol seksu lat 20. XX wieku. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*General Producer* (ang.) — producent generalny. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*Independent Producer* (ang.) — niezależny producent. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*fan mail* (ang.) — poczta od fanów. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*box office* (ang.) — kasa biletowa. [przypis edytorski]

skartelowane. Otrzymuje co najwyżej dodatek do pensji *to be happy*<sup>36</sup>, gdyż inaczej biegalaby po sądach, a może i do prasy, a wiadomości o kontraktach są jedynym rodzajem *publicity*<sup>37</sup>, której nie lubią w Hollywood.

---

Sue Carrol, *recte*<sup>38</sup> panna Lederer z Chicago, przybyła do Hollywood i poznała tam Mac Leana, młodego komika, produkującego filmy. Zaangażował dziewczynę z pięcioletnim kontraktem, wzrastającym od 150 do 300 dolarów. Ponieważ jego produkcja była bardzo skąpa, wypożyczał Sue Carrol w przerwach za dobrą cenę innym firmom, w końcu za 1500 dolarów gaży miesięcznej Fox Filmowi na przeciąg roku. Płaca panny Sue Carrol wzrosła właśnie na podstawie kontraktu ze 150 do 200 dolarów.

Proponuje ona swemu posiadaczowi 5000 dolarów gotówką jako odstępnę, ale on nie zgadza się na rozwiązanie kontraktu. Wtedy wniosła ona skargę do sądu, i sąd rozstrzygnie tę sprawę.

— Tak, Mr. Kisch, kontrakt to kontrakt! Mogła go przecież nie podpisywać!

---

Gdyby ten Mac Lean, właściciel, na podstawie kontraktu, Sue Carrol, był jeszcze wciąż producentem, nie mógłby za wypożyczenie żądać osiem razy tyle, wiele wynosi gaża<sup>39</sup>. Firmy ułożyły się bowiem między sobą, aby za wypożyczenie ludzi płacić tylko ich gażę plus 25 procent. Trzeba zatem używać już innych tricków, aby obejść tę prostą klauzulę i móc otrzymać wyższą cenę za wypożyczenie.

Na przykład Lupe Velez ma 1250 dolarów gaży. Konkurencja proponuje, że mogłaby chętnie zatrudnić tę damę na przeciąg sześć do ośmiu tygodni — czyli za 10 000 dolarów. „Nie — mówi pryncypał damy z zimną krwią — możesz ją mieć zaraz, ale tylko za 35 000 dolarów”. „Nanu? — pyta konkurencja w płynnej angielszczyźnie”. „Tak — chcemy za pięć tygodni rozpocząć z nią nakręcanie filmu — łże sprzedawca — a jeśli ma grać u was, nic z tego nie wyjdzie. Mogłaby wziąć się do tego dopiero za pięć miesięcy. Musisz zapłacić za te pięć miesięcy plus 25 procent”. A tamten płaci.

— Oczywiście, Mr. Kisch, to zdarza się nawet bardzo często, ostatecznie towarzystwa nie płacą swoim aktorom pensji po to, aby posługiwała się nimi w razie potrzeby konkurencja!

---

Towarzystwo filmowe A chce zaangażować reżysera, który jest zatrudniony w firmie B, skąd mógłby wystąpić na własne żądanie.

Wstępna umowa między A i reżyserem opiewa na tysiąc pięćset dolarów tygodniowo.

— A jaką pan ma teraz gażę? — pyta A.

Zmyślanie nie miałyby celu, gdyż A i tak poinformuje się u B. Firmy zobowiązały się zresztą między sobą do udzielania zgodnych z prawdą informacji o cenach ludzi, a nawet o wysokości wygasłych właśnie umów. Reżyser odpowiada zatem uczciwie „900”.

— Niech pan nie weźmie nam tego za złe — mówi na to A, rozdzierając kontrakt — oczywiście kupimy teraz pana od B!

---

Kontrakty opiewają najwyżej na pięć lat, roczna lub półroczna umowa jest jednostronna, to znaczy, że może być przedłużona jedynie przez firmę.

Nawet prywatnie nie wolno artyście porozumiewać się z inną firmą, nawet prywatnie nie wolno żadnej firmie porozumiewać się z gdzie indziej zaangażowanym artystą. Jest to zerwanie kontraktu, karane pięcioletnim pozbawieniem pracy.

Bardzo często ma miejsce fakt następujący: w ostatnim tygodniu listopada artysta zwraca się do firmy zapytaniem, czy może rozwiązać kontrakt, wiedząc, że chce go zaangażować inna firma. W jej nowym filmie jest jedna rola, dla której reżyser chce go pozyskać. Pyta zatem swych szefów: „Czy mogę rozwiązać kontrakt?” — „Nie”. Ale w tydzień później, 30 listopada, towarzystwo nie przedłuża umowy, a jego rola w innej firmie

---

<sup>36</sup>*to be happy* (ang.) — aby być szczęśliwa. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*publicity* (ang.) — reklama. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*recte* (łac.) — właściwie. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*gaża* — wynagrodzenie dla pracownika scenicznego, np. aktora. [przypis edytorski]

jest już obsadzona. Może teraz wałęsać się, szukając pracy, albo zwrócić się do jednego z „czternastu ratujących w potrzebie”, aby to zrobił za niego.

Ale czternastu hollywoodzkich agentów tego nie robi. Posyłają jedynie spisy do przedsiębiorców, „Zastępujemy...”.

Jeśli ta propozycja pociągnie za sobą odpowiedź albo aktor sam zdobędzie sobie *engagement*<sup>40</sup>, agent otrzymuje dziesięć procent gaży. Szachrajstwa są wykluczone. Wysokość gaży nie jest traktowana w międzypaństwowych stosunkach firm jako tajemnica zawodowa. Aktor otrzymuje teraz co najwyżej tyleż, co podczas poprzedniego *engagement*, gdyż jest teraz bez miejsca, wolnym artystą, *freelancer*<sup>41</sup>. Rzadko wzrasta czyjaś gaża cyfrowo: gdy aktor osiąga powodzenie lub stara się o niego jednocześnie kilka firm.

Osiągnął powodzenie! Powodzenie zależy od właściwej roli. Kto jej nie otrzyma, uchodzi w najlepszym razie za dobrego, o ile stwarza dla cieszącego się powodzeniem filmu dobre warunki dla zachowania go dalej. W ogóle tego rodzaju aktorzy pracują w znacznie gorszych warunkach niż artysta czołowy, muszą obejmować każdą rolę, nawet czarnego charakteru, przez co wielu traci swój cały kapitał — popularność sympatycznego młodzieńca. Dzięki filmowi bowiem kula ziemską stała się ową wioską tyrolską, która wygwizdała odtwórcę Franciszka Moora<sup>42</sup>.

Odrzucić rolę? Maurycy Stiller<sup>43</sup> wzbraniał się reżyserować *Droge żądzy* i marnować swój artyzm, doskonałych artystów i miliony dolarów na urzeczywistnienie tak idiotycznego scenariusza.

— Czy wie pan — zapytał z góry Schuberg — że przez tę odmowę traci pan swoją gażę 25 000 dolarów?

— No to co? — odpowiedział Szwed po berlińsku.

I Stiller wyjechał z Hollywood, wyjechał do Europy. Umarł już.

---

Nie każdy zostaje z tym samym wymiarem kary wtrącony do Sing Sing<sup>44</sup> filmowego, jednemu jest łatwiej, innemu ciężiej, jeden uważa się za szczęśliwego, jeśli jego klatka jest ze złota, inny, jeśli uważa swoją klatkę za złotą, a inny znów, gdy pozostali w ojczyźnie uważają jego klatkę za złotą...

Przychodzi się w odwiedziny do młodej artystki. Mieszka więcej niż skromnie, więcej niż ubogo. Za to z dumą pokazuje pisma swojej ojczyzny, powiedzmy Hiszpanii. Jej portret widnieje na karcie tytułowej, pocztówki, które ona posyła, są zaopatrzone autografem, każde ojczyste pismo telegrafuje po jej aforyzm dla świątecznego numeru, podlotki i młodzi chłopcy zapytują ją listownie, jak dopiąć tego, żeby też osiąść w szczęśliwym Hollywoodzie, otrzymuje propozycje matrymonialne. Ona zaś pozostaje w Hollywoodzie być może dlatego, być może w nadziei, że choć raz dostanie rolę.

Miłość i małżeństwo są objęte ścisłymi przepisami. W każdym kontrakcie jest zaznaczone, że firma może go rozwiązać, jeśli sprawowanie się zaangażowanego względnie zaangażowanej wzbudza jawne zgorzsenie.

A często to robi, gdyż mimo że potężny jest przemysł filmowy, potężniejsza jest klaka, szczególnie głośzona przez prasę, a jeszcze bardziej wszechwładna potęga obłudy seksualnej na tym purytańskim, świętoszkowatym kontynencie.

Jeśli jakiś sławny artysta wpadł w sidła jednej damy, która wślizgnęła się doń jako uczennica gry scenicznej, a osiągnąwszy cel, wystąpiła z propozycjami małżeńskimi — dobrze zrobi, jeśli skorzysta z samolotu, wylatującego o 6:00 z Los Angeles do Nowego Jorku, aby zdążyć na najbliższy statek do Europy. Koledzy pomogą mu przy wyjeździe. Nie bez zazdrości słuchają czczone, ubóstwiane wielkości kinowe, gdy przybysz z Europy wspomni o jakiejś skromnej przygodzie. Nie mogą sobie na to pozwolić. Jeśli idzie się w Los Angeles trochę pohulać z ulubieńcem świata, przebiera on się i daje towarzyszowi wskazówki — aby nie robić żadnych aluzji, nie mówić nawet o filmie; lęka się — błahy

---

<sup>40</sup>*engagement* (ang.) — zaangażowanie, zatrudnienie. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*freelancer* (ang.) — wolny strzelec. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*odtwórcę Franciszka Moora* — pierwszym odtwórcą tej roli był August Wilhelm Iffland, niemiecki aktor. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*Stiller, Maurycy* (1883–1928) — fiński reżyser, scenarzysta, aktor filmowy i teatralny, jeden z czołowych twórców kina niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Sing Sing* — zakład karny o zastrzonym rygorze. [przypis edytorski]

figiel może być powodem szantażu lub skandalicznego artykułu. Co gdzie indziej uchodzi za flirt, tutaj jest postępkami ryzykownym, co jest samo przez się zrozumiałe w atelier filmowym starego świata, w nowym jest wyjątkiem. Reżyser w Hollywood wyrzeka się w atelier podania panience ręki celem pomocy.

Małżeństwo i miłość przebiegają bez tarć jedynie w tej samej kategorii gaź. Najrozsądniejsze jest, gdy Douglas Fairbanks<sup>45</sup> poślubia Mary Pickford<sup>46</sup> i obydwójce pędzą życie razem. Ale, niestety, nie zawsze stosunki przedstawiają się tak prosto. Często artyście odbierają na skutek braku zdolności rolę, podczas gdy małżonek jej otrzymuje nowe wspaniałe *engagement*. W tydzień później małżeństwo, które stało się mezaliansem<sup>47</sup>, rozchodzi się. On szuka sobie gwiazdy na małżonkę.

Ale nie każdy, którego publiczność nazywa tak lęklwym szeptem, ma prawo do tytułu gwiazdy. Są okrzykane wielkości, które miesiącami pozostają bez zajęcia i bez gaży i, jak widzieliśmy, muszą sobie pożyczać na komorne. A i ten nawet, który jest szczerzej wynagradzany od Piotra Schlemihla<sup>48</sup> za sprzedaż swego cienia, otrzymuje jedynie drobny ułamek tego, co zarabiają przemysłowcy filmowi, Mr. Irving Thalberg, mający 28 lat, *general producer* Metro Goldwyn, zarabia na przykład milion dolarów rocznie. Jak widzicie, jest to interes, który coś niecoś przynosi. (Ale nie każdy to potrafi, musi się pan na to zgodzić, Mr. Kisch).

## O ROBOTNIKACH KONFEKCYJNYCH

Wieczorem przed *Thanksgiving Day*<sup>49</sup>, świętem narodowym, urządziły panie Garment Workers liczne zebranie w Webster Hall.

Jedna z bram do Webster Hall, świątecznie oświetlona, prowadziła do sali, w której grupa młodych kupców i przedstawicieli handlowych obchodziła swój *Thanksgiving-Ball*. Przez ten portal omyłkowo wszedł doktor Becker, ale ponieważ było o pół godziny za wcześnie, usiadł w przedpokoju na krześle.

Co chwila przychodziło wielu innych ludzi, którzy podobnie weszli niewłaściwie; włączający się wokół komitet balowy pouczał ich, że zebranie krawców damskich jest tuż obok. Za każdym razem była ta wiadomość dawana ironicznie, i gdy robotnicy zawracali, świątecznie postrojona kupiecka młodzież robiła uwagi, dowcipy, stroiła grymasy, miny albo śmiała się poza nimi z zastanawiającym brakiem zrozumienia, z którym się w tym kraju wychodzi naprzeciw ruchowi robotniczemu. Obywatel uważa walkę o zapłatę za bezmyślną, a strajk za nieinteresujący. „Nasz robotnik jedzie własnym autem, ma w domu radio i więcej wcale nie chce” — to jest sąd stuprocentowego Amerykanina (który rzeczywiście jest tym bardziej stuprocentowym, im większy procent europejskich błędów ma do ukrycia).

Pół godziny później nie mylił się już nikt więcej w obydwóch bramach wejściowych do Webster Hall. Ulica była czarna od ludzi, którzy się cisnęli na *miting*<sup>50</sup>. Nikt nie przybył we własnym aucie, rzadko kto wyglądał, jakby miał w domu auto, a na to, żeby już nic więcej nie chcieli, zupełnie przebieg zebrania nie wskazywał.

Robotnik, Praca

<sup>45</sup>Fairbanks, Douglas (1883–1939) — amerykański aktor filmowy, znany z ról nieustraszonych bohaterów w filmach przygodowych: *Znak Zorro* (1920, tytułowy bohater), *Trzej muszkietierowie* (1921; d'Artagnan) *Żelazna maska* (1929, d'Artagnan), *Robin Hood* (1922, rola tytułowa); producent, scenarzysta i reżyser; współzałożyciel wytwórni United Artists w 1919 r. oraz Amerykańskiej Akademii Filmowej w 1927 r. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Pickford, Mary, właśc. *Gladys Marie Smithur* (1892–1979) — aktorka, producentka filmowa i scenarzystka amerykańska kanadyjskiego pochodzenia, gwiazda kina niemego, znana m.in. z ekranizacji filmowych powieści dla młodzieży (*Mala księżniczka* 1917, *Polyanna* 1920), roli w *Rosicie* (1923) Ernsta Lubitscha, a także roli w filmie dźwiękowym *Kokietka* (1929); prywatnie żona Douglasa Fairbanka, z którym założyła w 1919 r. pierwszą niezależną wytwórnię filmową, United Artists przy współudziale Charliego Chaplina i D.W. Griffithem. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>mezalians — małżeństwo nierówne, z osobą z niższego stanu. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>Schlemihl, Peter — tytułowa postać noweli Adelberta von Chamisso (1781–1838) *Peter Schlemihls wundersame Geschichte* (*Historia cudowna Petera Schlemihla*; 1814); bohater opowieści sprzedał diabłu swój cień w zamian za portfel bez dna, co spowodowało na niego szereg niepowodzeń i odrzucenie społeczne. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Thanksgiving Day* (ang.) — Święto Dziękczynienia, obchodzone w Kanadzie w drugi poniedziałek października, zaś w Stanach Zjednoczonych w czwarty czwartek listopada jako pamiątka pierwszych dożynek mieszkańców kolonii Plymouth w 1621 r. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>miting (z ang. *meeting*) — spotkanie. [przypis edytorski]

Był to dla europejskich pojęć doktora Beckera przebieg prawdziwie godny uwagi. Referat był wygłoszony w angielskim języku, ale już następny mówca oponował po włosku, jak gdyby to było naturalne i dla każdego zrozumiałe, mówił namiętnie, długo i głośno i bronił anarchistycznego stanowiska nowojorskiej gazety „Rova di Liberta”; silnie przeczyło mu dwóch mówców żydowskich. W zadziwiającej angielszczyźnie referował pewien Grek z Local Union of Greek Fur Workers; greccy robotnicy tworzą lwią część warsztatów, które należą do kapitalistycznych podobnie zamkniętych zorganizowanych ziomków. (*United Manufacturers Organisation*). Tak więc słyszał doktor Becker tutaj, w południowo-wschodnim Nowym Jorku, jak wśród biednych pracowników igły referuje się w języku *Boskiej Komedii*, odpowiada w języku *Odysei* i replikuje w języku *Nibelungów*, po niemiecku, a później w drugiej językowej odmianie — po żydowsku. Ten opanował zebranie.

Ciężki i wyczerpujący przemysł krawiecki składa się po większej części z uciekinierów przed pogromem i ich synów; są oni czytelnikami wielkich żydowskich pism ludowych, socjaldemokratycznego „Forwerts” i komunistycznej „Freiheit”, i przywódcami organizacji krawieckich, przeciwko którym przedsiębiorcy operują oczywiście antysemitkami argumentami i znajdują w tym oddźwięk u wielu chrześcijańskich robotników.

Choć mówcy i słuchacze zebrania byli różnych przekonań politycznych i wielojęzyczni, zgodni byli zupełnie w swoim zwątpieniu. Powody tego były wyjawione. Międzynarodowe stowarzyszenie krawców damskich, które dawniej liczyło 125 000 członków, jest od czasu 14 miesięcy trwającego strajku od 1926 do 1927 prawie skazane na bezczynność, czterdziestogodzinny tydzień pracy zniesiony, ludzie są zmuszeni pracować 54 i więcej godzin tygodniowo w *speed-up*<sup>51</sup>, systemie poganiania, często także w sobotę po południu i w niedzielę, zapłata tygodniowa jest zniesiona i prawie wszędzie wprowadzona zapłata od sztuki, dochód spadł o 30 procent, fundusz zapomogowy dla bezrobocia, który przed dwoma laty wynosił jeszcze pół miliona dolarów, został zupełnie zlikwidowany, a bezrobocie jest ogromne.

Gdy przy obserwacji nowojorskiego życia ulicznego nie ograniczyć się tylko do eleganckiej Fifth Avenue, ale do spekulującej i gestykulującej Wall Street, do krzyczącej światłem Broadway, to spotyka się rezerwę armii przemysłowej, bezrobotnych i szukających pracy. Tam, gdzie się Siódma ulica krzyżuje z 36., 37. i 38. ulicą, jest rynek bezrobotnych. Starzy krawcy z Galicji i z Bukowiny, z Besarabii i z Ukrainy, spod Mińska, Kijowa, Kiszyniowa, Wilna, i Whitechapel — przed 40 laty, żywiąc nadzieję, śniąc i modląc się, przybyli przez morze i stoją teraz na rogach ulic, żywiąc nadzieję, śniąc i modląc się, że przyjdzie jakiś pracodawca, ażeby na tydzień albo przynajmniej na jeden dzień, albo przynajmniej na tuzin płaszczy futrzanych dać zamówienie.

Niektórzy mają posiwiałą brodę i włosy ufarbowane na czarno, chcąc się wydać przedsiębiorcy młodszymi. Daremnie. Są oni tragicznym wydaniem dowcipu o starym Żydzie przed kasą teatralną w Czerniowcach: zasłaniając obiema rękami swoją wijącą się brodę, żąda studenckiego biletu. Kilka bloków dalej, na ulicy 27., 28. i 29. pomocnicy kuśnierscy, siwi i młodzi, krojcy i wykończarze, stebnujący i szyjący, czekają przez cały dzień na szczęście, które giełda pracy przyniesie — istotnie najskromniejsze szczęście giełdowe.

Okna sklepowe, w które zazdrośnie spoglądają pozbawieni pracy robotnicy kuśnierskiej branży, nie odróżniają się niczym od Leipziger Brühl: brązowe futra niedźwiedzie, srebrno-szare lisy, białe nakrapiane skóry antylopy, brązowy bóbr i czarny karakuł zostaje w świetle ulicy skrojony, podczas gdy handel w rembrandtowskim wnętrzu sklepu odbywa się z widoczną żywością.

Lokale handlowe są standaryzowane tak samo, jak i szylidy firmowe. Na oknach wysokich domów w dzielnicy krawieckiej widnieje dwieście albo trzysta razy ten sam napis: „*Cloak and Dressmaker*”<sup>52</sup>, a poniżej za każdym razem inna nazwa firmy. Podobnie jest w posępnych domach przecznicy, które stają się tym posępniejsze, im bardziej oddalają się od Siódmej Avenue na wschód i na zachód.

Windy nie wykazują żadnego podobieństwa do wind innych gmachów City, do eleganckich wind domów mieszkalnych, hoteli, banków, i biur, są to elewatory fabryczne,

<sup>51</sup>*speed-up* (ang.) — przyspieszenie. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*cloak and dressmaker* (ang.) — szycie płaszczy i sukni. [przypis edytorski]

obliczone na towary i robotników, a więc bez posadzki, bez dywanu i bez obicia, tak, nawet bez bocznej ściany, a windziarz nie posiada prócz liberii jeszcze wielu innych rzeczy.

Dziesięciu do piętnastu ludzi mieści śpiesząca się klatka, a zawsze przewozi żelazne taczki z lalkami modelowymi — każda nosi mnóstwo toalet<sup>53</sup> na swym wzorowym ciełe — jadąc do góry i na dół. Od majstra do *jobbera*<sup>54</sup>, który wydaje materiał i polecenie, dyktuje ceny i termin, wznoszą się i opuszczają ubrane manekiny, do góry do obejrzenia, na dół do wykończenia, na górę do dostarczenia klientowi. Jeden warsztat jest podobny do drugiego, czy jest fabryką mającą więcej niż stu robotników, przeważnie Włochów i Murzynów, czy też małym *contracting shop*<sup>55</sup> z dwunastoma, przeważnie wschodnio-żydowskimi krawcami, czy wewnątrz szyje się suknie damskie, czy płaszcze, czy też ubrania męskie: wzdłuż okien szerokie, zawalone towarami stoły krojczego. Na małych stołach ma on nożyce, na większych nóż, poruszający się przy pomocy elektryczności, aby skroić podług podłożonego wzoru trzydzieści materiałów w rozmaitych kolorach na suknie takiego samego fasonu i wielkości. Wewnątrz tej ramy z szerokich stołów pracują mężczyźni; kobiety są zajęte przy maszynach do szycia albo dziergają w ręku dziurki do guzików. Jak marionetki poruszają się prasowacze z żelazkami, do których prowadzi trzydzieści zaplątanych drutów przewodzących. Egzaminujący ubierają lalki z modelami, patrząc baczny wzrokiem.

W *shops* na Trzeciej Avenue robotnicy uczuwają w odstępach jednonumitowych jakby uderzenie w głowę: migocząca ciemność przebiega przed oczyma i mózg ich drga. To jest kolej powietrzna; miejscowe pociągi i ekspresy z północy na południe i z południa na północ muskają okna. Najgłębiej schowane naczynia tłuką się, nie rozumie się swych własnych słów, i przez sen nawet turkoczą wagony, ale pracować tutaj trzeba, prawie połowa pracowników konfekcyjnych znajduje się na chodniku. Krawcy są już przyzwyczajeni do huków pociągów, doktor Becker wzdryga się jeszcze. Stąpa po pstrych gałgankach, odpadkach z materiałów i przędzy, wędrując po tych warsztatach, reprezentant starej Rosji w Nowej Ameryce. Przy maszynach do szycia, przy zwojach materiałów, przy dziurkach do guzików, przy manekinach i przy żelazkach zatrzymuje się robota, gdy doktor Becker przechodzi; usiłują jego, mniemanego kupca konfekcji z Berlina, wciągnąć w rozmowę.

Jedni, i ci wyglądają jak mówcy z Webster Hall na *Thanksgiving Day*, chcą się dowiedzieć o zapłatę i czas pracy fabrycznych krawców w Niemczech, o siłę stowarzyszeń<sup>56</sup>. Inni zaś pytają, jaki kapitał jest konieczny, aby się osiedlić w Niemczech, i wiele<sup>57</sup> pieniędzy można tam zarobić jako przedsiębiorca, upodabniając się w tej chwili do chciwego *contractor'a*, który jest wściekły, gdyż zjawienie się odwiedzającego odciąga jego ludzi od pracy.

## CMENTARZ BOGATYCH PSÓW

Nie udało się doktorowi Beckerowi dotrzeć do Potter's Field, na cmentarz ubogich na wyspie Hart.

Był już bardzo blisko, na półwyspie City Island, skąd odjeżdżała motorówka. Właśnie gdy doktor Becker chciał wejść na pokład, ładowano na niego kilka trumien.

Dzień był zimny i przesiąknięty wilgocią.

Dwaj strażnicy, wysunięci, że się tak wyrażę, jak przyczółek mostowy, sprawdzili legitymację doktora Beckera. Była ona wystawiona przez władze sądowe stanu Nowy Jork dla wszystkich podległych jej instytucji, a ponieważ dwie z nich są na wyspie umarłych, nic więc nie mogło stanąć na przeszkodzie odjazdowi doktora Beckera. Ale niestety termin ważności przepustki wygasł przed tygodniem.

Daremnie starał się doktor Becker przekonać przednią straż, że nie jest żadnym podejrzany wścibskim. Jest chyba niemożliwe, aby na odwiedzenie cmentarza potrzeba było specjalnego pozwolenia, kto wetknie pogrzebanemu trupowi rewolwer, kto zechce mieszkańcom cmentarza być pomocnym w ucieczce?

<sup>53</sup>*toalet* (daw.) — suknia, strój. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*jobber* (ang.) — hurtownik. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*contracting shop* (ang.) — sklep wykonawczy. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*stowarzyszenie* — tu: związek zawodowy. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*wiele (...)* można tam zarobić (daw.) — dziś: ile można tam zarobić. [przypis edytorski]

— Co by było — ciągnął dalej doktor Becker — co by było, gdybym był osieroconym przez jednego z tych obywateli?

— Jeśli tylko wykazałby pan stopień pokrewieństwa, dostałby pan urzędowe pozwolenie.

— A jeśli chcę odwiedzić grób jednego z wielu nieznanych?

— Wtedy musi pan wyjaśnić w City Hall, który ogólny grób chciałby pan odwiedzić.

Na pewno nie z niezyczliwości nie pozwolili obydwaj strażnicy na odjazd. Przeciwnie, kazali motorówce z trupami w trumnach czekać, aż doktor Becker skończył swój wywód i przyjął do wiadomości ich odpowiedź; dali mu nawet do dyspozycji telefon, aby mógł pertraktować z zarządcą tej tak dobrze strzeżonej wyspy.

Temu odczytał doktor Becker z mocnym akcentowaniem otrzymane z Departament of Correction w Albany, głównego miasta stanu Nowy Jork, pozwolenie, zgodnie z którym udzielona jest doktorowi Beckerowi przepustka, zwłaszcza zaś akcentował te ustępy, gdzie (zresztą nawet nie pod nazwiskiem „doktor Becker”, którym nie posługiwał się stale na gruncie amerykańskim) był charakteryzowany jako jedyna publicystyczna socjologiczno-kryminalistyczna osobistość starego świata. (Każda o jeden tylko stopień skromniejsza charakterystyka uważana jest już w Ameryce za zniewagę).

To jednak nie przydało się na nic. Doktor Becker nie dosięgnął drugiego brzegu, odniósł jedynie wrażenie, że na przejazd w celu odwiedzenia więzień dano by mu na pewno pozwolenie. Tylko zwiedzenia cmentarza, „gdzie rzeczywiście jest coś niecoś do zobaczenia”, chciano właśnie tak wybitnej osobistości zakazać.

Krótko mówiąc, doktor Becker oddalił się od przyczółka mostowego cmentarza nieuskrętnionych zamiarów i mógłby nieszczęsnego reportażu nie napisać wcale lub w najlepszym wypadku dopiero wtedy, gdy o zmierzchu życia, zajmąwszy się pisaniem pamiętników, doszedłby do rozdziału „Nieudane reporterki”.

---

Pewnego dnia w miejscowości podmiejskiej Hartsdale otwarty portal z napisem „*Canine Cemetery*” skusił doktora Beckera do wejścia do tego miasta umarłych, które wznosiło się na łagodnej wyniosłości, marmurowe, brązowe i ukwiecone.

Znowu myślał i jako że pogoda przypominała mu wyżej wspomnianą nieudaną reporterkę, pożałował, że pada. Pogodniejszy dzień z żalobnymi gośćmi przy zachwycających grobach podkreśliłby jaskrawiej różnicę między biednymi i bogatymi psami. Wkrótce jednak zapomniał o swym zmartwieniu — rzeczywiście kontrast z każdą inną siedzibą zmarłych był wystarczająco duży.

Hartsdale jest najpopularniejszym psim cmentarzem Ameryki, ceny grobów są podobno niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Nie jest zatem przepełniony, chociaż ufundował go subtelny przyjaciel zwierząt, dr Samuel Johns już w 1896 roku. Trzeba przyznać, że wszystkie leżą tu tak, jak żyły: wygodnie.

Nagrobki zostały stworzone przez najbardziej znanych rzeźbiarzy Ameryki i urzędnik cmentarny pokazuje doktorowi Beckerowi te rzeźby, które kosztowały ponad 80 000 dolarów. Jedynym kryterium estetycznym jest — zresztą nie tylko dla grabarzy martwych psów — dolar. Doktor Becker ogląda wykute dłutem dolary. Popiersia, posągi naturalnej wielkości, płaskorzeźby z marmuru, bazaltu i brązu, alabastrowe różańce i arabeski, malowane medaliony, monumentalne płyty, otoczone wspaniałymi łańcuchami, kamienne drzewo, powalone nieubłaganym losem. Zbyteczne jest nadmienić, że wszystkie wizerunki przedstawiają psy, z rzadka koty.

Z napisów doktor Becker miał sposobność stwierdzić zasługi i zalety, przez które zdobywa się prawo miejsca ostatniego i wieczystego spoczynku w tej pięknej okolicy.

Nad Dolly nie ma niczego podobnego na jej marmurowym obelisku. Tylko duże daty: urodzona 24 października 1914, zmarła 6 października 1918. Mimo to długo patrzy doktor Becker na te litery i cyfry. Nie każdy, kto się w tym czasie urodził, nie każdy, kto w tym czasie umarł, ma chociaż taki grób, jak ten czteroletni piesek.

Cornelius Vanderbilt, który włada niezliczoną ilością stworzeń, wymienia na płycie, wmurowanej w ziemię, imiona trzech z nich, których pamięć chce uczcić, trzech psów: Lassy, Sportie i Happy boy. Pani Astor za to nie wymienia żadnego imienia, nie jest jednak przez to skąpsza w słowach. Na należącym do niej potężnym pomniku widnieje

Cmentarz, Śmierć, Pies

napis: „We wdzięcznym wspomnieniu wszystkich moich psów i koni — moich wiernych i stałych towarzyszy”.

„Byłeś naszym ulubieńcem” — „Oplakujemy naszego drogiego towarzysza” — „Tu spoczywa Bella, nasza jasna przyjaciółka” — „*Beloved Pico, 1916–1924, beautiful, intelligent, heroic*” — „Słodki byłeś, nasz mały Billu”. — „*Proud, sunny, loving*”. — „Śnieżko, pamięć o tobie nie zginie nigdy w naszych sercach”. — „Grumpy, 4 sierpnia 1913 — 20 września 1916. Twoja miłość, przywiązanie i rozum umilały nasze życie. Czekaj na nas!”

Przy czytaniu epitafium „Negra, starego gentlemana” nie może doktor Becker ustrzec się od myśli, że osieroceni przez tego czarnego pudła nigdy nie nazwaliby jego imiennika „starym gentlemanem”, gdyż jest on dla nich biegunowym przeciwieństwem tego — Murzynem. Wprawdzie wypowiada się niekiedy słowo: „kolorowy gentleman”, ale jest to zwykle pomyślane jako przeciwstawienie — w rodzaju, na przykład „gentleman-włamywacz”.

Na jednym tylko kamieniu widnieje zdanie podobające się doktorowi Beckerowi, gdyż kryje się w nim myśl: „*Jack as ever precedes his master a few steps* — Jack jak zawsze o parę kroków przed swoim panem”.

Jakiś osierocony wspomina w napisie, dokładnie wymieniając nazwisko i zawód, o swoich podróżach, zaświadczać martwemu psu: „Ah-sum-pupp przebył ze swym panem 6600 mil”. Innemu znowu pieskowi postawiła demonstracyjny pomnik liga przeciwwiwiskcyjna za przecierpiane przezeń męczarnie.

Tam, gdzie nad pagórkami powiewa gwiazdzisty sztandar, mieści się grób wojenny, czyli grób wojennego psa. I — myśli stale doktor Becker — nawet psy wojenne prowadziły na froncie to, co psy nazywają chyba między sobą „psim życiem”. Wątpliwe jest jednak, czy były to te, które są tutaj pogrzebane.

Żaden uczuciowy pies nie mógł, łając radośnie, wrócić przez ocean ze świata do domu, gdzie cuchnęło nienadające się do spożycia mięso i nieużyteczne kości. Wiele uczuciowych psów zginęło tam, gdzie żaden sztandar nie powiewa nad umarłymi.

Widocznie poczuły to miarodajne sfery, gdyż aby pogodzić poczucie honoru przyszłej psiej generacji, zbudowały olbrzymi pomnik ku czci nieznanego Psa Wojennego w najwyższym punkcie psiego cmentarza w Hartsdale. Wyekwipowany polowo patrzy on odważnie na wroga ojczyzny. O co właściwie chodzi, wiedzą tylko o tyle, o ile jego dwunożni towarzysze broni.

Schodząc z pagórka, mijając zieloną murawę, białe rzeźby i kwieciste trawniki, pod którymi spoczywają w łonie ziemi pokojowe pieski<sup>58</sup>, doktor Becker nie widzi sprzeczności między tym wspaniałym miejscem i cmentarzem ubogich, na który wstęp został mu wzbroniony. Bogaty pies został pogrzebany tak, jak żył, a w górze w Potter's Field dzieje się to samo z biednym człowiekiem.

## SZKICE Z GŁĘBI CHICAGO

### I. Jarmark ludzki

Jedno auto trąciło, jadąc, drugie, złamało zablocone skrzydła i tablicę z numerem. Zdarza się to prawie codziennie i wszędzie. Przy tym zbiera się, jak to tutaj — między Union Station i Northestern Station — miało miejsce, w okamgnieniu kilkaset osób, aby obejrzeć szkody i wziąć udział w kłótni dwóch szoferów. Przyjechał na koniu policjant i rozgląda się — ogon jego konia jest kunsztownie związany na węzeł — w ogólnej sytuacji.

Ludzie, którzy się skupili na widowni małego wypadku automobilowego, uważają go za miłe urozmaicenie ich czynności. Ich czynność polega na szukaniu zajęcia, gdyż go nie mają, a chętnie by mieli. W końcu zostają nasyчени, ale także nie w pełnym znaczeniu tego słowa.

Wieszają się na stopniach stojących aut, stoją na trotuarze i cisną się w sieniach, rozważają przed wystawami sklepów z pamiątkami, czy mają za swoje ostatnie dwadzieścia centów kupić tafelkę z perłowej masy z kolorowym widoczkiem chicagowskiego drapacza

<sup>58</sup>spoczywają w łonie ziemi pokojowe pieski — nieprzetłumaczalna gra słów: *Schoss der* [tzn. łono czyjeś] i *Schossbündchen* [tzn. piesek salonowy; red. WL]. [przypis tłumacza]

Pies, Obyczaje, Pozycja społeczna

Grób, Pozycja społeczna

Praca, Robotnik, Niewola



chmur i posłać do Europy, do ojczystej wsi, umacniając w ten sposób przekonanie, że w Ameryce stali się milionerami.

Czekając, spędzają dni na deszczu i zimnie. Wprawdzie jest dosyć sposobności do siedzenia, gdyż prawie każdy lokal handlowy jest urządzonej jak poczekalnia i zaopatrzony w ławki, jednak nie można tam wejść bez ceremonii, po to są pośrednictwa pracy, *Labor Offices*<sup>59</sup>, *employment agencies*<sup>60</sup>. Jedynie wtedy, gdy przychodzi właśnie zapotrzebowanie, zostają wpuszczeni ludzie z ulicy, wybiera się młodszych i silniejszych i ci mogą siedzieć na ławkach, dopóki ich papiery nie będą doprowadzone do porządku, względnie nie zostaną odnalezione.

Inni włączają się znowu po wielkiej poczekalni, na świeżym powietrzu nad Chicago River, i jedyną odmianą w ich trybie życia jest właśnie auto, które uderzyło drugie.

Każdego rogu ulicy pilnują policjanci, a prócz tego bloki domów tego okręgu, który się oficjalnie nazywa „*Slave market*”<sup>61</sup>, są powierzone opiece policyjnych kawalerzystów, których rumaki mają kunsztownie zawiązane na węzeł ogony.

## 2. Floptown

Przylegające ulice tworzą dzielnicę nędzarzy. Pokruszony albo zawalony mur, spróchniałe albo zgniłe deski stanowią front, znikają jednak poza żelaznymi, z okien na ulicę prowadzącymi, pożarowymi schodami. Nędzne pokoje służą jako masowe kwatery; można się tam do spania rzucić na ziemię, „*flop*”.

I tutaj we Floptown chodniki obłożone są przez stojących na nich mężczyzn. Przez tych, którzy już więcej nie chodzą na Canal Street na targ niewolników, którzy pogrzebali już nadzieję znalezienia pracy.

Z drugiej strony przychodzi z Canal Street do Floptown ten, kto ma koszulę, 5 centów i tyle próżności, aby ją kazać uprać. Widzi się go, jak siedzi w „*Cut rate laundry*”<sup>62</sup> i z nagą górną połową ciała czeka, aż Chińczyk namoczy koszulę, namydli, wyźmie, wysuszy, zmagluje i wyprasuje.

Autochtoni pozwalają swoim zębom szczękać. Szczęśliwy jest ten, kto ma przynajmniej płaszcz, choćby tylko taki, po którym widać, że tak samo często zmieniał swój zawód, jak jego posiadacz: płaszcz służył już jako chustka, jako poduszka pod głowę, kołdra, torba, papier do pakowania.

Misje kościelne, armie uzdrowienia i Hobo College<sup>63</sup>, uniwersytet ludowy dr Benno Reittmanna<sup>64</sup> urzędują tutaj, w okręgu zamieszkałym przez swych zwolenników.

## 3. Krowa pani O’Leary

Dom 558 na Koven Street stoi na lokalnie historycznym gruncie. Osiemnastego października 1871 roku pewnej niedzieli o dziewiątej godzinie wieczorem szła ówczesna właścicielka tego domu, Mrs. O’Leary, do stajni, gdyż zebrane u jej lokatorów w dniu urodzin towarzystwo chciało mleka. Krowa, rozwścieczona, że w porze przeznaczonej do spania jeszcze jest wyzyskiwana, wymierzyła postawionej obok niej olejnej lampce kopnięcie nogą i w okamgnieniu stajnia zapaliła się jasnym płomieniem.

Krzyzcząc, wybiegła Mrs. O’Leary na ulicę, zanim jednak nadeszła pomoc, wiatr przeniósł płomienie na wierzchołki dachów sąsiednich domów i dalej na sąsiednie domy, aż w końcu całe Chicago stało w jasnym ogniu. Dopiero we wtorek zatrzymał się szalejący wiatr. Siedemnaście tysięcy domów, drewnianych i na wpół murowanych, zostało spalonych albo zwałonych; 190 milionów dolarów podano jako wynagrodzenie szkód w towarzystwach ubezpieczeń; 98 000 osób zostało bez dachu, dwieście zginęło w płomieniach, prawie tysiąc rannych. Ścisłe badanie urzędowe przyznało bez wątpienia winę

Bieda

Pożar, Zwierzę

<sup>59</sup>*Labor Office* (ang.) — Urząd Pracy. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*employment agency* (ang.) — agencja pracy, zatrudnienia; biuro pośrednictwa pracy. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*slave market* (ang.) — targ niewolników. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*cut rate laundry* (ang.) — tanie pranie; pranie po obniżonej cenie. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*Hobo College* — szkoła ludowa przeznaczona dla robotników, oferująca miejsce do spania i posiłek, a także edukację i przestrzeń spotkań; nazwa od określenia: *hobo*, odnoszącego się do pracownika-migranta w USA, podróżującego w poszukiwaniu pracy. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Reitman, Ben Lewis* (1879–1943) — amerykański anarchista, doktor medycyny, lekarz ubogich („*the hobo doctor*”), potomek żydowskich imigrantów z Rosji, związany z Emmą Goldman. [przypis edytorski]



Jeszcze teraz wznosi się rezydencja braci Genna Whisky-Mussolinich na Miller Street w postaci dwupiętrowego domu z cegieł i panuje tytanicznie nad otoczeniem. (Ameryka nie składa się z samych tylko drapaczy chmur!). Podobną rolę jak komisariat Desplaines Street odgrywa w historii policji chicagowskiej Palazzo Genna, który posiada pięć ulicznych wyjść.

W procesie przeciw przemytnikom Scalisi i Anselmi z powodu zastrzelenia przez przemytnika potężnego detektywa wyszło na jaw, że dom Gennów objął komendę nad załogą policyjną i że wiele setek urzędników odwachu na Maxwell Street przychodziło co tydzień, aby odebrać swoje wynagrodzenie za współudział. Scalisi i Anselmi, ponieważ

Sprawiedliwość

Włosi mają w Chicago wielkie wpływy wyborcze, zostali uwolnieni. Ale przeciwko wprowadzającym otwarcie korupcję urzędnikom wystąpiła zwierzchność z drakońską surowością, którą zawsze i wszędzie stosują przeciwko dochodzącym do wiadomości bezprawiom personelu policyjnego: winni zostają wszyscy razem i każdy z osobna przeniesieni do innego rewiru.

#### 6. Jarmark tandeciarski

Przez kogo teraz jest opłacany rewir policyjny Maxwell Street — publiczność wcale nie wie. W każdym razie rozbija się o własny próg jarmark nędzoty chicagowskiej, przed południem najpotężniej w niedzielę.

Kupujący składają się z Polaków i Meksykanów, którzy bardzo lubią katolickie wytwory dewocji — święte obrazy, książki do nabożeństwa, krucyfiksy, różańce i medaliony — leżące bez wyjątku w budach żydowskich sprzedawców.

Jedyna ich konkurencja, Indianie, biją w wojenne bębny na skrzyżowaniu bocznych ulic. Do tego tańczą ci czerwono-brunatni pierwotni mieszkańcy kraju w ozdobach z piór święte tańce plemienia, aby znieść nabywców dla swoich wyrobów.

Maxwell Street, której handel przeszkadza każdemu innemu handlowi, jest niewybrukowana. To stwierdza się natychmiast. I dopiero na jakimś miejscu, gdzie widać pęknięcie w gruncie, zauważa się, że pod tym leży asfalt. Jest on pokryty przez wysoką na cal, od dziesięciu lat mocno wktą warstwą ulicznego błota. Przejeżdżające wózki dzielą i bez tego ulicę na trzy ulice, czwarty i piąty rząd tworzą sklepy w domach, przed którymi pracują chwytający za poły zachwalacze i łapacze klientów.

Miasto, Handel, Brud

Największe i najbardziej zadziwiające miejsca są te, gdzie wystawiają na sprzedaż kompletny inwentarz gorzelnicy spirytusowej, oślepijają białe miedziane kotły, aparaty do destylacji, retorty, termometry, rury i to wszystko, co jest potrzebne do fabrykacji whisky w każdym amerykańskim gospodarstwie. Chmiel w woreczkach dla krajowego piwowarstwa i szlachetne drożdże do wyrobu piwa otrzymuje się w sąsiednich kramach.

Alkohol

Używane stojące kołnierzyki kosztują 5 centów za sztukę, za stare koszule żądają 30 centów, ale tandeciarski daje ze sobą mówić.

Ogromne ilości płyt gramofonowych leżą na sprzedaż po 5 centów za sztukę, 50 centów za tuzin.

Nie dowierza się — czy można za tę śmieszna cenę kupić porządną płytę? Sprzedawca kładzie chętnie każdą, którą się wyszukało, na swój gramofon, i patrz no: gra bez zarzutu. Kupuje się jeden tuzin i dopiero w domu spostrzega się, że płyty nie funkcjonują: fonografy Edisona, do których one pasują, nie są już więcej wyrabiane od dwudziestu lat.

Wóz z książkami ma jednakowe ceny pięciu i dziesięciu centów, stare kalendarze i stare magazyny, hiszpańskie plugawe romanse, polskie bible i kilku oklepanych szkolnych klasyków, np. w żydowskim języku romans Goethego: *Die Zores fūn jūngen Werther*.

#### 7. Kto zna ludy

Im dalej na zachód, tym nędzniejsza staje się okolica, tym bardziej rozwalone domy, aż w dzielnicy przestępców w Cicero widok chat i brudu wprost przejmują fizycznie. Zachód Chicago odpowiada wschodowi wszystkich innych wielkich miast, jest to dzielnica nędzy; wschodnią granicą miasta jest Michigan-See, nad brzegami którego panuje luksus.

W zamkniętym okręgu mieszkają Polacy w liczbie 320 000, 130 000 Włochów, 116 000 Czechosłowaków, 110 000 Murzynów, 61 000 Węgrów, 27 000 Greków, którzy na „delcie” na Blue Island Avenue żyją z tego, że są częściowo właścicielami, a częściowo

codziennymi gośćmi kawiarni. Liczba Chińczyków wynosi zaledwie 3000, ale pomimo tego ich plemiona i związki napastują się wzajemnie. Najgwałtowniejsza z tych Tong-wojen była stoczona między Hip Singsami a On Leongsami<sup>66</sup>, narobiła ona hałasu wśród Chińczyków całej Ameryki, a szczególnie w Chicago pochłonęła wiele śmiertelnych ofiar.

Można zrozumieć, że młodemu norweskiemu konduktorowi halstead'skiego tramwaju nie było miło na duszy, gdy w jego wagonie grupa Irlandczyków, napompowanych whisky, nie chciała zapłacić za przejazd. Można łatwo zrozumieć, że młody konduktor norweski wobec takich okoliczności porzucił i ten zawód, i miasto, wrócił do ojczyzny, spróbował swych sił jako pisarz i stał się Knutem Hamsunem.

Literat

#### 8. Rewolucja niemiecka

Niemcy nie tworzą ani socjalnie, ani geograficznie zamkniętej masy, są między nimi fabrykanci z luksusowymi mieszkaniami na Złotym Wybrzeżu, średnia klasa koło parku Lincoln od 1600 do 2000 North i pozbawieni schronienia pomocnicy kelnerów w Hull House.

Dochodzi do tego, że np. Włosi znacznie energiczniej występują na widowni politycznej niż liczbowo dwa razy tak liczni Niemcy. Oni i Skandynawowie stanowią zresztą najmniejszy odsetek wśród obwinionych o przekroczenie prohibicji cudzoziemców, co jest godne uwagi, gdyż pierwsze powstanie przeciwko ograniczeniu sprzedaży alkoholu wyszło od Niemców.

Alkohol, Bijatyka,  
Obyczaje, Prawo

Dawno, dawno to było, ale wspomnienie o *the Lager Beer Riot* z 1885 roku żyje jeszcze dzisiaj z dawną siłą. Z północnego brzegu miasta, z niemieckiej kolonii toczy się tłum ludzki pod hasłem zdobycie Bastylia na Court House, gdzie siedzi uwięzionych kilku gospodarzy, gdyż w niedzielę szynkowali piwem. Na North Clark Street chciał kordon policji zatrzymać demonstracyjny pochód, ale dawniej pokojowo usposobieni Niemcy byli tym razem nie do poznania; na wojenny okrzyk: „To jest łajdactwo zamykać w niedzielę piwiarnie” rzucili się na straż, zaczęto strzelać, zabijając i raniąc ludzi.

Jak wielka była liczba ofiar, nie można było ustalić, gdyż z tego wypadku nie są zachowane w pokoju prezydenta policji żadne trofea ani żaden pomnik nie przypomina o tym zderzeniu się. Skończyło się zresztą zwycięstwem piwa w beczkach. Zwierzchność tak została nastraszona rewolucyjną żądzą walki Niemców i zawartym pomiędzy nimi a Irlandczykami związkiem piwowarsko-wódczanym, że zniosła zakaz niedzielnego wyszynku. Złote czasy!

### BANK NA WALL STREET

Po drodze, idąc podjąć swój czek, znalazł się doktor Becker na Wall Street. Przyszło mu na myśl, że pacjenci jakiegoś oddziału dla wariatów, przekonani, że są zupełnie normalni, zjednoczyli się na jakąś uroczystość pod dewizą: „u prawdziwych szaleńców”.

A może wplątał się w krwawą rewolucję? A może znajduje się na widowni prasowego mordu?

— Co się stało? — pytał doktor Becker.

— Och, giełda jest dzisiaj słaba i tylko dlatego jest tutaj tak spokojnie.

Kręcąc głową, doktor Becker skierował swe kroki do banku, o którym nic jeszcze nie słyszał w Europie.

Wybrał sobie jedną z dziewiętnastu wind osobowych z napisem „Express”. Albowiem myślał: moje konto mieści się w ważnym oddziale, przy którym nawet „Express” musi się zatrzymać.

Winda wzniosła się na 35 piętro, co go z jednej strony uraziło (przypuszczał, że umieścił swój majątek na elegantszym piętrze), z drugiej strony jednak uspokoiło co do solidności przedsiębiorstwa — jakiś pokątny bank nie mógłby sobie wybudować gmachu — drapacza nieba.

<sup>66</sup> *Tong-wojen (...) między Hip Singsami a On Leongsami* — walka rywalizujących ze sobą chińskich organizacji, powstałych jako związki zawodowe w obronie przeciw atnycchińskim uprzedzeniom w Ameryce i przekształconych z czasem w gangi (Tong): Hip Sing Tong przeciw Four Brothers i On Leong Tong, prowadzonych na początku XX w. o kontrolę nad dzielnicami chińskimi (Chinatowns) wielkich miast USA: Chicago, Nowego Jorku, Seattle i San Francisco. [przypis edytorski]

Zresztą nie znalazł swego majątku na górze, skutkiem czego wziął inny *express*, aby znowu zjechać w dół i poinformować się lepiej u portiera. Ku swemu zdumieniu zjechał nie 35 pięter, lecz 39. Zagadka wyjaśniła się dopiero, gdy wysiadł i dowiedział się, że także pod ziemią znajdują się piętra.

Znajdował się właśnie przed pewnym miejscem, które w krajach niemówiących po angielsku oznacza się słowem *safes*, podczas gdy tutaj nazywa się *vaults*<sup>67</sup>. Doktor Becker obserwował je z chciwością, jego zaś obserwowano podejrzliwie. Zapytano go nawet, czy ma tutaj jakieś zajęcie. Zaprzeczył temu, przywiódł go tu prywatny interes, a nie jego zawód. Jest klientem banku. Na to urzędnik zwrócił się do niego z zabronionym najsurowiej w postępowaniu z klientami uśmiechem i wyjaśnił doktorowi Beckerowi urządzenie, przede wszystkim zaś wejście do skarbcza, którego modny mechanizm przypominał niemądrze doktorowi Beckerowi mechanizm średniowiecznego zegara wieżowego z poruszającymi się figurami.

Drzwi te, dowiadywał się, zbudowane z nierdzewiącej stali, na metr grube, wagi 45 ton, będą wieczorem zamknięte przez trzech urzędników i mogłyby zostać otwarte tylko przez nich w oznaczonej ściśle na zegarze przez nadkontrolera godzinie.

Że zaznaczone przepisy ostrożnościowe istnieją tylko dla uspokojenia posiadaczy depozytów, a nie przeciwko włamywaczom, i że opancerzony skarbiec starego systemu tak samo dużo, to znaczy tak samo mało daje pewności przeciwko wypadkowi i włamaniu, było dla doktora Beckera, który wiedział coś niecoś o technice włamywaczy, zupełnie jasne.

Nie dał jednak poznać tego po sobie. Ba, udał nawet obłudnie podziw nad optycznym trickiem (uniemożliwiającym zauważenie kombinacji liter nawet dla stojącej obok osoby lub ciekawie zerkającego sąsiada), chociaż z kryminalistyki nie był mu znany nawet pojedynczy przypadek użycia przez nieuprawnionego kombinacji cyfr dla otworzenia kasy bankowej.

Umieszczono tu około trzech miliardów dolarów w gotówce, przedmiotach i papierach wartościowych — opowiadał urzędnik. Ciekawe były ich przenosiny do tego pomieszczenia. Między starym i nowym budynkiem bankowym przez szpaler detektywów jeździło tam i z powrotem osiemnaście aut pancernych, każde obsadzone przez pięciu policjantów z bombami łzawiącymi i karabinem maszynowym.

Tylko jeden z osiemnastu samochodów ukrywał słodki ciężar, pozostałe siedemnaście stanowiło konwój. Każda jazda trwała pięć minut i trzeba było sto dziesięć razy odbyć tę drogę, zanim bogactwo, wystarczające dla złagodzenia nędzy całego świata, zostało przeniesione z jednej piwnicy do drugiej. Zresztą urzędnik nic nie mówił o nędzy i piwnicy, przeciwnie, dodał z pewną dumą, że nie ma tu wcale piwnicznego powietrza; mimo że *vaults* leżą tak głęboko pod skalistym gruntem Manhattanu, powietrze jest w nich doskonałe, gdyż doprowadzone jest przez rurę z wysokości drugiego piętra, a warstwa oleju oczyszcza je z pyłu i kurzu.

Wobec powyższych okoliczności doktor Becker nie mógł zrobić nic innego, jak przyrzec, że przy najbliższej sposobności wynajmie jedną z pięciu tysięcy kasetek depozytowych i nie z tych małych po 7 dolarów 50, ale za 15 tysięcy dolarów opłaty rocznej.

Niezadowolony z takiego interesu, który przedstawiał jedynie pewne widoki dla banku, urzędnik chciał coś zarobić i dla siebie, czy to pochwałę, czy prowizję, i doktor Becker przyrzekł mu użyc jego przewodnictwa przy wynajmowaniu wielkiej kasy. Przede wszystkim chciał jednak doktor Becker podjąć swój czek. Ze znacznie mniejszym poczuciem własnej godności nie myślał już, że windy zatrzymują się przed jego kontem, i wszedł do zwykłego dźwigu.

O piętro ponad *safes*'ami, ale wciąż jeszcze pod ziemią, wpadł w gromadę liczącą dwieście do trzystu młodocianych postaci, które już na pierwszy rzut oka wziął za rabusiów, a po usłyszeniu pierwszych słów za giełdowców.

Byli oni mało ekskluzywni, niezbyt opanowani, otoczyli nowego gościa i wtajemniczali go, niewiedzącego, czy mówi z Pierpontem Morganem, czy z Johnem Rockefellerem, z całym zaufaniem w sprawy zawodowe. Najważniejszym wydawało się, że szyba w okienku urzędnika była z opornego na kule szkła, a cienka tafla marmurowa mię-

<sup>67</sup>*vaults* (ang.) — sklepienie, krypta, grobowiec; tu: skarbiec, sejf. [przypis edytorski]

dzy pomieszczeniem urzędników i interesantów obita od wewnątrz zabezpieczającą od włamania stalą pancerną.

Dlaczego zbierali się tutaj maklerzy giełdowi, domyślił się już doktor Becker z napisu „*Overnight-Loans*”<sup>68</sup>.

Usłyszał tu ku swemu ostrzeżeniu, że papiery wartościowe, zastawione za gotówkę lub zdeponowane, są zabezpieczone nie tylko przed kulami rewolwerowym i narzędziami włamywaczy, ale i przed spadkiem; służba informacyjna umożliwi bankowi możliwie najkorzystniejsze pozbycie się zastawu w przeciągu dwudziestu minut po dowiedzeniu się o defraudacji, bankructwie lub samobójstwie.

Zadowolony pojechał doktor Becker w górę. Ku swemu zdziwieniu ujrzał, że wszystkie pomieszczenia są dostępne; oszklone drzwi, które prawie wszędzie zastępowały ściany, były przeważnie otwarte; przeszedł przez wspaniałe sale, po puszystych dywanach obok dziewcząt przy cichych maszynach do pisania i dziewcząt przy cichych maszynach rachunkowych, obok konferujących, dyktujących, spekulujących lub odmawiających kredytu dyrektorów — zupełnie niezauważony, co go zresztą w stosunku do dyrektorów i prokurentów mało dotknęło. Z wyjątkiem okienek kasowych w pomieszczeniach dla interesantów nie zauważył nigdzie przegrody między klientem i urzędnikiem.

Nawet do sali posiedzeń Rady Zarządzającej, gdzie bloki do pisania i dobrze zaostrzone ołówki zdawały się być dla niego przygotowane, wszedł doktor Becker bez przeszkody. Była to piękna pół-eliptyczna sala, zbudowana widocznie na wzór sali Sądu Najwyższego w Waszyngtonie. Na każdym fotelu klubowym była przytwierdzona błyszcząca złota tabliczka, i doktor Becker przeczytał, jak nazywają się kardynałowie tego zebrania finansowego.

W sali telefonów policzył plecy dwudziestu pięciu dziewcząt, nie mógł ich ujrzeć z przodu, gdyż zwrócone były do podziurkowanej ściany. Zresztą, gdyby tak nawet nie było, nie miałby doktor Becker żadnej przyjemności, gdyż każda miała usta przytknięte do trąbki telefonicznej, a na uszach słuchawki.

— Ile połączeń? — zapytał doktor Becker naczelnickę surowo jak kontroler. Odpowiedziała z miłym uśmiechem:

— 150 połączeń państwowych, 900 dodatkowych i 100 bezpośrednich linii do giełdy i filii.

Niewzruszony uśmiechem indagował dalej:

— Ile rozmów macie tu codziennie?

— W zeszłym tygodniu przeciętnie 27 500 dziennie, maximum 31 200.

— *Thank you*<sup>69</sup>.

Odważnie wkroczył doktor do sąsiedniego połączenia. Nie zdumiał go bynajmniej jakiś niezrozumiały aparat.

Domyślał się jedynie w przybliżeniu, że to, co obok pracowało, było pośpieszną tłocznią czy też powielaczem.

— Na czym polega wasza praca? — zapytał niezdecydowanie i prasa zaturkotała. „Zużywamy tylko minutę i ćwierć na reprodukcję wraz z wywołaniem i odbitką”. Oblicze doktora Beckera zachowało krytycyzm, wskazał na zagadkowy olbrzymi aparat: — A co reprodukuje? — „Fotostat sporządza kopie weksli i wpływających dokumentów”. — *Thank you*.

Inspektor doktor Becker udał się do sali wypełnionej rurami.

— Wyjaśnić. — „Jest to centrala dla elektrycznej poczty pneumatycznej międzydziałowej. Przeciętnie wysyła się do 800 przesyłek”. — *All right*<sup>70</sup>.

I w „krematorium”, gdzie spala się wylosowane kupony z zabezpieczeniem od włamania i pożaru, nie miał nic do zarzucenia. Kazał sobie wygłosić prelekcję o obchodzeniu się z zasłonami, które na wypadek pożaru zamykają wszystkie oddziały i otwierają dostęp do szybu ogniowego jedynie dla pogorzalców.

Szafy do garderoby uznał za celowe, zwłaszcza zaś urządzenie, za pomocą którego wieszka się parasol na zewnątrz, można go jednak zdjąć dopiero po otwarciu drzwi szafy.

<sup>68</sup>*overnight loans* (ang.) — pożyczki jednodniowe. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*thank you* (ang.) — dziękuję. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*all right* (ang.) — w porządku. [przypis edytorski]

W sali wpłat i wypłat poinformował go kierownik oddziału, że co godzinę przy okienkach załatwia się 3000 transakcji. „All right” — powiedział doktor Becker... zobaczył wtedy nad stołem tablicę „*Lettres of Credit*”. Nie zastanawiał się nawet przez chwilę, czy ma pozostawić jeszcze swój list kredytowy w tak godnym zaufania banku. Potrzebował przypadkowo tej sumy.

Krótko mówiąc, doktor Becker zrealizował swój list kredytowy, opiewający wszystkie na sumę sto dolarów, rezygnując w ten sposób z błyszczącej złotej tabliczki ze swoim nazwiskiem, która w przeciwnym razie zabłysła być może na fotelu klubowym w pół-eliptycznej sali posiedzeń.

## KATOWSKI OBIAD PODANY PRZEZ MISTERA STEINA

Był to dzień, w którym doktor Becker przybył do Chicago. Zaledwie reporterzy opuścili jego pokój, gdy zadzwoniła do niego pewna redakcja: czy nie zechciałby napisać jako gość reportażu o mającym się dziś wieczór odbyć straceniu. Ale kim jest ten, który dzisiaj za pomocą elektryczności zostanie usunięty z drogi?

Jest to Murzyn, odpowiedział wydawca, ale jego nazwisko wypadło mu nagle z głowy.

W godzinę później doktor Becker trzymał w ręku pozwolenie „*to witness the execution of David Shanks at the County Jail at 12.05 a.m.*”<sup>71</sup>, ostemplowane i podpisane przez Johna E. Tragera, szeryfa.

W gmachu sądu i więzienia, gdzie znalazł się w nocy doktor Becker, dowiedział się, że stracenie zostało odwołane, co go ani wprawić w zły humor, ani też ucieszyć nie mogło, gdyż nie wiedział, czy ta zmiana jest dla biednego czarnego diabła, Dawida Shanks, tylko jednym ze zwykłych w Ameryce przedłużeń katuszy śmierci, czy też jego ratunkiem.

W każdym razie doktor Becker opuścił sąd i udał się do sąsiedniego domu, ażeby się w barze napić kawy.

Tutaj jednak zobaczył, że wpadł z deszczu pod rynną albo — nieobrazowo powiedziawszy, chociaż tu chodzi o obrazy — z jednego stracenia w wiele.

Obrazy wisiały na ścianie lokalu, gdzie ten, kto ma apetyt, może spożyć kolację i pograć się w myślach nad tym, że w sąsiednim domu biedny grzesznik otrzymuje takie same menu jako ostatnie i jedyne dobrodziejstwo.

A więc doktor Becker miał dosyć powodów, ażeby szczegółowo obejrzeć tapetę z wizerunkami stracń, a nawet wyciągnąć swój ołówek i coś niecoś sobie zanotować, wydawało się to jakby stworzone do zilustrowania kulturalnego poziomu kraju z jednej strony i metody katowskich pacholków z drugiej.

Lecz zaledwie doktor Becker wyciągnął ołówek, przyszedł mister Stein, ażeby się przedstawić podejrzanemu o dziennikarstwo jako właściciel baru i jako ten, kto uwiecznionym na fotografii delikwentom dostarcza katowskiego obiadu, tzw. *chickendinner*, z pieczoną kurą, za który nie bierze żadnej opłaty.

Doktor Becker podczas tej rekomendacji był bez przerwy wpatrzony w jakiś obraz i spytał Mr. Steina, kto z jego klientów jest na nim uwieczniony. To była w rzeczywistości omyłka, gdyż okazało się, że był to jedyny skazaniec, któremu Mr. Stein nie podał ostatniego wieczornego obiadu.

Obraz przedstawiał niewątpliwie umarłego ze szklanymi oczyma i okaleczoną szczęką.

Górną połowę ciała leżącego na ziemi trupa szarpie drab, na którego uniformowym płaszczu widnieje słowo: „*guard*”<sup>72</sup> naprzeciwko soczewki fotograficznej, podczas gdy drugi drągał, z napisem „*warden*” na czapce, śmieje się do fotografa. Nieboszczyk nie był jeszcze martwy, jak się doktor Becker dowiedział od Mr. Steina, tylko w agonii. On to właśnie — niejaki Harvey Church — z jakiegoś nieznanego publiczności powodu należał do strajku głodowego. Na trzydziesty dzień nieprzyjmowania posiłków został on, względnie *warden* (dyrektor więzienia) Mr. Werstbroke sfotografowany dla prasy. Później założono Harvey Churchowi powróż na szyję, chociaż to do uśmiercenia go nie było już potrzebne.

<sup>71</sup> *to witness the execution of David Shanks at the County Jail at 12.05 a.m.* (ang.) — aby być świadkiem egzekucji Davida Shanksa w więzieniu okręgowym o godz. 12:05 w nocy. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *guard* (ang.) — straż. [przypis edytorski]

Na innym obrazie zobaczył doktor Becker drobnego młodzieńca o dziewczęcej twarzy i usłyszał, że był to chórzysta, imieniem Viani, który w swojej celi tak pięknie śpiewał, że ludzie tłoczyli się na ulicy. W dniu jego osiemnastych urodzin podano mu pieczoną kurę...

Dopiero od kwietnia 1928 roku przestano wieszać, tylko zabijano prądem elektrycznym.

Pierwszym był doktor ze szpitala na Azhlane-Boulevard, dr Rougetti, wobec przestępstwa, dla którego szubienica i prąd elektryczny wydawały się łagodną karą; dokonał on na pewnej dziewczynie zakazanej operacji za umówione honorarium pięćdziesięciu dolarów, z czego wypłacono mu dwadzieścia pięć; gdy następnego dnia reszta nie została złożona przez przyjaciela pacjentki, doktor ten nie dokonał następnej koniecznej operacji i pozwolił pacjentce umrzeć wśród strasznych cierpień. Takiego ordynarnego, bestialskiego świństwa nie można sobie wyobrazić, bez wątplenia jest ono w Ameryce odosobnione. A jednak, a jednak — przyczyna tego jest amerykańska.

W społecznym znaczeniu godny uwagi jest przypadek młodego, na fotografii już łysawego Niemca amerykańskiego, nazwiskiem Wunder, który pewnego wieczoru wezwał policję: został w mieszkaniu swoim napadnięty przez jakiegoś obcego, wywiązała się walka, w której bandyta zabił małżonkę Wundera, Wunder zaś bandytę. Obydwa trupy zostały pochowane, a broń do dzisiaj nierozpoznanego mordercy zwrócona władzom wojskowym, gdyż był to rewolwer wojskowy.

Jakież było jednak zdumienie policji, gdy dowiedziała się od władz wojskowych, że rewolwer tego numeru był wydany podczas wojny Karolowi Wunderowi i dotychczas niezwrócony. Zaaresztowany wdowiec przyznał się, że aby pozbyć się żony, udał się na „rynek niewolników” na Canal Street i wynajął pierwszego lepszego poszukującego zajęcia, który za sto dolarów podjął się zastrzelić kobietę wręczonym sobie rewolwerem. Gdy nieszczęsny opryszek zjawił się w jego domu i wykonał polecenie, Wunder zastrzelił go, aby pozbyć się świadka i zaoszczędzić sto dolarów. Zapomniał jedynie o usunięciu numeru z rewolweru, przez co dostał się na krzesło elektryczne.

— Temu — mówi Mr. Stein, wskazując fotografię niejakiego Russela Scotta — czterokrotnie dostarczałem kurę, czterokrotnie ją zjadał i czterokrotnie stracenie zostawało w ostatniej chwili odwoływane. Za piątym razem, gdy było już zupełnie pewne, znaleziono go w celi martwego — powiesił się.

Większość tych na ścianie zdobyła sobie prawo na jednorazowe najedzenie się do syta przez *hold up*, amerykański sposób napaści, przy której bandyta podnosi broń, a urzędnicy przy kasie ręce; jeśli się to nie uda, mamy zabitych rewolwerem, a potem elektrycznością. Wielu z nich to szmuglerzy alkoholu; próbowali, strzelając, uniknąć aresztowania, zabijając przy tym policjanta (utrupiając — tłumaczy Mr. Stein, albo, przypuszczając, że doktor Becker nie zrozumie angielskiego słowa *killed*, albo chcąc pokazać, że umie po „niemiecku”).

Co się dzieje z aresztowanymi w cyrkule policyjnym, pokazują niektóre obrazy z zdziwiającym bezwstydem: ujęci mają okrwawione policzki i zmiażdżone nosy.

Filiżanka kawy, którą zamówił doktor Becker, wystygła na stoliku, podczas gdy on oglądał obrazy na ścianie. Doktor Becker nie zamawia drugiej filiżanki. Miał w tym czasie widzieć jedno amerykańskie stracenie, ale *in effigie* zaznajomił się ze wszystkimi. Oddała się zatem, nie uniknąwszy otrzymania od żywiciela skazanych następującej karty reklamowej:

*Delaware 4262*

*Joe Stein*

*Court Restaurant*

*66 W Austin Ave. Chicago III.*

## KOSTIUMY FILMOWE

— Było to przed wielu, wielu laty, gdy na świecie nie było jeszcze w ogóle kina...

— To będzie ładne — zawołały dzieci — nareszcie porządna bajka...

— ...wtedy więc, w 1905, przybył na wszechświatową wystawę do Saint Louis młody Amerykanin nazwiskiem L. L. Burns, z trupą złożoną z dziesięciu Indian...

Śmierć, Pieniądz, Prawda,  
Sprawiedliwość



— Babciu, czyż wtedy byli już w Ameryce Indianie?

— Tak, dzieciaczki, wtedy w Ameryce było jeszcze dziesięciu Indian, którzy występowali w takich budach, jak na przykład u L. L. Burnsa. Gdy wystawa się skończyła, Indianie swymi autami powrócili do domów...

— Babciu, co to znaczy „auto”?

—auta były to samoloty, które mogły ruszać się tylko po ziemi, tak że posuwano się bardzo powoli naprzód...

— Babciu, czy można było przejeżdżać przez domy?

— Nie. Między domami pozostawiono luki, po których poruszały się auta, musiały jednak co chwila zatrzymać się, wymijać lub trąbić — to był straszliwie powolny okres. Ale nie przerywajcie mi wciąż, bo nie będę mogła opowiedzieć wam bajeczki do końca, zrozumiałyście, dzieciaczki?

— Tak, tak, opowiedz nam bajkę. Będziemy ciche jak trusie.

— Tak więc, dziesięciu Indian powróciło do domu w swoich starych ubraniach, w których przybyli. Mr. Burns uważał je za mało frapujące i zbyt mało indiańskie i dlatego uszył im u krawcy w St. Louis dziwaczne szaty. Z tymi właśnie strojami pozostał Mr. Burns. Poradzono mu udać się do Los Angeles i otworzyć sobie niewielki sklep. Miasto to ma meksykańską krew w żyłach i lubi maskarady. „Dobrze — powiedział sobie Mr. Burns — jeśli każdy z tych dziesięciu kostiumów wynajmę tylko dwa razy w miesiącu, będę mógł zarobić sześćdziesiąt dolarów i od biedy żyć z tego”.

— Musiał chyba zrobić ze sklepu mieszkanie, aby dać sobie radę z 15 dolarami tygodniowo — obliczało jedno z dzieci.

— Tak, zrobił to, ale powodziło mu się bardzo kiepsko. Wynajął tylko sześć kostiumów.

Pewnego pięknego dnia przybył do sklepu jakiś mężczyzna, mówiąc, że nazywa się pułkownik Selig, który na pustych pagórkach Hollywoodu fotografuje ruchome obrazki. Tym razem miała to być wielka sztuka z życia Indian. Potrzebuje na ten cel osiem kostiumów indiańskich na półtora dnia. Potem przybył pułkownik Selig raz jeszcze i powiedział, że chce teraz kręcić największy ze swych *western pictures*<sup>73</sup>, kolosalne przedsięwzięcie, na które wyda osiemdziesiąt dolarów...

— Osiemdziesiąt dolarów za jeden film — zawołały dzieci, klasnąwszy w dłonie.

— Czy wtedy nie było gwiazd? — zapytało jedno z dzieci.

— Nie, wtedy nie było jeszcze gwiazd — odpowiedziała babka.

— Obawiałem się tego — zawołał najmniejszy chłopczyk i przytulił się do babci.

— Tak, tak, pułkownik Selig chciał kręcić dla swego olbrzymiego filmu scenę masową z niemniej jak piętnastu Indianami w oryginalnych kostiumach. „Czy posiada je pan, panie Burns?” — „Oczywiście, że posiadam” — odpowiedział Mr. Burns, w rzeczywistości nie miał ich wcale, tylko kazał uszyć w nocy. I czynił to stale, gdy inne towarzystwa przybywały do Hollywood nakręcać filmy i wynajmowały od niego kostiumy, i w ten sposób powodziło mu się coraz lepiej i lepiej....

— I Mr. Burns, założył Towarzystwo Akcyjne, prawda, babciu?

— Tak, moje dzieci. Założył Western Costume Comp., która teraz rozporządza kapitałem akcyjnym trzech milionów dolarów...

— Trzy miliony dwieście tysięcy — poprawiły dzieci.

— ...którego prezesem został Mr. Burns. Żyje on jeszcze.

— O, to musi być stary! — zawołały dzieci.

Mimo swoich 44 lat Mr. L. L. Burns, prezes, jest jeszcze czerstwym mężczyzną, zawsze chętnym oprowadzić nas po swoim sklepie, który jest stanowczo za duży na dziesięć indiańskich kostiumów.

Stojąc na tarasie, pokazywał nam z zadowoloną miną Hollywood, Beverly Hills, gdzie mieszkają jego klienci. Wszystko to podlega jemu i jego władza jest potężna, gdyż z dachu, gdzie stoją auta klientów i urzędników, dziesięć armat spogląda groźnie na Kalifornię i Ocean Spokojny.

— Dla filmów wojennych — wyjaśnia Mr. Burns.

<sup>73</sup>*western pictures* (daw. ang.) — westerny, filmy z akcją rozgrywającą się na Dzikim Zachodzie. [przypis edytorski]

— Jaki kraj interesuje pana? — zapytuje. — Może pan ujrzeć wszystkie, z armią, ludnością cywilną i dworem królewskim. Chiny, Indie, Anglię, Serbię, Kongo, Persję, Austrię...

— Ale Mr. Burns, Austria nie ma przecież armii, ani ludności cywilnej, ani dworu królewskiego.

— Oczywiście, że nie ma tego u siebie. Za to my mamy to tutaj. Niech pan pozwoli!

Zjechaliśmy bardzo nisko windą, na dziesiąte piętro do monarchii austro-węgierskiej. Stała tam i wisiała, zakurzona, stęchła i pompatyczna, taka, jaką była za życia. Minęliśmy żandarmerię i gwardię, to znaczy: białe kurtki ze złotem i sznurami, wysokie po kolana, lakierowane buty i czerwono-czarne czapki i obejrzelśmy wiedeńskich policjantów miejskich, których mające wzbudzać postrach pruskie pikielhauby<sup>74</sup> mają szpic symbolicznie złagodzony kulką. Przemknęliśmy obok orkiestry c.k.<sup>75</sup> pułku piechoty z lirą na wyłogach, kazaliśmy defilować II pułkowi ułanów, hełmom dragońskim, kaskom oficerów sztabowych, opaskom polowym, szablon oficerów piechoty, bagnetom, wozom saperskim, pałaszom.

Obejrzelśmy jedwabne podszewki i wyszyte na nich firmy krawieckie „Józef Mattura, Göding”, „Józef Szalay, Wiedeń 1913”, „Alex Sohn, Wiedeń I”. I na każdym guziku widnieje firma, na kurtce „F.J.I.”, na spodniach „Moritz Tiller, Wiedeń VII” lub „Franciszek Józef Zimblec c.k. dost. nadw.”.

Na jednej bluzie kamgarnowej<sup>76</sup> wyszyta jest firma: „Max Kamareith Co. Alsergrund” Materiał pochodzi z czasów pokojowych. Wiemy o tym, bo znaleźliśmy Maxa Kamareitha, któremu w połowie lipca 1914 r. wyznaczono upadłość. Gdyby mógł ją odroczyć, w miesiąc później byłby bogaczem, a samobójstwo jego byłoby niepotrzebne...

I nazwisko właściciela widnieje przy każdym prawie ubraniu, „Nadpor. Hubert hr. Wojkffy, „hr. Deym” lub coś w tym rodzaju. Oficerowie, intendenci i kanceliści, każdy na swój sposób troskliwie wymazali przed sprzedażą swoje nazwiska.

Fraki poselskie, wyszyte złotem, smukłe i niewspółczesne, trzymają się na stronie.

A potem uderza się piętami, prezentuj broń! trąbić sygnał zbliżania się! warta wystąpi! potem c.k. generalicja. Są oni tam zgromadzeni z czerwonymi lampasami, zielonymi pióropuszcami, złotymi wyszyciami, a przede wszystkim z medalem uczestnika wojny 1859 r., który uprawniał ich do prowadzenia wojny 1914 r. We wspaniałych uniformach i pod zielonymi pióropuszcami sterczą, zdaje się, osoby: nie, nie ma nikogo.

A teraz: zostawione przybory wojskowe, urzędowe, cały lombard.

A najważniejsza — złotem, srebrem, masą perłową i kością słoniową wysadzana kareta dworska Habsburgów.

Wszystko to jest autentyczne i kupione w Wiedniu. Przeważnie na zamówienie reżysera Ericha von Stroheima<sup>77</sup>, który w ojczyźnie pozbawiony został stopnia porucznika, a na obczyźnie zdobył austriackie szlachectwo. (Wskazówka dla emigrantów: nadajcie sobie w Ameryce szlachectwo lub tytuł! Im będzie wspanialszy, tym większe będzie mieć znaczenie. Otwiera wszelkie drzwi i serca córek milionerów. *It's toasted*<sup>78</sup>).

<sup>74</sup>*pikielhauba* (niem. *Pickelhaube*) — hełm skórzany, z elementami metalowymi, zwieńczony na czubku wysokim szpikulcem, wprowadzony w 1842 r. przez króla Fryderyka Wilhelma IV jako ochronne nakrycie głowy pruskiej piechoty. Pikielhauba była wykonana z utwardzonej, barwionej na czarno i lakierowanej na wysoki połysk skóry, metalowy szpikuliec, najbardziej charakterystyczny element, służył do mocowania na hełmie ozdobnego pióropusza z włosia końskiego, używanego w połączeniu z mundurem galowym. W całości wykonane z metalu pikielhauby stosowane były przez kirasjerów (ciężką jazdę), w takim rodzaju hełmu występował kanclerz Otto von Bismarck. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*c.k.* — cesarsko-królewski. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*kamgarnowy* — wykonany z *kamgaru*: wełnianej przędzy dobrego gatunku; gładka tkanina z wełny czesankowej. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*Stroheim, Erich Oswald* (1885–1957) — aktor, reżyser, scenarzysta i producent filmowy; ur. w Cesarstwie Austro-Węgierskim jako syn żydowskiego kapelusznika, po odbyciu służby wojskowej, ok. 1908 r. emigrował do Ameryki, gdzie rozpoczął karierę aktorską w niemych filmach D.W. Griffitha (*Narodziny narodu* 1915, *Nietolerancja* 1916); następnie stał się twarzą filmów niemych, takich jak *Słabi mężowie* (1919), *Szalone żony* (1922), *Marsz weselny* (1928). Najwybitniejsze jego dzieło reżyserskie stanowi *Cbcwość* z 1924 r., zaś niezapomniane kreacje aktorskie w kinie dźwiękowym to kapitan von Rauffenstein w *Towarzyszach broni* (1937) Jeana Renoira oraz kamerdyner Max von Mayerling w *Bulwarze Zachodzącego Słońca* (1950) Billy'ego Wildera. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*It's toasted* (ang.) — tu: oplaka się. [przypis edytorski]

Porucznik Stroheim, którego „kupili sobie” zwierzchnicy, „kupił sobie” potem zwierzchników. On, któremu odebrano prawo dowodzenia półkompanią, dowodzi teraz armią austriacko-węgierską wraz z martwym dworem cesarskim, martwym Franciszkiem Józefem I i żyjącym arcyksięciem na dodatek. W ogniotrwalej szafie leżą dwa autentyczne egzemplarze „Złotego Runa” z wstęgą komandora i miniaturą fraka. Ujrzymy je po przejściu do oddziału „Orderów i medali”.

Ważniejsze od królestw austriackich są rekwizyty gwiazd. Kostium jest szyty na nich, ale tylko wypożyczany. Wszystko powraca do Costume Comp. Czapka Jackie Coogana, buty Charlie Chaplina. (Ma on jeszcze dwie pary, stanowiące jego własność osobistą oczywiście, może sobie na to pozwolić!) Ozdoby Normy Talmadge. Czapeczka studencka ze starego Heidelbergu Ramona Novarro. Spodenki chłopięce Mary Pickford. Suknia *empire* lady Hamilton *recte* Corinne Griffith. Płaszcz futrzany cara Pawła *recte* Emila Janningsa. Kaftan muszkietera d'Artagnana *recte* Douglasa Fairbanka.

Brak tylko turbana i burnusa, który nosił syn szejka *recte* Rudolf Valentino — wielbicielka kupiła je za 5000 dolarów.

Mijamy stare filmy — *Rywale*, tysiące mundurów z wojny światowej — *Król Królów*, tysiące pancerzy rzymskich legionów — *Intrygant*, tysiące mundurów gwardii carskiej — *Dwie sieroty*, tysiące spodni sankiulotów<sup>79</sup> — obok autentycznego inwentarza, noszącego barwy korporacji, wstęga zielono-biało-złota, wyszyte imionami przeciwników pojedynkowych, sztandar — obok hełmów Lohengrina i mantylli Carmen — obok lektyk i łodzi — obok pirackiego statku Czarnego Korsarza z rzeźbionym kilem, sterem, malowaną figurą i brązowymi moździerzami — obok olbrzymiego muzeum hełmów i sandałów — obok fryderykowskiej gwiazdy „*Pour la Mérite*” z pomarańczową wstęgą — obok biblioteki kostiumierstwa, przepisów wojskowych i pism ilustrowanych — obok broni — obok peruk — przechodzi się przez wszystkie kraje, przez stulecia, których nie znała jeszcze prababcia, ale które znają prawnuki w ściśle prawdziwym odtworzeniu, w najautentyczniejszych kostiumach w groteskowym pomniejszeniu i skarykaturowaniu.

— To wszystko prawdziwe — chwali się Mr. L. L. Burns, który dziesięć fałszywych kostiumów indiańskich rozmnożył według wszelkich przepisów biblijnych. — Prawdziwość jest naszą zasadą, gdyż nigdy nie można wiedzieć, jaki szczegół uchwyci kamera przy *long shot*<sup>80</sup>, nie można przewidzieć, czego trzeba będzie użyć przy masowych zdjęciach i ilu fachowców znajdzie się pomiędzy milionami, które oglądać będą film, na przykład Chińczycy film chiński. Wszystko jest prawdziwe — chełpi się Mr. Burns, którego fałszywe kostiumy indiańskie przyniosły mu procenty i procenty od procentów — często nawet zbyt prawdziwe.

Musimy wziąć pod uwagę, że kamera jest ślepa na kolory. Jasnozielone i jasnobrunatne barwy wychodzą biało, czerwone i ciemnozielone — czarno. Metalowe guziki, daszki czapek i lakierki rzucałyby psujące zdjęcia odblaski, gdybyśmy nie posmarowali ich mydłem lub woskiem. Musimy więc zrezygnować z części prawdy — o resztę troszczy się fabryka filmowa.

## MASKARADA I MIASTO KWAKRÓW

Aby ujrzeć uroczystość noworoczną, pochód 15 000 masek, ludność Filadelfii stała w szpalerze od 11 rano do wpół do piątej po południu. Stała? Wisiała na świecznikach. Wdrapywała się na brązowe pomniki założyciela domu towarowego, Wanamakera (kiedy, u diabła, Tietz i Wertheim otrzymają swoje posągi w Berlinie) i innych wielkich Amerykanów. Wychylała się karkołomnie i lekkomyślnie z okien. Chwiała się na skrzyniach z owocami. Siedziała na ledwie ociosanych estradach, pod którymi przechodzili ludzie.

Gołębie sprzed ratusza dostały obficie grochu do dziobania. Około drugiej gołębie, przestraszone zagrażającym ich życiu posuwaniem się tłumów i lawiną *confetti* sypiących się z drapaczy nieba, odleciały.

Zbliżył się pochód zapustny. Ciągnął się dwie i pół godziny, a nudny był na dwa i pół

<sup>79</sup>sankiulota (z fr. *sans-culottes*: bez spodni) — w czasie Rewolucji Francuskiej nazwa nadawana rewolucjonistom, którzy nosili spodnie długie, zamiast modnych wówczas wśród szlachty krótkich spodni z koronkami (fr. *culotte*). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*long shot* (ang.) — długie ujęcie. [przypis edytorski]

dnia. Wyciągając ciekawie szyje, ale bez poruszenia i zaciekawienia, ogląda tłum tańczących mężczyzn w czerwonych perukach i maskach murzyńskich, frantowskich błaznów z dzwonkiem i biczem, czerwono pomalowanych Indian w ozdobach z piór, fantastyczne postacie z kolorowymi maskarami à la Haller-Revue, w biedermeierowskich ubrankach, tworzące razem gwiazdę, pojazdy przybrane girlandami. Miejsce na skrzynce kosztowało ćwierć dolara, na skrzyni z bawełną 50 centów, miejsce na trybunie — dolara. Im wyżej, tym drożej.

Jeszcze wyżej, najwyżej, na wieży ratusza stał z wyciągniętą przed siebie ręką William Penn. Założył miasto z małą gromadką kwakrów<sup>81</sup>.

W Anglii byli oni prześladowani, gdyż sprzeciwiali się przepychowi dworu, wojska i kościoła.

Kamienny William Penn wyciąga rękę. Błogosławiąc czy odpychając?

---

Wciąż jeszcze nosi Filadelfia przydomek „Miasto kwakrów”, chociaż jej założyciele stanowią obecnie zanikającą stale mniejszość. W całym świecie istnieje jedynie 150 tysięcy kwakrów.

Przed niezbyt dawnym jeszcze czasem widywano ich jeszcze, kroczących z godnością po ulicach w swoich starodawnych ubiorach. Teraz również chodzą po ulicach, lecz nie można ich odróżnić od innych przechodniów.

Trzeba ich odwiedzić, gdy chce się ich poznać. W Filadelfii mają pięć czy sześć kościołów, są przeciwnikami kościołów i domów modlitwy, nie mają również cmentarza, jedynie „meetinghouses” — domy zebrań i „burial grounds” — miejsca grzebania. Niedzielą ich jest poniedziałek, od którego zaczyna się tydzień, tak że ich środa odpowiada czwartkowi innych wyznań. Słów „styczeń”, „luty” i tak dalej nie używają, liczą miesiące w ich kolejności, uważając łacińskie nazwy za niepotrzebny zbytek.

Nieznany im jest dalej zwrot „pan”, chociaż potoczna angielszczyzna nie zna słowa „ty”; kwakrzy używają zamiast „you”, „your” i „yours” — powiedzeń „thou”, „thee” i „thy”.

Negatywna osobliwość — ich cmentarze. Nie ma wzgórków, kaplicy, katakumb, zagonów, kwiatów, krat. Na łące małe białe płytki kamienne, sterczące zaledwie na 10 centymetrów od ziemi, mówią, że jest to grób. Na nich — litery początkowe nazwiska, rok narodzenia i zgonu. Ani śladu jakichś sentencji czy życzeń.

I dom modlitwy jest ciekawy przez swoje braki. Brak jest organów, chóru, kazalnicy, wzniesienia, pulpitu dla ksiązek do śpiewu lub nabożeństwa, gdyż kwakrzy nie uznają duchowieństwa, ksiązek do śpiewu i do nabożeństwa.

W sali nabożeństw stoją rzędy wyścielanych ławek, w oknach zwieszają się angielskie żaluzje.

W milczeniu siedzi gmina podczas swych zebrań, a każdy czeka, żeby Pan doń przemówił. W ten sposób mijają godziny, póki nie oświeci kogoś Światło Wewnętrzne. Wtedy powstaje on i wyjawia posłannictwo boskie; przemawia ze swego miejsca, przyjaciel do przyjaciela. Istnieją tylko przyjaciele, słowa „kwakier” nie używa się w sekcie tych, których ono oznacza. Obok sali tych prawie niemych nabożeństw mieści się sala towarzyska z fortepianem i staroangielskimi sztychami z życia kwakrów. Jeden z nich przedstawia, jak przyjaciółka E. Frey wyklada słowo boże skazanym kobietom z Newmarket; obszarpane, dzikie zbrodniarki są widocznie ogarnięte skruchą, jak gdyby wszystkie zbrodnie, które wtrąciły je do więzienia, popełniły jedynie z miłości do grzechu, z nieświadomości cnoty lub lekkomyślności.

I Jerzy Fox (1624–1690) wisi na sztychu na ścianie. Syn tkacza, sam pasterz owiec i szewc, założył w 1648 roku w Nottinghamshire (Anglia) pierwsze zgromadzenie przyjaciół; nazywało się ono wtedy „Dzieci światła”. Głosił on, że Bóg rozmawia bezpośrednio

Grób, Świątynia

Religia, Książd, Wiara, Bóg,  
Modlitwa, Chrzesz,  
Kobieta, Męzczyzna,  
Rewolucja

---

<sup>81</sup>kwakrzy — chrześcijańska wspólnota o nazwie Religijne Towarzystwo Przyjaciół, wywodząca się z purytanizmu, silnie akcentująca rolę osobistego wewnętrznego objawienia, głosząca pokojowe zasady i prostotę sposobu życia; początki tej grupy religijnej sięgają 1646 i działalności George'a Foxa (1621–1691), prześladowania spowodowały ich emigrację m.in. do Ameryki i Niemiec i dopiero w 1689 na mocy dekretu tolerancyjnego uzyskali wolność wyznania w Anglii; popularnie byli określani prześmiewczo jako kwakrzy (z ang. *quakers*: drżący), co miało się odnosić do fizycznych reakcji towarzyszących praktykom doświadczenia mistycznego. [przypis edytorski]

z duszą ludzką, która we wzajemnym gorącym oddaniu myśli o Nim. Nikt nie może usłyszeć słów Pana bez dreszczu — *to quake*. Fox zdobył wielkie uznanie u ludu, gdyż nazywał kapłaństwo zbytecznym i szkodliwym, zaś chrzest i komunię odrzucał jako niepotrzebny balast (do dzisiaj jeszcze żaden z kwaków nie jest ochrzczony). Potępiał wojny i przygotowania wojenne, zabraniał składać przysięgi, a później odmówił dziesięciny oficjalnemu kościołowi. Przede wszystkim jednak przez to, że zrównał kobiety z mężczyznami, co na owe czasy było oczywiście czynem rewolucyjnym.

Ta łączność ideowa z kobietami w pierwszej linii umożliwiała kwakrom przetrwanie uwięzienia ich wodza, Focha, i długoletnie prześladowania.

Gdy William Penn, jeden z zaufanych Focha, powziął postanowienie wywędrowania ze swymi braćmi w Chrystusie z Anglii, zwrócił się do króla Karola II i przez poufale „ty” zażądał, by „przyjaciel Karol” wyznaczył mu jakąś kolonię jako zapłatę za dług, zaciągnięty przez koronę angielską u ojca jego, admirała. Zadowolony z pozbycia się niemiłego towarzystwa król angielski podarował mu lesisty półwysep między Delaware i Schnykill River, nazwał ten kraj „Pensylwania”, szczerze życząc towarzyszom Penna, by już nigdy stamtąd nie powracali.

Nie uczynili tego w rzeczywistości, żyjąc w przyjaźni z Indianami, jak nakazał im z naciskiem Fox. Inni pionierzy amerykańscy odnosili się do nich z wielką wrogością. We współczesnej nocie protestacyjnej jako dowód niewątpliwego pomieszenia zmysłów u Penna przytoczone jest, „że w kraju, który otrzymał w lenno jako zapłatę długu państwowego, obchodzi się z Indianami, jak gdyby mogli oni sobie rościć jakieś godne choćby najmniejszej uwagi pretensje”.

Na szczęście dla Szwecji Penna byli tam jeszcze ludzie innego pokroju i Indianie, jak w pozostałych stanach, wybijani byli do nogi.

Kwakrzy zajęli również stanowisko przeciwko niewolnictwu. Na zebraniu ich w Germantown, Pa, w 1688 roku handel ludźmi został potępiony. Siedemdziesiąt lat później odłam Johna Woolmansa zażądał w Filadelfii, by każdy kwakier, trudniący się importem, kupnem lub sprzedażą niewolników, został usunięty z ich społeczeństwa. Dość długo potem wypędzano i piętnowano także takich, którzy wzbraniali się uwolnić swoich niewolników.

Zarówno w sprawie czerwono- jak i czarnoskórych nie wywarli jednak wielkiego skutku, gdyż od tego protestu w Germantown musiało przejść prawie dwieście lat, zanim przeciwstawili się sobie stanowczo zwolennicy i przeciwnicy niewolnictwa.

Podczas wojny światowej kwakrzy nie zaprotestowali przeciwko przelewowi krwi, mimo że wzięwszy dosłownie kazanie na górze, głosili powszechne braterstwo i niestawianie oporu i na skutek swego pacyfizmu byli prześladowani w ojczyźnie. (Ograniczyli się do przynoszenia pomocy ofiarom rzezi).

Gminy kwakerskie brały czynny udział w *American Relief Administration* która niosła pomoc głodującym podczas wojny w Belgii, Francji, Rosji i Serbii, a po zawieszeniu broni i w Niemczech. Była to na szeroką miarę zakrojona akcja dobroczynna, ale tylko dobroczynna.

Amerikanin, rozczulony do łez własną szlachetnością, obdarzył swą sympatią tych, którym powierzył odpowiedzialność za sprawne rozdawnictwo swych darów. Chwaląc swoich wykonawców, chwalił siebie samego. Dlatego też słał kwaków i ich Herberta Hoovera<sup>82</sup>.

I gdy kandydował ten ostatni na prezydenta Stanów Zjednoczonych, nie podniosła się przeciw niemu najmniejsza kampania religijna. Chociaż w USA żyje 18 i pół miliona katolików, wszystkie ambony protestanckie głosiły, o, biada! O Alu Smith'ie<sup>83</sup>, że jako katolik jest on tylko czcicielem bożków i posłusznym echem papieża.

Niewola, Prawda, Religia

Wojna, Chrystus, Religia

Milosierdzie

<sup>82</sup>Hoover, Herbert Clark (1874–1964) — amerykański polityk, działacz Partii Republikańskiej; 31. prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1929–1933, tj. w okresie Wielkiego kryzysu gospodarczego (24 października 1929, czyli siedem miesięcy od zaprzysiężenia Hoovera na prezydenta, miał miejsce Czarny czwartek, tj. krach na giełdzie nowojorskiej). [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Smith, Alfred Emanuel (1873–1944) — także: Al Smith; amerykański polityk, faworyt Stowarzyszenia Tammany Hall, związanej z Partią Demokratyczną, pochodził z rodziny katolickiej. [przypis edytorski]

Przeciwko Hooverowi nie podniesiono jednak ani jednego zarzutu życia w pogaństwie i w konkubinacie, chociaż ani nie jest chrzczony, ani nie otrzymał sakramentu małżeństwa.

Gdyż kwakrzy są lubiani; minęły już czasy, gdy musieli znosić męki więzienia, emigracji i denuncjowania; kwakrzy nie występują już przeciwko gwałtom i uciskowi, żaden Amerykanin nie potrzebuje obawiać się u „przyjaciela” Hoovera uczuć społecznych Williama Penna. Kwakrzy objawiają swój pacyfizm, żyjąc w pokoju (*pax, pacis*) z panoszącym się gwałtem, nie noszą już swych ostentacyjnie skromnych ubrań, nie pogardzają już zabawami — a ich miastem jest założona przez Penna — Filadelfia, *quaker city*, przez którą dziś przez przeszło cztery godziny przesuwiał się pochód zapustny, z tańczącymi maskarami murzyńskimi w czerwonych frakach, ze skaczącymi błaznami i Indianami w ozdobach z piór, z dziećmi i dorosłymi we wspaniałych kostiumach.

## A POCZTYLION NA TRĄBCE GRA...

Kierownik poczty nowojorskiej, mały, korpulentny pan, którego ofrankowanie byłoby dosyć kosztowne, udziela nam pozwolenia rzucenia okiem na urząd pocztowy.

— Przedtem chcę panu przedstawić zasięg naszej pracy, chce pan?

— Proszę bardzo.

Wtedy mały pocztmistrz wielkiego Nowego Jorku zaczyna śpiewać piosenkę o słowach następujących:

„Mamy 1800 urzędników.

Codziennie otrzymujemy, dostarczamy i wysyłamy 16 milionów zwykłych listów.

Codziennie otrzymujemy, dostarczamy i wysyłamy 156 000 listów poleconych.

Otrzymujemy i dostarczamy codziennie 75 000 paczek wartościowych i za pobraniem.

Ważymy i dostarczamy codziennie 600 000 funtów gazet i czasopism.

Znajdujemy codziennie sto dolarów w listach, które nie mogą być dostarczone.

Corocznie uzyskujemy 30 000 dolarów z licytacji takichże paczek.

Codziennie otrzymujemy 2100 zawiadomień o zmianie adresu.

Codziennie mamy 350 000 błędnie skierowanych listów.

Codziennie wynajdujemy miejsca przeznaczenia 200 niezaadresowanych paczek.

Codziennie otrzymujemy 80 000 listów bez podania ulicy.

Codziennie zaopatrujemy 36 000 listów w ulicę i numer domu, korzystając z książki adresowej.

Codziennie pobieramy 250 000 dolarów za opłaty pocztowe.

Corocznie wypłacamy 165 milionów dolarów przekazami pocztowymi.

W Pocztovej Kasie Oszczędności mamy wkład 25 milionów dolarów.

Mamy 92 000 korzystających z pocztowych kas oszczędności.

Pobraлиśmy od 30 czerwca 1927 roku do 30 czerwca 1928 roku 77 167 071 dolarów wobec 74 443 632 dolarów w roku ubiegłym”.

Tymi słowami zakończył pocztmistrz nowojorski swą piosenkę, obiecując przydzielić nam do oprowadzania znakomitego fachowca pocztowego.

Najznakomitszym fachowcem pocztowym jest z pewnością sam pocztmistrz (według zdania młodego człowieka, który nas zameldował). Z pewnością pocztmistrz jest również znakomitym republikaninem jak fachowcem; gdyby jednak obrano prezydentem Stanów zamiast republikanina Hoovera demokratę Smitha, znakomity fachowiec pocztowy musiałby opuścić swój urząd i objąć jakieś stanowisko prywatne (zapewne z góry przygotowane), a na miejsce jego przyszedłby z pewnością jeszcze znakomitszy fachowiec pocztowy o zabarwieniu demokratycznym.

(Życzliwy czytelnik wybaczy zapewne częste używanie słowa „z pewnością”, musi ono jednak ukazać się choć raz w każdym zwrocie amerykańskim, zdanie bez tego słowa nie jest całkowite. *Sure!*).

Podczas gdy oddajemy się tego rodzaju głębokim filozoficznym rozmyśleniom o nikomości wszystkich potęg ziemskich w obrębie nowojorskiego urzędu pocztowego, zbliża się człowiek, który ma nas oprowadzać, będący również jednym z najznakomitszych fachowców pocztowych Ameryki. Wygląda tak po amerykańsku, jak gdyby jego przodek

Polityka, Praca, Władza

przybył przed trzystu laty na karaweli „New Netherland” do wyspy Manhattan i rozpoczął handel z Indianami. Z drugiej strony jest także podobny do pewnego prokuratora naszej ojczyzny, co zresztą nie jest takie zadziwiające, gdyż pasażerowie karaweli „New Netherland” pozostawili przecież braci i siostry w Europie.

— *Mr. Kisch, meet Mr. Mautner* — przedstawia nas pocztmistrz, wskutek czego nie pozostaje nam nic innego, jak zapytać:

— *How do you do, Mr. Mautner*<sup>84</sup> — jemu zaś:

— *How do you do, Mr. Kisch.*

— *You have a brother in Prague, a lawyer, haven't you?*<sup>85</sup>

— *Sure!* Prokuratora Ryszarda Mautnera — odpowiada, i oprowadzanie rozpoczyna się od stwierdzenia, że obydwaj służyliśmy jako jednoroczni ochotnicy w II c. k. pułku piechoty, on zresztą znacznie wcześniej — trzeba przecież osiągnąć pewien wiek, nim zostaje się uznanym za znakomitego fachowca pocztowego. (I w Ameryce... To, że tutaj przychodzi się na świat jako dyrektor naczelny, że chłopcy są prezydentami towarzystw akcyjnych, a młodzieńcy honorowymi prezydentami, jest wynalazkiem zbyt pochopnych pisarzy-podróżników).

Przechodzimy przez hałą budynku pocztowego, który od zewnątrz jest marmurową świątynią grecką, od wewnątrz zaś brzydką fabryką.

Obok piszących, dźwigających lub spełniających jakieś inne czynności białych, pośród których znajdujemy natychmiast znajomych, obok Murzynów, wśród których ani Mr. Mautner, ani my nie możemy znaleźć ani ziomek, ani krewnych, ani towarzyszy broni.

Nad głowami wszystkich zatrudnionych w tym pomieszczeniu ludzi przesuwają się w plecionych z drutu rurach przesyłki pocztowe, przed nimi posuwają się ruchome taśmy, a pod podłogą, na której stoją — pociągi.

Dziesięciu mężczyzn otacza stalowy stół, *pace-up-table*<sup>86</sup> i dwadzieścia rąk pracuje, aby szeszczące listy skierować w dwóch kierunkach — listy w dłuższych kopertach w jednym, mniejsze zaś i pocztówki w drugim. Szyny prowadzą do dwóch maszyn stemplujących, które co godzina pozbawiają wartości tylko 30 000 marek pocztowych przez nadruk Nowy Jork, roku, daty i czasu z dokładnością do pół godziny. Nie więcej jak 30 000 na godzinę, czyli tylko 720 000 dziennie. Jak pięknie jednak śpiewał nam pocztylion:

„Otrzymujemy, wysyłamy i dostarczamy codziennie 16 milionów zwykłych przesyłek pocztowych”.

Tak śpiewał, a przecież nawet po ostemplowaniu bieżącej poczty pozostaje jej jeszcze zbyt dużo, aby ta cherlawa maszyna mogła sobie dać radę. Dlatego jest ich szesnaście na ośmiu stołach *pace up*, każda otoczona przez dziesięciu mężczyzn o dwudziestu szalejących rękach. Praca pocztowa, praca pocztowa!

Przy stołach korespondencji poleconej jest nieco spokojniej, ale za to przerażenie wzbudza broń, wystająca z tylnej kieszeni spodni pracujących z zakasnymi rękawami urzędników, przerażająco wielkie rewolwery, raczej na pół armaty.

Strzela się także. Stąd lub tutaj. Nie świszczą jednak kule rewolwerowe, lecz granaty, prawdziwe pociski 32-centymetrowe. Są one wypełnione listami zamiast materiału wybuchowego, przesyłane są w przebiegających przez cały Nowy Jork rurach pneumatycznych z i do trzystu filii pocztowych. 16 takich granatów można wystrzelić na sekundę; z żalością myśli się na ich widok o sielankowych rurach ojczystej poczty pneumatycznej.

Tam, gdzie padają te pociski, i tam, gdzie są one ładowane, pracują robotnicy, ociekający oliwą i potem, o których Lenau<sup>87</sup> nie napisałby życzliwych wierszy. Ramię przy ramieniu pracują obok nich zwinni chłopcy; nie mają oni nic do czynienia z wyrzucaniem olbrzymiej torpedy, której zapalnik jest już odśrubowany, a zawartość wyjęta. Rozdzielają oni listy. Trzymając całą paczkę w lewym ręku, z rutyną starych krupierów z Monte Carlo, rzucają jeden list do Filadelfii, drugi do Europy, trzeci do Massachusetts, czwarty do Chicago, piąty do Texas, szósty do San Francisco, czyli inaczej mówiąc, do worków, no-

<sup>84</sup>*How do you do* (ang.) — zwrot używany wyłącznie przy zapoznawaniu się z nową osobą. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*You have a brother in Prague, a lawyer, haven't you* (ang.) — Ma pan brata w Pradze, prawnika, czyż nie? [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*pace-up-table* (ang.) — dosł. stół przyspieszający (w domyśle: pracę). [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*Lenau, Nikolaus*, właśc. *Nikolaus Franz Niernbsch* (1802–1850) — austriacki pisarz epoki biedermeier; od 1820 nosił tytuł i nazwisko zarazem: Edler von Strehlenau. [przypis edytorski]

szących nazwy tych miast i państw. Listy migocą jak węże papierowe w swej powietrznej drodze we wszystkich kierunkach.

Rampa, na której składa się lub posyła dalej dary ofiarne, nazywa się *transportation platform*. Murzyni wyładowują ciężarowe auta ferm i urzędów pocztowych (karoseria ich jest przeważnie zrobiona z siatki drucianej) i wnoszą zawartość bądź do wnętrza urzędu, bądź rzucają do szybów czy też do składów. I ruchome żurawie wytaczają się ze stacji manipulacyjnej, aby wypróżnić swą zawartość.

Głęboko w dole: pociągi, trzydzieści pięć obok siebie. Nie przybędzie tam żaden przechodzień, nie jedzie żaden pasażer, którzy mogliby się poranić, wysuwając głowę lub rękę. Na nikogo nie czeka się tam. Dlatego też nie ma tam peronu, hali i wstydliwego przyozdabiania opoki.

Pociągi pocztowe ocierają się o grubo ciosane ściany tunelu, tak blisko opoki biegną one.

Pokoje kancelaryjne różnią się tylko rozmiarami od pomieszczeń firm prywatnych.

Wiele spośród przedmiotów zamawianych z wszechobejmującego katalogu „Sears, Roebuck, Chicago” lub jakiegoś innego domu wysyłkowego przechodzi przez Nowy Jork.

Mimo że zlecenie bywa załatwiane bardzo szybko, warunki życiowe drobnomieszcza- nina zmieniają się jeszcze szybciej. W międzyczasie zmienił miejsce pobytu, stracił zajęcie lub przegrał na giełdzie swoje ostatnie parę dolarów. Należy odnaleźć nowy adres lub wstrzymać przesyłkę. Magazyn pocztowy jest wypełniony tak różnorodnymi przedmio- tami, jak w domach towarowych.

Sherlok Holmes i Mezzofanti<sup>88</sup> musieliby połączyć swoje umiejętności, aby odcyfrować adresy na przesyłkach, które po większej części wysyłają wieśniacy Włoch, Polski, Słowacji i Bałkanów do swych krewnych, zamieszkałych w Nowej Ziemi. Często brak miejsca przeznaczenia, ale w urzędzie pocztowym znajdują się spisy ulic wszystkich miast Ameryki, i jeśli napisane jest gdzieś: 6404 Washington Street, to wiadomo, że ulica Washingtona z tak wysokim numerem domu może być tylko filadelfijska. Poza tym urzędnicy znają dzielnice cudzoziemców wszystkich miast oraz litery serbskie, bułgarskie i greckie. Nawet listy bez adresu docierały już do swego miejsca przeznaczenia.

Przesyłki, których adresatów nie można odnaleźć, otwiera się, ich zawartość sortuje, stare ubrania męskie osobno, starą bieliznę damską osobno, osobno sprzęty domowe i obuwie; w poniedziałki można oglądać te przedmioty, we wtorki sprzedaje się je z licytacji w wypełnionej doszczętnie sali aukcyjnej.

Dzisiaj mamy środę i mamy sposobność widzieć handlarzy i handlarki oglądających z niezadowolaniem rozmaite rupiecie, pakujących je w skrzynie lub wiążących sznurami. Wczoraj nabyli to, dzisiaj zabierają ze sobą, zaprzeczają sobą twierdzeniu naszych kolegów podróżników, że w Ameryce używane rzeczy wyrzuca się po prostu i nikt ich nawet nie podnosi. Ach, obejrzyjcie nędzne bazyry południowschodu Nowego Jorku — jedynie w Kasbach w Algierze uważa się takie odpadki za nadające się do handlu.

„Martwe listy”, takie, co zupełnie już umarły, przed spaleniem w krematorium podlegają jeszcze sekcji, czy nie ukrywa się w ich wnętrzach jakiś dolar czy też czek.

Specjalna maszyna rozcina je, i oto leżą trupy pocztowe z pokrajanymi ciałami. Następnie szperają w nich anatomowie, każdy w 3200 dziennie. Jeśli znajduje się banknot lub przekaz pieniężny, martwy list przechowuje się jeszcze przez rok; jeśli właściciel nie zgłosi się w tym czasie, pieniądze należą do państwa, a list do krematorium.

Krótko mówiąc, klient dość otrzymuje za swoje dwucentowe porto<sup>89</sup> i nie możemy powstrzymać się, by nie wyrazić Mr. Mautnerowi naszego uznania dla jego Ameryki.

## W TEATRZE, KTÓRY ZOSTAŁ ZASTRZELONY

Ten trzypiętrowy szary dom na ulicy Washingtona 10 nie posiada dzwonka.

Stukam do drzwi, nic się nie porusza.

Stukam po raz drugi. Otwiera mi jakiś mężczyzna.

— Chciałbym obejrzyć dom.

<sup>88</sup> *Mezzofanti, Giuseppe Gasparo* (1774–1849) — kardynał włoski, ur. w Bolonii w niezamożnej rodzinie, kształcił się w szkole piarów; zyskał sławę jako hiperpoliglota. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *porto* — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]



- Nie ma tu nic do oglądania.
- Chcę zatem zobaczyć to nic.
- *Go in*<sup>90</sup>.

Rzeczywiście, nie ma tam nic do oglądania. Pusta stodoła z trzema galeriami wzdłuż ścian. Dźwig towarowy na środku. Mały boczny pokój z umywalniami. (Podczas wojny kwaterował tu jakiś urząd wojskowy).

Stary odźwierny daje mi znak:

- Tam, gdzie pan stoi, była scena, w górze na prawo łoża.

---

Sztuką, którą wystawia się dzisiaj, 14 kwietnia 1865 roku, jest ekscentryczna komedia Toma Taylora *Nasz wujaszek z Ameryki*.

Na wąskich plakatach teatru Forda na rogach ulic można wyczytać, że grać się ją będzie na benefis i pożegnalne przedstawienie aktorki, Laury Keene. Wykona ona rolę Florencji Trenchard.

Wielki zaszczyt spotyka beneficjantkę. Prezydent Lincoln ukazuje się w łoży (w górze na prawo) ze swą żoną. Po raz pierwszy może sobie pozwolić na rozrywkę. W dniu dzisiejszym zakończona została straszliwa wojna między Północą i Południem, a porażka handlarzy niewolnikami przypieczętowana.

Przed tygodniem armia skonfederowanych przeszła do generała Granta, a dziś zakończony został ostatni epizod wojenny, spór o flagi w porcie Sumter.

Nie ma już więcej secesjonistów i nigdy ich już nie będzie.

Nie ma już handlu czarnymi ludźmi i nigdy już nie będzie.

Do historii będą należały ogłoszenia, cenniki i listy handlowe handlarzy niewolników z podaniem wieku, rzemiosła, uzdolnień i ceny.

Nie przyplynie już do Ameryki żaden okręt z „czarną kością słoniową”, porwani i związani mężczyźni, kobiety i dzieci z Afryki. Nie będą już rozlepiane plakaty, wyznaczające 100 dolarów za pojmanie zbiegłego niewolnika Baptysty N; nigdy już nie poświęci farmer tych stu dolarów oraz kosztów druku ogłoszeń, aby odzyskać niewolnika i ukarać go wobec przerażonych współbraci wysmarowaniem smołą i taczaniem w pierzach.

Jest to dzieło Abrahama Lincolna. Siada; w łoży z prawej strony ponad sceną; z poręczy łoży zwisa gwiazdzisty sztandar. Sztuka rozpoczyna się, jest wesoła i odrywa od smutnych rozmyślań.

W drugim akcie, dwadzieścia minut po dziesiątej, rozlega się strzał.

Zanim zorientowano się, co zaszło, jakiś człowiek przeskakuje parapet łoży prezydenta, chce zeskoczyć na scenę, ale zaplątuje się ostrogą w gwiazdzistym sztandarze i pada z krzykiem w tym miejscu, gdzie teraz stoję. Złamał sobie nogę.

Ktoś z publiczności usiłuje dostać się na rampę sceniczną, aby zatrzymać sprawcę, ale ten powstaje — podnosi sztylet — zadziwiająco, że nie rewolwer — i nikt nie ośmiela się doń zbliżyć! Bez przeszkód czołga się przez pustą scenę na prawo. Przed wyjściem ze sceny stoi koń, na którym pędzi w ciemności.

Abraham Lincoln, zalany krwią, pada w ramiona swej żony.

Otrzymał postrzał w tył głowy. Zbrodniarz otworzył drzwi łoży i strzelił z bezpośredniej bliskości. Otaczający podnoszą prezydenta, chcąc go odnieść do Białego Domu.

Zasłona spada. Człowiek, na którego padło podejrzenie, że trzymał konia wierzchowego, zostaje uwięziony. Aresztuje się również paru ludzi, którzy zajmowali miejsce na galerii obok łoży prezydenta, jak uczynił to sprawca morderstwa. Wypytuje się ich w policji o ich adresy, pochodzenie, znajomości.

Zaledwie nosze z prezydentem opuściły teatr, gdy traci on przytomność. Lekarze oznajmniają, że Lincoln nie przeżyje transportu do Białego Domu. Przenoszą go zatem do przeciwnielego domu Pettersowej, gdzie na parterze kładą go na łóżku.

Następuje usilne śledztwo, ściganie wszystkich podejrzanych o sympatię do Południowych Stanów. O tej samej porze, w której dokonano zamachu na Lincolna, usiłowano zamordować jego chorego sekretarza, Sewarda.

Wyśledzono, gdzie mieszkał sprawca zamachu — sąsiedzi rozpoznali w świetle ramp obcego lokatora Mrs. Mary Surrat. Zostaje ona wraz ze swymi przyjaciółmi aresztowana.

---

<sup>90</sup>*go in* (ang.) — wejdz; idź do środka. [przypis edytorski]

Niewola, Wojna, Historia,  
Obyczaje, Polityka, Prawo

Morderstwo, Teatr

Przestępca nazywa się John Wilkes Booth i jest aktorem. Ojciec jego, który okazuje się zresztą niewinnym, nosi imię Juniusa Brutusa, mordercy tyranów, co zresztą często miało miejsce w okresie Wielkiej Rewolucji.

Całą noc czuwają lekarze przy łożu Lincolna. Rano o siódmej umiera.

Garnizon waszyngtoński ściga zbrodniarza. Wyszledzono, że Booth miał zestawioną złamaną nogę przez doktora Samuela Wudda, następnie zaś przeprowił się promem przez Potomac.

W cztery dni później osaczono kryjówkę zbiega w jakimś lesie.

Podobno strzelał do żołnierzy, na co odpowiedzieli ogniem. Gdy zbliżyli się do niego, ranny śmiertelnie wyzionął ducha.

— Zanieście matce moje ostatnie pozdrowienie. To, co uczyniłem, uczyniłem dla ojczyzny i sądzę, że był to dobry postępek.

Spełniony o parę dni wcześniej czyn ten mógł przechylić szalę wojny na stronę skonfederowanych. Ale któż wie, czy mu o to chodziło, być może, był jednym z przejętych wojenną propagandą nienawiści i nie mógł dopuścić, aby wczorajszy wróg stał się dziś towarzyszem.

7 lipca 1865 roku powieszono w Washingtonie jako współników Booth'a Mrs. Mary Surrat, Levisa Payne, Davida Herolda i Geo Atzerota. Lekarza Wudda, za okazaną przez niego pomoc skazano na dożywotnie więzienie; przewoźnik, który nie miał nawet pojęcia, kogo przewoził, umiera w lochu. Wudd po czterech latach został ulaskawiony przez Andrew Johnsona, wiceprezydenta za czasów Lincolna. (Krażyły pogłoski, że Johnson najął morderców, aby zostać prezydentem. Wytoczono mu później proces, nie z tej jednak przyczyny, lecz z powodu udowodnionych oszustw).

Sztandar gwiazdzisty, który próbował zatrzymać i zranił zbrodniarza, przechowuje się w skarbcu jako trofeum. W domu, gdzie zmarł Lincoln, mieści się małe muzeum, zawierające obrazy i wycinki z gazet, ilustrujące zbrodnię i stracenie. A ponieważ już i tak dotyczą one morderstwa prezydenta, muzeum zawiera również portrety prezydenta Jamesa Abrama Garfielda, zastrzelonego 2 lipca 1881 r. przez nowojorskiego prokuratora Karola Guiteau, gdyż Garfield nie chciał podpisać jego nominacji na konsula w Marsylii, i prezydenta McKinleya, zamordowanego w 1901 roku na wystawie panamerykańskiej w Buffało przez anarchistę Leo Czolgosza. Tam, gdzie stało śmiertelne łoże Lincolna, wiszą portrety, maski pośmiertne, medale pamiątkowe, relikwie po Lincolnie i pamiątki z tych czasów, gdy niewolnicy nie otrzymywali wynagrodzenia.

Zwłoki Johna Wilkesa Booth'a zostały w parę lat potem na prośbę krewnych ekshumowane i pogrzebane w grobie rodzinnym na cmentarzu Green Mount w Baltimore.

---

Tutaj, gdzie strzał zakończył żywot teatru, nie ma nic do oglądania. W górze na prawo była łoża, w dole na lewo scena.

## CUDA TECHNIKI MIASTA CUDÓW, CHICAGO

Doktor Becker zjawia się, powiedzmy, w ambulatorium Western Electric, fabryki wyra-  
biającej aparaty telefoniczne.

Na dwudziestu stołkach siedzą zakrwawieni robotnicy, jednemu golą głowę, drugie-  
mu obmywają ranę w kolanie, wielu ma pokaleczone palce, na stole operacyjnym leży  
mężczyzna ze złamaną ręką.

— *Some hundred*<sup>91</sup> — opowiada jedna z pielęgniarek na pytanie doktora Beckera,  
wiele<sup>92</sup> razy udziela się dziennie pomocy.

Wzdragacie się? Ba, gdyby nawet w tej fabryce było 340 wypadków dziennie, to stano-  
wiłoby to zaledwie jeden procent, gdyż Western Electric zatrudnia tu 34 000 robotników,  
którzy zmieniają się tak często, iż jest mało prawdopodobne, by ktoś mógł stracić jeden  
po drugim wszystkie dziesięć palców lub złamać sobie wszystkie cztery kończyny.

---

<sup>91</sup>*some hundred* (ang.) — około stu; mniej więcej sto. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*wiele razy* (daw.) — dziś: ile razy. [przypis edytorski]

Należy obejrzeć „stockyards”, słynne na cały świat rzeźnię; możecie się przekonać, moi państwo, że tego rodzaju przedsięwzięcie przyczyniło się do usunięcia tych nieapetycznych rzeczy, opisanych w powieści *Jungle*<sup>93</sup>).

Nie usunięto jedynie strasznych warunków pracy... Upton Sinclair celował w serce Ameryki, trafił zaś w żołądek. Dla użytku przewodnika wydała firma poufną książkę, gdzie omówione jest, jak trzeba odpowiadać na kłopotliwe pytania. Tych pytań i odpowiedzi musi się nauczyć na pamięć, książki zaś nie wolno mu nikomu pokazywać. Doktor Becker wynotował sobie z niej:

*Pytanie.* W jaki sposób mogą dziewczęta w dziale pakowania wytrzymać szalone tempo ich pracy?

*Odpowiedź.* Dziewczęta lubią okazywać swoją szybkość wobec zwiedzających. Odradzamy im ten zbyt szybki pośpiech.

Aha, o to więc chodzi, woła doktor Becker, przeczytawszy to miejsce poufnej książeczki.

A to próżne stworzenia te chicagowskie dziewczęta! Przez cały dzień są opieszale w pracy, ale gdy nadejdzie zwiedzający, nogi ich naciskają pedały maszyny jak nogi uczestników sześciu dni<sup>94</sup>, ręce ich czynią chwytaki w takim zawrotnym tempie, że zwiedzającego ogarnia zawrót głowy. Tak, zawrót głowy! Ja, doktor Becker, widziałem i czytałem to sam czarne na białym, firma zdradza ten *bluff* i sama oskarża swoje pracownice o udawanie fałszywych faktów. Ha, ha, nie dam się nabrać! Pakowaczki Chicago tak się ze mną liczą, że wszędzie, w walcowniach papieru, w domach wysyłkowych, w fabryce zegarów, w Harrester Comp., wyrabiającej maszyny rolnicze, pracują z szalonym, zabójczym pośpiechem, gdy się przybliżam, li tylko<sup>95</sup> aby mi zaimponować.

Doktor Becker chciałby jednak zadać pytanko. A jak jest z biegnącą wstęgą, panie przewodniku? W jaki to sposób wie wstęga, kiedy i dokąd zbliżają się zwiedzający? W jaki to sposób wpada biegnąca wstęga w taki szalony pęd, że robotnica dąży w samą porę swym udanym — oczywiście, oczywiście! — pośpiechem wykonać swą czynność, z którą związana jest jej sąsiadka?

*Pytanie.* W jaki sposób mogą wytrzymać robotnicy w tej atmosferze woni krwi, wydaliny i gorąca, względnie w temperaturze chłodni?

*Odpowiedź.* Robotnicy posiadają specjalne odzienie, które chroni pory!

Doktor Becker nie widzi tego odzienia. Widzi, że są ubrani, jak ubierają się wszędzie rzeźnicy, tam, gdzie praca nie polega na szlachtowaniu na godzinę 750 świń czy też 250 wołów lub na wypatroszeniu ich i pokrajaniu w tempie pasa transmisyjnego. Normalne wynagrodzenie wynosi 42 ½ centa za godzinę przy czterdziestogodzinnym tygodniu roboczym; godziny nadliczbowe są płatne akordowo. Siedemnaście dolarów tygodniowo, sześćdziesiąt osiem miesięcznie — mniej niż skromne wynagrodzenie w najbogatszym okręgu Ameryki.

Robotnikami są przeważnie Polacy i Murzyni. Od czasu jednak, gdy Murzynów, mówiących bądź co bądź językiem miejscowym i posiadających zaczątki zrzeczania się, nie można już tak wyzyskiwać w Chicago, jak na południowych plantacjach bawełny (dwadzieścia siedem centów dniówka), zastępuje się ich wygonowymi ładunkami Meksykanów. Agenci objeżdżają Meksyk, aby zwerbować robotników i wytransportować wraz z rodzinami do Północnej Ameryki, dokąd inni cudzoziemcy tak łatwo dostać się nie mogą.

Im liczniejsze są rodziny meksykańskie, tym lepiej, gdyż ich swoboda ruchów jest przez to zupełnie zniesiona i stają się zupełnie bezwolni. Meksykanin właśnie jest dziś skazany, by zostać najbezwzględniej wyzyskiwanym i najbardziej obniżyć ceny.

---

Z wyjątkiem zakładów Forda w Detroit i fabryki General Electric Co. w Schenctady, N. Y., nie ma, zdaje się, na kuli ziemskiej potężniejszych fabryk niż w Chicago. To młode miasto stale wzrasta, stale powiększa się. Zaludnienie wzrasta corocznie o siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Jezioro Michigan zostało zasypane na olbrzymiej przestrzeni, by uzyskać

<sup>93</sup>*Jungle* — *Grzęzawisko* [powieść] Sinclaira. [przypis tłumacza]

<sup>94</sup>*uczestnicy sześciu dni* — [chodzi o] słynny wyścig kolarski, trwający bez przerwy 6 dni. [przypis tłumacza]

<sup>95</sup>*li tylko* — konstrukcja z partycułką wzmacniającą *li*; znaczenie: wyłącznie. [przypis edytorski]

miejsce dla dróg samochodowych, dla wystawy wszechświatowej 1933 roku, dla stadionu, dla akwarium.

Dawniej mieszkańcy wschodniej części miasta letnią porą udawali się w kostiumach kąpielowych ze swoich domów do jeziora; obecnie muszą tłumnie w kostiumach kąpielowych wsiadać do tramwajów lub do autobusu, by dostać się na brzeg.

Bulwar Michigan, zwany przez paryskich turystów także „Boul Mich”, jest wspaniałą, jaskrawo oświetloną ulicą, biegnącą wzdłuż jeziora. Tutaj i na porytej tunelami Wacker Drive sterczą wysoko drapacze nieba! A mimo to Chicago, gdzie mieści się centrum wielkiego przemysłu, całego handlu zbożem, eksportu mięsa, domów wysyłkowych, a przede wszystkim wszechświatowy szmugiel alkoholu, jest biednym miastem.

Miliarderzy przebywają podczas sezonu jesiennego w Nowym Jorku, w lecie na Florydzie, a w zimie w Beverly Hills w Kalifornii. Często udają się do Nicei.

W Chicago mieszka niewielu kapitalistów, gdyż mimo jeziora Michigan, mimo plaży kąpielowej i Boul Mich jest ono ponurym miejscem, pełnym dymu, błota, kałuż, zimnych wiatrów, bandytów, nędzy.

Miasto, Pozory, Bogactwo,  
Bieda

---

Drapacze chmur dają się fotografować i odtwarzać. Drewniane domy Chicago nie dają się fotografować i odtwarzać. Uragają każdej podobiznie. Trudno by w całej Europie znaleźć coś podobnego do ich opuszczenia, zaniedbania i nędznego wyglądu, ziemianki Armenii i błotne lepianki Besarabii są lepsze, gdyż chronią przynajmniej przed zimnem i deszczem.

Wystarczy obejrzeć od wewnątrz dwie lub trzy budy mieszkalne — wszystkie są do siebie podobne: mimo swej szczupłości mieści każda z nich cztery lub pięć „mieszkań”; za każde właściciel domu żąda 25 do 30 dolarów miesięcznie komornego. Jest to niesłychana cena i jest śrubowana przez to, że w każdym pokoju mieszczą się cztery miejsca do spania dla ośmiu osób w dwóch kondygnacjach. Dzieci śpią w koszach na jarzyny lub w płaskich skrzyniach, wszędzie mógł oglądać doktor Becker trzy lub cztery materace obok siebie.

Wszyscy lokatorzy i sublokatorzy używają tego samego ustępu, zwykle w piwnicy. Często nie ma w ogóle piwnicy, gdyż pod domem mieści się jedna z wiecznych gnojówek Chicago; wbija się w nią pale i na nich na wysokości dwóch metrów wznosi się dom w zatrutym powietrzu.

W dwie, trzy minuty po opuszczeniu przez kolej powietrzną dzielnicy handlowej przejeżdża ona z hukiem koło tych prymitywnych pomieszczeń. Im dalej zapuszcza się na południe i wschód, tym okolica staje się bardziej przytłaczająca, w Cicero, w Chicago Heights, w Walley, w okolicach, gdzie codziennie jakiś prokurator lub inny bogaty *bootlegger*<sup>96</sup> otrzymuje parę kulek rewolwerowych.

Tam w dole nie ma także kanalizacji. I podobnie jak skandalem stają się te ludzkie psie budy na tle wspaniałych pałaców pięćdziesięciopiętrowych wież handlowych, zaniedbane stosunki zdrowotne tych okolic stają się tym straszniejsze, gdy pozna się potężne wodociągi i ścieki Chicago.

---

Rzeka Chicago, która od stworzenia świata wpadała do jeziora Michigan, została nagle odwrócona. Chicago czerpie bowiem z jeziora wodę do użytku i do picia, która zostałaby zanieczyszczona przez brudy przepływającej przez miasto rzeki. Dawniej nie stanowiła ona bynajmniej przeszkody, i jezioro używane było jako wiadro do picia, jako miska klozetowa i jako wanna.

Aż wreszcie liczba zgonów na tyfus stała się zbyt wysoka! Czy wiecie, co to oznacza? Przez to zmniejszyła się przecież szansa dopięcia gorączkowo pożądanego przez całe Chicago celu — przewyższenia liczby zaludnienia Nowego Jorku.

Zmuszono zatem rzekę na stare lata do zmiany kierunku, i od tego czasu płynie ona od tyłu ku przodowi.

I teraz nie można używać przybrzeżnej wody jeziora, pobierać wody przy brzegu brudnego, zadymionego, bagnistego miasta. Wieże ciśnień trzeba było wybudować pośrodku jeziora, kilometr od brzegu; wykuto tunele pod skalistym dnem — budowa wyniosła

Rzeka, Miasto

---

<sup>96</sup>*bootlegger* — przemytnik alkoholu. [przypis edytorski]

milion dolarów za kilometr — i doprowadzają one podziemne rzeki, potężniejsze od rzeki Chicago, do 12 miejskich stacji pomp.

A te stacje pomp. Wm. Thompson Pumping Station, 50. ulica i Western Avenue kosztowała prawie cztery miliony dolarów.

Oglądając jej urządzenia, doktor Becker żałuje po raz pierwszy od dwudziestu lat, że nie poświęcił się zawodowi inżyniera. Cztery miliardy litrów pompuje się dziennie do wszystkich części miasta, na każdego mieszkańca wypada 1100 litrów dziennie, dwa razy tyle, co w Nowym Jorku, prawie dziewięć razy tyle, co w Berlinie, gdzie pojedyncza osoba może zużyć 133 litry.

Woda z jeziora dezynfekowana jest chlorem, przez co jednak mętnieje. W projekcie jest urządzenie filtrów.

Do dziś dnia woda w Chicago jest najtańsza w świecie (płaci się sześć i pół centa za tysiąc galionów — 1 metr sześcienny wynosi 264 galiony, 1 galion — 3,8 litra m<sup>3</sup>); w wielu wielkich miastach jest ona pięciokrotnie droższa.

Woda, Miasto

---

Zakłady przemysłowe, na przykład rzeźnie, dostarczają ścieków, odpowiadających ściekom przeszło miliona ludzi, a zbiorniki wodne na podmiejskich polach wyglądają jak cysterny z naftą, tyle splywa do nich odpadków samochodowych. Wszystko to odprowadza się do odwróconej rzeki i przez kanały do Mississippi.

Jest to istny cud, że powstały te urządzenia pod- i nadwodne, chociaż lwia część wpływów podatkowych zostaje rozkradziona, a zeszłoroczna milionowa dotacja na cele zdrowotne została prawie całkowicie zdefraudowana i podzielona między zainteresowanych.

Gdy Goethe umierał, gdy urodził się Bismarck, wilgotny wiatr świstał tu nad trawą stepową i nie wznosiła się nawet chatynka. Przed dziewięćdziesięciu laty powstała tu spokojna wioska nadbrzeżna, przed sześćdziesięciu laty bank mięsny i targowisko zbożowe. Dzisiaj Chicago, wierne swej dewizie „*I act, I move, I push*”<sup>97</sup>, dąży do rekordu światowego.

Znaczący to, że trzy miliony ludzi, żyjąc w większości w okropnych warunkach pracy, pożywienia, mieszkaniowych, umysłowych i moralnych, pracuje, porusza się, śpieszy, aby paru miliardów z Nowego Jorku, Miami Beach i Florydy zarobiło jeszcze parę miliardów, ewentualnie uczyniło zapis milionowy, za co przez cały naród są bez przerwy sławieni jako geniusze i dobroczyńcy.

Miasto, Przemiana

Pieniądz, Praca, Pozycja społeczna, Pozory

## BALLADA O SUTTERS FORT

Tutaj, do tego pokoiku obwarowanego domu handlowego Sutters Fort 28 stycznia roku 1848 pewnego dnia deszczowego przyprowadził komendant Johannes August Sutter swojego przedstawiciela, Jamesa W. Marshalla.

Marshall, przyjechawszy ze swego wysuniętego naprzód posterunku Coloma, życzył sobie rozmowy z szefem w cztery oczy w szalenie ważnej sprawie.

A na dworze szemrał deszcz.

W pokoju stał stół z papierami, stare niemieckie książki i nowe amerykańskie. Johannes A. Sutter był Niemcem, urodzonym w roku 1803 w Kandern, w Wielkim Księstwie Badeńskim<sup>98</sup>, wcześniej przesiedlił się z rodzicami do Szwajcarii, a później udał się do Paryża jako szwajcar<sup>99</sup> Karola X. Rewolucja lipcowa<sup>100</sup> pozbawiła miejsca lokajów, w tej liczbie i jego, który w swej istocie był przede wszystkim lokajem. Powędrował więc jako handlarz do Afryki, a później do Nowego Jorku i prowadził tam szynk; traperzy opowiadali mu o niewyzyskanych skarbach na dzikim Zachodzie i Sutter wyruszył tam. Z San Francisco pozegłował w roku 1839 z kilkoma indiańskimi kajakami i dwoma białymi do

<sup>97</sup>*I act, I move, I push* (ang.) — działam, poruszam się, śpieszę. [przypis tłumacza]

<sup>98</sup>Wielkie Księstwo Badeńskie a. Wielkie Księstwo Badenii (niem. *Großherzogtum Baden*) — historyczne państwo w pd.-zach. Niemczech, na prawym brzegu Renu; istniało w latach 1806–1918. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>szwajcar (daw.) — odźwierny, portier; człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>rewolucja lipcowa — kilkudniowe powstanie we Francji w 1830 r., mające na celu zapobieżenie przywróceniu absolutyzmu; w jego wyniku obalony został Karol X Bourbon, a na tron powołano Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

Sacramento, czego przedtem jeszcze nikt nie przedsięwziął. Chciał się tam osiedlić na pustkowiu, zbudować i rozsyłać towary, z dala od nienawiści, konkurentów i hałasu miast...

Z cegieł wysuszonych na słońcu zbudował swój dom — wokoło niego biegł wał. Ochrzcił go „New Helvetia”, wkrótce jednak dom otrzymał nazwę „Sutter Fort”, gdyż Meksykanie, do których wówczas Kalifornia należała, zrobili zeń placówkę wojskową i za komendanta uznali Suttera. Był on ceniony jako lojalny Meksykanin, podobnie jak dawniej był lojalny jako poddany Wielkiego Księstwa Badeńskiego, jako członek związku szwajcarskiego, jako strażnik królewski i jako afrykański handlarz, i później (od wojny północnej Ameryki z Meksykiem<sup>101</sup>) jako amerykański obywatel.

Obecnie jako komendant fortecy wystawił on na czterech rogach warownych murów po armacie, i tak stoją one jeszcze teraz, prawdopodobnie przez całe dziewięćdziesiąt lat nigdy nieużywane. Wojny, w środku której wkrótce się ujrzał, nie mogły rozstrzygnąć wszystkie armaty świata.

Całe szczęście lub nieszczęście — zaraz zobaczymy, co z tych dwojga — zaczęło się tutaj, w tej komórce, gdzie pewnego styczniowego dnia A. D.<sup>102</sup> 1848 przyproceedził Sutter Jamesa W. Marshalla. A na dworze szemrał deszcz.

Do handlowych interesów Suttera należało wówczas splawianie drzewa do San Francisco. Jazda po Sacramento, które przed rokiem i dniem ze swoimi białymi i czerwonymi wioślarzami pozbawił dziewictwa, była teraz miłą małżeńską przyjemnością, nie oczekiwało się żadnych niespodzianek, żadnego niespodziewanego napadu nieznanymi plemion, żadnych podstępów wylewu i żadnych ostrych skał, sterczących z morza. Tylko jedno wymagało trudu: przenieść pnie drzewne z lasu do Nowej Helwecji. Dlatego Sutter przeniósł swego najrzęczniejszego przedstawiciela, Jamesa W. Marshalla, z dwoma czy trzema pomocnikami kilka mil w górę na północno wschód, ażeby tam, nad rzeką American, dopływem Sacramento, wybudował tartak.

I z tej właśnie filii czy też wysuniętej placówki James W. Marshall przyjechał 28 stycznia w deszcz konno do centrali firmy, względnie do dowództwa straży przedniej, z tajemniczą miną zwrócił się z prośbą o prywatną audiencję i został przez szefa wprowadzony do tego pokoju.

Zanim obydwaj panowie zasiedli przy dębowym stole, Marshall poprosił, ażeby Sutter zamknął drzwi. Sutter zrobił to. Zaledwie Marshall zaczął swój raport, gdy szef wstał znowu, przywołał stojącego na zewnątrz urzędnika, ażeby czekano na niego z wyekspe-diowaniem następnej tratwy. A na dworze szemrał deszcz.

Marshall powiedział to, z czym przybył. W okamgnieniu dotarł Sutter do sedna rzeczy. Gdyż nie było to, dla Boga, żadną drobnostką. Marshall zaprowadził na górze drewnianą rynnę, ażeby wodę z rzeki American skierować na skrzydła koła młyńskiego. Przed czterema dniami chciał zobaczyć rynnę, czy jest wystarczająco gruba, i zobaczył, że coś łśni, łśni jak złoto...

— I? — Sutter pochylił się, zdenerwowany, do ust swego sąsiada.

— ...i znalazłem czerwono-złote drzazgi, które ręką wyciągnąłem. Myślę, że to jest złoto.

— Masz je tutaj? — Sutter drżał, a na dworze szemrał deszcz.

— Tak, przyniosłem je ze sobą. — Marshall schwycił się za kieszeń, wyciągnął z niej chustkę, rozwiązał supełek i zabłysło...

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł buchalter Suttera, ażeby o coś zapytać. Zauważył, że przeszkadza, i oddalił się z przeprosinami.

Wściekły Marshall schował chustkę do kieszeni. Sutter, nie wierząc w ważność mającego nastąpić zwierzenia i zajęty innymi myślami, zapomniał był, otworzywszy drzwi,

<sup>101</sup>wojna amerykańsko-meksykańska — wojna lądowa i morska pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem, toczona w latach 1846–1848 na terenach od Kalifornii i Teksasu aż po obszary położone na pld. od meksykańskiej metropolii, oraz u wybrzeży obu oceanów. Bezpośrednią przyczyną wojny było przyłączenie w 1845 zbuntowanej meksykańskiej prowincji, Republiki Teksasu, jako 28. amerykańskiego stanu; Teksas funkcjonował od 1836 r. jako niezależne państwo, utworzone przez amerykańskich osadników, niezadowolonych z meksykańskiej administracji rządowej. W wyniku wojny Meksyk utracił połowę swojego terytorium. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>A. D. (z łac. *anno domini*) — roku Pańskiego. [przypis edytorski]

zamknąć je z powrotem. Z trudem zdołał uspokoić srogiego Marshalla, który utrzymywał, że buchalter chciał szpiegować. Dopiero wówczas, gdy drzwi zostały ponownie zamknięte i przystawiono do nich szafę, pokazał Marshall powtórnie owe kawałki.

Sutter wyszukał w encyklopedii amerykańskiej artykuł „Złoto”, przepłukał ziarenka wodą i znalazł, że to jest złoto najlepszego gatunku. Zamknął książkę i przykazał Marshallowi nikomu o tym nie mówić. A na dworze szemrał deszcz.

Tak, to było złoto. W czasach starożytnych podać przyjeżdżali tu argonauci, ażeby je znaleźć, przed czterystu laty przybył po złoto konkwistador Cortez, po nim portugalski żeglarz, Cubrillo, i wreszcie w r. 1537 sir Francisco Drake wylądował w zatoce San Francisco, postanowiwszy wiecznie nęcący minerał wydobyć z jego ukrycia. Nikomu się nie udało. Udało się tokarzowi Marshallowi.

Obydwaj panowie, którzy wzajemnie — tutaj, w tym pokoju — wychwalali przymiot<sup>103</sup> milczenia, podczas gdy na dworze szemrał deszcz, nie byli w stanie zachować tajemnicy. Przypuszczali oni, że będzie to nowe źródło dochodu, być może, mieli nadzieję odkryć całą żyłę, ale o światowym znaczeniu odkrycia nie mieli pojęcia. W trzy tygodnie później uciekło od nich konno kilku parobków, popędziło z naładowanymi złotem kieszeniami do San Francisco, ażeby po latach życia na pustkowiu i wstrzemięźliwości kupić sobie noce w mieście i białe dziewczynki. Powstała panika.

We wtorek 15 marca 1848 roku dowiedziała się o tym nawet gazeta z San Francisco „Californian” i podała na drugiej stronie w trzeciej szpalcie, całkiem u dołu (o, amerykańscy dziennikarze owego czasu!) krótką notatkę.

Po ośmiu dniach gazeta przestała wychodzić: współpracownicy, zecerzy i roznosiciele, wszyscy popędzili w góry.

I nie tylko oni, nie tylko całe San Francisco, z całego świata parla armada poszukiwaczy przygód, setki, tysiące spadły z szumem po metal, którego próby kilka tygodni przedtem błysnęły w węzełku chustki do nosa, podczas gdy na dworze szemrał deszcz.

Wokoło kopalń potworzyły się drewniane osiedla. Przy tartaku Marshalla wystrzeliło w górę miasto: Coloma, wspomiane wszędzie na kuli ziemskiej z dreszczem tęsknoty. Teraz jedzie się z dreszczem innego rodzaju przez to miejsce: gołe deski, puste, bez dachów i rozwalone domy — żaden człowiek nie mieszka w nich więcej.

Zaledwie dwa kilometry dalej: Placerville, które z początku nazywało się Hangtown<sup>104</sup>, gdyż tutaj naj straszliwiej szalało prawo Lyncha. Kto się nie podobał „wigitantom<sup>105</sup>”, mafii możnych, zostawał powieszony na najbliższym drzewie. Charakterystyczny jest dziś w Ameryce dość silny prąd gloryfikacji „wigitantów” i ich „narodowej samoobrony”.

W Carson Hill znaleziono największą bryłę, ważącą 244 funtów, wartości 90 tysięcy dolarów. W Tuttletown chodził Bret Harte do szkoły, jego miasto „*You Bet*” (zakładamy się) leży w pobliżu. W Grass Valley mieszkała Lola Montez po wygnaniu z Bawarii. W Jackass Hill przeżył Mark Twain wesołą zimę z Bill Gillis. Ale nad Donner Lake zginęli marnie pewnej zimy pierwsi pionierzy, prawie cała grupa przybyła z Illinois Beed-Donner-Party w wicherze, mrozie, zawiei śnieżnej, zwątpieniu i głodzie; padło dwanaście kobiet i dwadzieścioro siedmioro dzieci. W pewnym kraterze zbudowane zostało osiedle „Vokans”. W North San Juan świdy hydrauliczne wiercą otwory, szukając złota; Herbert Hoover miał tutaj zajście w swej młodości.

Whisky Diggins nazywa się jedno miasto, Port Vine (Portwein) — drugie. Wild Yankee Diggins — trzecie.

Nie ma już więcej Nowej Helvetii. Sutters Fort stoi w środku daleko rozpościerającego się miasta: Sacramento. O, śnie Suttera o ciszy leśnej i samotności! Skończył się on pewnego styczniowego dnia, gdy wprowadził do tego pokoju Marshalla. A na dworze szemrał deszcz.

Szopa czy może stajnia znajdowała się obok pewnego pokoju, w którym raz James W. Marshall pokazał swoje odkrycie. Teraz nie ma więcej stajni ani szopy. Peter Slater zapanował tutaj nad *liquor emporium*, powstały pierwszy szynk i pierwsza sala zabaw

<sup>103</sup>przymiot — cecha, szczególnie: cecha pozytywna; zaleta. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>Hangtown — z ang. dosł. miasto wieszania. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>wigitanci (z ang. *vigilant*: czujny) — strażnicy obywatelscy. [przypis edytorski]

wschodu i jednocześnie najdziksze miejsce na obu półkulach. Płaciło się bryłkami złota, strzałami rewolwerowymi utrzymywało porządek.

Ciężkie konne pojazdy, Concord Stages, i lżejsze, Prarie Schooner, przywoziły w kasetach złote wnętrzości Sierry i złote ości rzek. Obok cwałowali na koniach uzbrojeni aż po zęby właściciele. Gdy zwyciężyli rabusiów, którzy ich napadli, czy też dostarczyli swój ładunek szczęśliwie w dolinę, przychodzili do spelunki Slatera i kazali Chińczykowi podawać gin dla wszystkich przybywających „*ladies and gentlemen*”<sup>106</sup>.

Na wysokim krześle siedział krupier z dwoma rewolwerami przy boku i uważał, czy prawidłowo się gra przy faro, monte, pokerze, dwadzieścia jeden, rulecie i landsknechtie. Gdy ktoś próbował oszukiwać, dwaj Indianie chwyтали jego ciało — nie mieli nic więcej do roboty, jak je wynieść i pochować na cmentarzu Sutters-Fort.

A na dworze szemrał deszcz.

Pachołcy Suttera uciekli wszyscy razem — kogo mogła znieść miesięczna premia 40 dolarów, kiedy motyka i rynna wystarczały, aby wypłukać sto dolarów dziennie z rzeki albo wybić ze skały. Od dawna już nauczyli się Indianie pić i żyli z napiwków.

Na polu nie zostało nic zebrane, na słomę wyschły kłosa, na gałęziach zgniły owoce, w wymionach krowich psuło się mleko, w młynach pleśniała mąka, w tartakach gniło drzewo, w warsztatach rdzewiały maszyny, kopacze złota chwyтали na lasso pasące się konie Suttera, które im się podobały, i wystrzelali z jego trzód dla kawałka mięsa najdzielniejsze woły pociągowe.

Generał Sutter — ten tytuł ofiarowały mu USA — ogląda z ponurym obliczem podupadłe gospodarstwo i dopiero teraz widzi, jak wspaniałe to wszystko było przed pewnym styczniowym dniem, gdy z chustki do nosa Marshalla błysnęło złotem w mętym świetle komory i przy ulewnym deszczu na dworze.

Sutter złożył skargę, cały kraj jest jego. I najwyższy sędzia Kalifornii uwzględnił jego skargę w 1885: niezmierzone włości ze wszystkim, co na nich stoi i rośnie, są nieograniczoną własnością generała Jana Augusta Suttera i nikt nie ma prawa bez jego zezwolenia czegokolwiek tam szukać.

Piętnastego marca 1885 wydano ten wyrok. Dzień, w którym Sutter dowiedział się o nim, był, zda się, jedynym, kiedy generał błogosławił pewien inny dzień, deszczowy dzień przed siedmiu laty. Sutter jest szczęśliwy. Poszukiwacze złota nie chcieli jednak w żaden sposób opuścić pola, złotego pola.

— Czy po to pędziliśmy tysiące mil, czy po to kopaliśmy w wiatr i niepogodę, ażeby dać się przepędzić Szwajcarowi?

Tak mówili, gdy wyrok sądu stał się znany, zgromadzili się razem, wybuchła rewolta, folwark Suttera „Ermitage” i wszystkie budynki, spichlerze i ogrody zostały wraz z trawą, drzewami, kwiatami i płotami spalone, winnice zdeptane i spustoszone, ogień karabinowy skierowany na trzody, nawet ptactwo wytracone kulami karabinowymi, groble przedziurawione, mosty zerwane, śluzy zdruzgotane, jego zbiory etnograficzne, przeważnie z dziedziny folkloru indyjskiego, futra rzadkich zwierząt, minerały, zapasy i książki, wszystko rzucone w płomienie.

Kto ze sług Suttera natknie się na zbuntowanych kopaczy złota, zostaje wytarzany w smole i oblepiony pierzem, a potem martwy albo żywy powieszony na drzewie.

Nic już nie ma tam teraz. Tylko fort pozostał nienaruszony, kwateruje w nim wojsko, fort z pewną fatalną izbą.

Sutter sam był nieobecny, gdy wybuchły rozruchy, był w drodze do Waszyngtonu. Wróciwszy, znajduje gruzy i ruiny. Nie znajduje swych synów, jeden zastrzelił się, drugi został zamordowany, trzeci uciekł. Jego córka, zgwałcona przez czterech mężczyzn, cierpi na rozstrój umysłowy.

Tak stał się Johannes August Sutter, który przed tygodniem uważał się za najbogatszego człowieka na kuli ziemskiej, żebrakiem, mniej jeszcze. W Lilitz, kolonii morawskich braci w Pensylwanii, znajduje schronienie.

Wszczyzna proces o odszkodowanie. Dwadzieścia pięć lat, dwadzieścia pięć lat interwencji Sutter na Kongresie i w najwyższym sądzie w Waszyngtonie. Pomimo że jest

<sup>106</sup>*ladies and gentlemen* (ang.) — pań i panów. [przypis edytorski]



on w pełnym prawie, pomimo że obniżył swoje roszczenia, nie uzyskał żadnego wyroku. Wyroku nie wydano do dzisiejszego dnia.

Johannes A. Sutter, twórca środkowej Kalifornii, umiera w biedzie i nędzy, tylko bracia morawscy odprowadzają go do grobu na lilickim cmentarzu, gdzie leży w północno-wschodnim kącie jako ich jedyny nie-współwyznawca.

James W. Marshall, któremu Kalifornia zawdzięcza miliardy, żył przez dziesięć lat w San Francisco na poddaszu, tłocząc się z czterema osobami. Jego, który znalazł złoto, złoto nie odnalazło. Zbierano dla niego: wezwanie do zbiórki zachowało się do teraz. Dała ona 120 dolarów.

Ale pomniki mają obecnie obaj ci ludzie, którzy niegdyś siedzieli razem w tym pokoju, za którego jedyną szybą okienną teraz — jak wówczas 28 stycznia 1848 roku — szemrze deszcz.

## PRACA Z CHARLIE CHAPLINEM

— Chaplin? Tak, możemy się tymczasem u niego zatrzymać, czy chce pan?

Naturalnie, że chciałem, gdyż jest on jednym ze sprawiedliwych, dla których Ameryka musi być chroniona przed losem Sodomy i Gomory.

Drugim z tych sprawiedliwych jest ten, który mi zadał pytanie, czy chcemy się tymczasem zatrzymać u Charlie Chaplina. Nazywa się on Upton Sinclair<sup>107</sup>.

Byliśmy właśnie w wielkiej wytwórni filmowej w Hollywood, dokąd Upton Sinclair skierował swego „nasha”<sup>108</sup>, ażeby przyniósł film. Dla swojej żony. Sinclair opowiadał o jej cierpieniach. Była ogarnięta nieprzełamanym, rozpaczliwym strachem, żeby nie zachorować na raka, chociaż zgodnie z rozumem widziała bezpodstawność tego strachu. Szukając ocalenia przez sugestię i hipnozę, zwróciła uwagę na pewnego magnetyzera, który się przy swoich publicznych eksperymentach nazywał „Nostradamus”, prywatnie zaś Roman Astoja, był Polakiem i potrafił rozwinąć okultystyczne zdolności.

Obraz tych transów, w których Roman Astoja wbijał sobie gwoździe w język i ramię, mieścił się na taśmie filmowej, którą Upton Sinclair kazał przynieść. Opowiadał mi, że film pokazuje także, jak Astoja kazał się w Long Beach żywcem pogrzebać i na swoim grobie grać w foot-ball.

„Gra w foot-ball na grobie fakira — pomyślałem przypadkowo — co za filmowa groteska! Dla Chaplina! Footballista Chaplin czuje ponadzmysłowe zdolności, zostaje na swe żądanie żywcem pogrzebany, wydostaje się podczas meczu na powierzchnię ziemi i odbiera niebezpieczną piłkę”.

Nie wypowiedziałem tego pomysłu, nie odpowiadał powadze naszego tematu. Nie powiedziałem ani słowa. Ale Sinclair odpowiedział. Teraz właśnie przerwał okultystyczną rozmowę propozycją:

— Chaplin? Tak, możemy się tymczasem u niego zatrzymać, chce pan?

Odrzekłem, iż już dawniej wypowiedziałem życzenie, żeby być do niego zaprowadzonym, ale dopiero wczoraj dowiedziałem się od moźnych filmu, że wszystkie ich próby, aby go poznać, rozbiły się i każdy, kto się w Hollywoodzie chełpi, że jest jego najserdeczniejszym przyjacielem, w najlepszym razie widział go w restauracji Henris jedzącego kolację.

— Tak, on jest strasznie oblegany — mówi Sinclair — więcej niż stu ludzi przychodzi codziennie z najrozmaitszymi interesami, ażeby go zobaczyć, wyrazić mu swój podziw albo z jakimś projektem czy też próbą naciągnięcia go.

Sinclair zatrzymał swój pojazd na rogu Longpré Avenue i La Brea Avenue przed grupą czerwonych domków. Niczego nie można się z ich wyglądu domyślać, a najmniej

<sup>107</sup> Sinclair, Upton Beall Jr. (1878–1968) — pisarz amerykański, zdeklarowany socjalista, członek partii demokratycznej; wegetarianin, dzięki powieści *Grzęzawisko* (*The Jungle*), ukazującej w realistyczny sposób warunki pracy robotników litewskiego pochodzenia w fabryce konserw zdobył popularność i przyczynił się do uchwalenia federalnego ustawodawstwa dotyczącego inspekcji sanitarnej mięsa; autor wielu powieści zaangażowanych w aktualne tematy społeczne, gospodarcze i polityczne, tłumaczonych na język polski m.in. przez Antoninę Sokolicz. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> nash — samochód firmy Nash Motors, amerykańskiego przedsiębiorstwa branży motoryzacyjnej z siedzibą w Kenosha, założonego przez Charlesa Williama Nasha, daw. dyrektora generalnego General Motors; przedsiębiorstwo istniało w latach 1916–1957, zajmując się produkcją samochodów osobowych. Marka należała do amerykańskiego koncernu American Motors. [przypis edytorski]

atelier filmowego, gdyż atelier filmowe w Hollywoodzie są to gigantyczne murowane gmachy z okratowanymi drzwiami i portierami, których każda szczytowa ściana użyta jest na reklamy kinowe. Tutaj, na malutkiej metalowej tabliczce wyryte jest „Studio Chaplins”. Wchodzimy do gabinetu, tj. właściwie do panny, która kolejno zajmuje się telefonem i załatwia korespondencję. Idziemy naprzód na podwórze, które rzeczywiście jest podwórzem i na którym stoją budowle filmowe. Gdzie indziej nie byłoby podwórzem i byłoby się nazywało „Stage Nr. 35”<sup>109</sup>. Wejście byłoby wzbronione i stałby przed nim majestatyczny strażnik.

Dwóch panów pozdrowiło Sinclaira, odbywały się właśnie zdjęcia — opowiadali — a jeden rzekł:

— Tam idzie właśnie stary!

Stary! Szef! Zwracamy się myślą do niego. Do Charlie Chaplina. Gdyby nawet przyszedł w przyzwoitym stroju, jak przystoi dla szefa, dla starego, zostałby w każdym razie wtedy, gdy nie jest ani szefem, ani „starym” — głęboko smutnym wagabundą z komicznymi pomysłami, którego tak kochamy. Ale on zbliża się teraz w opadających, połatanych spodniach, w połatanych wielkich butach, w przekręconym krawacie i w kaftanie. Przychodzi właśnie z pracy, jest szefem, który pracuje.

— Halo, Upton — woła już z daleka — że też pan jeszcze raz pozwala się zobaczyć!

Sinclair przedstawia gościa, którego przyprowadził.

— To ślicznie — odpowiada żywy, własnoręczny, we własnej osobie Charlie Chaplin i potrząsamy sobie wzajemnie ręce.

Ucieka, jego robota nie posuwa się naprzód, kręci nowy film *City lights* — *Światła wielkiego miasta*<sup>110</sup> — ale teraz natrafili tam znowu na martwy punkt, diabeł chyba go nadarzył, nie możemy iść dalej — czy chcecie mi pomóc, chłopcy?

Tak, my, chłopcy, chcemy pomóc Charliemu Chaplinowi.

Nie jest to całkowity Charlie Chaplin z filmu. Przychodzi wprawdzie z pracy, lecz nie jest w czasie pracy albo lepiej — nie gra teraz. Nie ma swego kapelusza, wciśniętego melonika, ani bambusowej laseczki, ani czarnej szczoteczki pod nosem. Poza tym buty jego nie są tak przemożnie wielkie i przemożnie śmieszne, jak się wydają na filmie, są to rozdeptane, połatane, podarte, być może trochę za duże, ale w każdym razie zwykłe buty, i dopiero sztuka ich właściciela nadała im komiczny rozmiar. Teraz, gdy śpieszy z nami, którzy mu mamy „pomagać”, do sali zdjęć, buty jego nie są bynajmniej zadziwiająca, a właściciel ich wszystkim, tylko nie człowiekiem o płaskich stopach. Nosi okulary w rogowej oprawie. Bez nich nie może się nawet podpisać, takim jest dalekowiedzem.

Dwa pasma srebrnych włosów spadają mu na czoło. Także na karku ma siwe włosy — tam, gdzie one odrastają.

(— Powinien je pan kazać ściąć, Charlie — powiedziałem mu ostrożnie w kilka dni później. Ale on nie robi żadnej tajemnicy ze swych ufarbowanych włosów.

— Pan widzi, że się więcej o nie nie troszczę. Co będzie białe, nie będzie więcej farbowane. Koniec z tym. W czterdziestym roku będę znowu zupełnie biały, jak byłem w trzydziestym piątym.

— A co robi teraz pańska żona?

— Nie wiem — mówi z maską obojętności — ale mam dwoje dzieci i te są u niej).

Teraz jesteśmy w sali zdjęć; podczas gdy taśma jest nakładana, Charlie Chaplin gra na harmonium pieśń „Violetera” i śpiewa hiszpańskie słowa, które nie istnieją; zaprasza mnie, abym przyszedł do jego domu, tam będzie mi grał na organach, aż przestanę słyszeć i widzieć.

— Co, młodzi?

Młodzi, zgodnie z życzeniem szefa, potwierdzili, że ma w domu potężne organy, na których umie grać bardzo głośno i hucząco, niezależnie od tego, czy to się odwiedzającemu podoba czy nie.

<sup>109</sup>*Stage Nr. 35* (ang.) — plan nr 35. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*Światła wielkiego miasta* — oryg. tytuł *City lights*, amerykański czarno-biały, niemy film Charlesa Chaplina z 1931 r., opowiadający historię miłości między niewidomą kwiaciarką a „eleganckim trampem” (postać charakterystyczna, w którą zwykł się wcielać Chaplin), który szuka pieniędzy na operację wzroku dla ukochanej. [przypis edytorski]

— Gram przerażająco pięknie — śmieje się Chaplin — ale wy nic nie rozumiecie z mojej muzyki.

Młodych, którzy zresztą mówią do szefa „Charlie”, jest dwóch; nazywają się Harry Crocker i Henry Clive. Harry Crocker jest młodym Amerykaninem, obdarzonym swetrem i humorem; w cyrku grał tancerza na linie we fraku i szczęśliwego rywala Chaplina, a prócz tego clowna, którego Charlie namydla, i jeszcze kilka ról. Henry Clive jest już starszy, ma lat czterdzieści osiem i ma poza sobą poważny zawód czarodziejskiego sztukmistrza w amerykańskich prowincjonalnych *variétés*. Trzeci z młodych nazywa się Henryk, jak tamci dwaj, i jest dziś nieobecny, ale to jest wyjątek, na przyszłość żadna już wizyta nasza w Studio Chaplina nie obejdzie się bez tego, żeby mister Henry Bergmann z szerokim brzuskiem nie siedział, rozkraczony, w odpowiadającym jego rozmiarom krześle.

Ale w nocy pra-Bergmann (tak go wolimy nazywać zamiast „mister”, gdyż jest on pra-Węgrem) sam staje się szefem, właścicielem hollywoodzkiej restauracji bulwarowej dla znakomitości i tych, którzy ich chcą zobaczyć. Restauratora Henry stworzył Chaplin i dodał mu jako posag swoją wizytę co wieczór, za którą się Bergmann rewanżuje codzienną wizytą u Chaplina.

Czarną skórą obity fotel i cztery drewniane krzesła są oprócz harmonii jedynym inwentarzem jego gabinetu. Chaplin chce mnie posadzić w obitym skórą fotelu, ale gdy odmawiam, wydaje się bardzo zadowolony, gdyż usadawia się z podwiniętymi pod siebie nogami, musi to być jego zwykłe miejsce.

Chcemy więc, aby zaczęto kręcić film. Na razie jest gotowa czwarta część, czterysta stóp, do czego jeszcze coś niecoś będzie dodane i coś niecoś odjęte. Film się kręci.

Przy miejscu z łańcuszkiem od zegarka (patrz niżej) zaśmiałem się głośno. Ale ktoś kładzie mi rękę na kolanie i nakazuje być cicho. Kto to jest, kto mi chce zaprzeczyć naturalnego prawa szaleńczo się śmiać przy szalonym pomysle Charlie Chaplina? Nazywa się Charlie Chaplin i siedzi obok mnie. Film jest jeszcze niegotowy, powinniśmy „pomóc”, mój śmiech jest nie na miejscu, skoro śmieje się biedny Chaplin, gdyż w *Cyrku* musi nauczyć się „kawałów” klowna.

— Wspaniale — szepczemy, gdy fragment filmowy jest skończony i w atelier robi się widno.

Gospodarz przerywa:

— Czy możecie mi państwo opowiedzieć, coście widzieli?

Naturalnie. Chętnie. A więc dziewczyna sprzedaje kwiaty na rogu ulicy. Wtem nadchodzi Chaplin...

— O, jeszcze nie.

— ...przedtem przychodzi pan ze swoją żoną i kupuje kwiaty...

— Pan? Jaki pan?

— ...pan, który przypomina nieco Adolfa Menjou.

— Tak, elegancki pan z damą. To jest ważne. No, i co dalej?

— Później zza rogu ulicy ukazuje się Chaplin. Spogląda na studnię koło muru i ściąga rękawiczki, aby się napić. To znaczy: nie rękawiczki jako całość, tylko każdy palec oddzielnie, jednego brakuje i Charlie szuka go, nie mogąc znaleźć.

— Widzi pan, Charlie — woła Harry Crocker zwycięsko.

— Nie, to nie jest jasne. Będziemy to miejsce jeszcze raz kręcić — (objaśnia mi, iż błąd polega na tym, że chciał jako pierwszy palec ściągnąć ten, którego nie było, szukał go na ziemi i dopiero później ściągnął istniejące palce rękawiczki).

Teraz bierze Charlie kubek do picia.

— Czyście państwo poznali, co ja przedstawiam?

— ??

— Czy jestem tym razem czymś innym niż zazwyczaj?

— Tak, ma pan krawat — małą muszkę — i rękawiczki. Chce pan być tym razem gapiowatym włóczęgą, nieprawdaż? Na to wskazuje także pomysł z kubkiem do picia.

— Proszę, niech pan i to opowie.

— Chaplin bierze kubek, który wisi na łańcuchu. Łańcuch układa się na jego brzuchu, Chaplinowi przychodzi na myśl, że to byłby wspaniały łańcuszek do zegarka; próbuje

go oderwać od muru (patrz wyżej), podczas gdy pije. Nie udaje mu się, zrezygnowany idzie kołyszącym się krokiem do dziewczyny z kwiatami. Mała wyciąga...

— Zaraz, zaraz. Jest tam jeszcze coś w środku.

Chaplin spogląda ostro na Sinclaira i na mnie, pełen lęku, prawie błagalnie.

— Jest tam jeszcze coś.

Nie, absolutnie nie możemy sobie przypomnieć, żeby było coś w środku.

— Nadjeżdża przecież auto!

— Tak, nadjeżdża auto, jakiś pan wysiada i przechodzi koło Chaplina. Chaplin kłania się jak zwykle.

— A co robi auto?

— Nie wiem — mówię.

A Upton Sinclair dodaje:

— Myślę, że odjeżdża.

— Do diabła, do diabła — mruczy Chaplin — wszystko stracone.

Także jego współpracownicy są zmartwieni.

Opowiadam więc, co się działo dalej.

— Dziewczyna podaje Chaplinowi kwiat, kwiat pada na ziemię, oboje nachylają się, Chaplin podnosi go, ale dziewczyna szuka dalej; szuka dalej, pomimo że Chaplin trzyma kwiat. Wtedy poznaje, że dziewczyna jest ślepa. Kupuje kwiat i oddała się.

Ażeby się przekonać, że się nie omylił, człapie jeszcze raz ku niej...

— Nie, nie, on nie człapie.

— Idzie za drugim razem bardzo prędko, jak gdyby się śpieszył, ale będąc na miejscu, zatrzymuje się i tłumi dźwięk swych kroków. Później zawraca cicho, na czubkach palców i siada obok dziewczątka. Opryskiwała właśnie kwiaty i wymierza konewkę — Chaplinowi w twarz. Charlie człapie dalej i przychodzi znowu po raz trzeci. Kupuje znowu kwiat. Mała chce mu go wręczyć i wyczuwa przy tym w dziurce od guzika sprzedany mu przedtem kwiat. Dowiaduje się więc, że ten człowiek dla niej wrócił. Chaplin mówi jej, że druga dziurka jest jeszcze wolna, ale ona odpowiada, że nie można w obydwóch nosić kwiatów. Wtedy prosi ją, ażeby zatrzymała kwiat. Przymocowuje wtedy kwiat do jego gorsu.

— I...

— ...i jest zakochana!

— W kim?

— W Chaplinie!

— Do diabła! do diabła!

— ??

— Czy nikt nie przechodził?

— Nie widziałem.

— Do diabła! Czy znów nie zauważyliście auta i pana?

— Nie.

— A pan, Upton?

Nie, nie zauważył.

Zrozpaczony ukrywa Chaplin twarz w dłoniach, obraz smutku na tle obitym czarną skórą. Ale co się stało? Co to za nieszczęście, że ja, tutaj przybyły cudzoziemiec, nie zrozumiałem jakiegoś tricku, jakiegoś pomysłu?

Och, to jest więcej niż trick, to jest główna idea filmu, która jako zupełnie niejasna, upadła — ni mniej, ni więcej, jak to z mojego dalszego opowiadania wynika. Ulica jest elegancką ulicą, co jest zaznaczone przez pierwszego kupującego i jego damę. Wysiadającego z auta pana bierze sprzedawczyni kwiatów za tego, który kupuje kwiaty i z jej powodu wraca. Auto — myśmy tego zupełnie nie zauważyli — stało podczas całej sceny na rogu ulicy.

Właśnie wtedy, gdy ślepa na życzenie Chaplina przypięła mu drugi kwiat, wraca pan i siada do auta. Do niego, bogatego pana z autem, skierowana jest budząca się miłość. I Chaplin powinien teraz tę omyłkę zauważyć i przez cały film odgrywać rolę bogatego wielbiciela, ukraść pieniądze, których ona potrzebowała na operację mającą przywrócić jej wzrok, złożyć je u lekarza, zostać aresztowanym, znowu po odciernieniu aresztu zobaczyć dziewczynę, ona widzi go po raz pierwszy i wyśmiewa go, nie domyśla się, kim jest, a on wygląda tak komicznie, jak właśnie Chaplin...

Ale jeżeli publiczność nie pochwyci błyskawicznie tragicznego *qui-pro-quo*, wstrząśnienia, namacalności jego żebraczej nędzy i jego nagłego zdecydowania się na występki i kradzież dla tej zamiany ról, dla jej miłości, jeżeli publiczność tego zasadniczo nie pochwyci, to wszystko jest stracone.

— Musimy wszystko kręcić od początku — mówi Chaplin.

I zaczyna się poważna, ciężka, pełna trudu praca dramaturgii i reżyserii nad tym szczegółem, która trwa prawie osiem dni, i nawet podczas nużącej nocnej pracy przerywał nagle Chaplin nastrój:

— Jak by to było, gdybyśmy z tą dziewczyną z kwiatami zrobili tak, że...

Napisano księgi o aktorach, o mimikach, o reżyserach, o dramatycznej sztuce ludowej, dlaczego jeszcze nikt nie podjął próby, by utrwalić przy pracy za pomocą stenografii względnie dyktafonu Charliego Chaplina, którego działalność nie ma w historii sceny sobie równej, który stworzył legendarną postać świętego Charlie, zainscenizował i przedstawia.

Przez osiem dni była ta scena wypróbowywana, każdy z nas był niezliczoną ilością razy dziewczyną z kwiatami (najbardziej Virginia Cherril, która ją miała grać), każdy z nas był panem z auta, każdy z nas był szoferem, który otwiera drzwiczki auta, ale Charlie Chaplin był zawsze Charlie Chaplinem, w każdej próbie dawał siebie, pełnego nadziei — pozbawionego nadziei.

— Jakby to było, gdyby... — Tak zaczyna się zawsze, jeden z nas zrywa się, zrozumiawszy jego pomysł, i rozstawia innych.

Dramaturgiczna niemożliwość początkowej sytuacji zostaje wkrótce ustalona: faktu, że mała bierze Chaplina za pana wysiadającego z auta, nie może widzieć w żaden sposób pojąć, gdyż nie wie jeszcze, że jest ona ślepa. A więc trzeba przedtem ukazać jej ślepotę. Na to się Chaplin nie zgadza, tragicznego odkrycia musi on dokonać razem z publicznością.

Czy można by scenę z autem tak wyraziście przedstawić, ażeby widzowie przynajmniej później przypomnieli sobie o tym? Jakby to było... Pan wysiada z auta i mówi (napis): „Szofer, proszę tutaj zaczekać”. Chaplin zamyka uprzejmie drzwi samochodu obcego pana, dziewczynka robi kilka kroków w stronę auta...

Albo tak: pan idzie za Chaplinem takim samym krokiem, staje, zapala papierosa, tak że Chaplin podawany obcemu panu kwiat odnosi do siebie. Czy pan z autem nie powinien się od niego różnić, być uderzająco pięknym młodym człowiekiem, który śmiało wyskakuje z auta? Wprawdzie mała go nie widzi, ale publiczność widzi go i myśli: to ten ma na pewno znaczenie dla dziewczyny! Ludzie mają przed oczyma to, co jest iluzją ślepej.

Jakby to było, gdyby dziewczyna, poznana już jako ślepa, powiedziała do Chaplina, dając drugi kwiat (napis): „Niech pan go da swemu szoferowi”.

Jakby to było, gdyby Chaplin pomagał panu w samochodzie, a sprzedawczyni próbowała mu podać drugi kwiat i uderzyła się o szybę, ale to nie było wcale okno, tylko otwarte drzwi auta, poza którymi stoi Chaplin...

— Cudownie, cudownie — woła Chaplin i robi z tego próbę. Jest to rzeczywiście cudowne, jak on to gra, ale nagle wskakuje na swój fotel i zapada się w nim.

— Niedobrze. Nie mogę grać lokaja, kiedy minutę przedtem wzruszyła mnie ślepotą małej i zakochałem się w niej. Jakby to było, gdyby pan powiedział (napis): „Szofer, do domu” albo „Ritz-Carlton” i dziewczynka widzi się we wspaniałym pałacu albo w hallu hotelu...

— Na miłość boską, tylko żadnych wizji!

Jakby to było, gdyby ślepa poprzez Chaplina niby przez powietrze patrzyła na auto...

I Chaplin spostrzega nagle, że ona uważa go za bogatego pana. Musiałoby się pokazać jeszcze auto, jak zakręca na następnym rogu, później na dalszym rogu i znowu na następnym. A w międzyczasie wpatrzona dziewczyna z kwiatami. Wprawdzie żaden człowiek nie może zobaczyć auta, zakręcającego kilka razy, ale mała jest przecież ślepa, więc może...

Tak schodziły, jak powiedziałem, całe dni. Przy budowie rogu ulicy, gdzieby można było pracować nad autem, albo w bungalowie, gdzie się odbywała rada wojenna, albo przed wspaniałym pomnikiem wyobrażającym trzy alegoryczne postaci. Chaplin prosił nas, abyśmy ich znaczenie zachowali tak długo w tajemnicy, póki ten pomnik i ta tajemnica nie zostaną ujawnione przed wszystkimi mieszkańcami wszystkich części świata.

O każdym z tych miejsc daje się opowiedzieć jakiś epizod. Np. o garderobie, która właściwie nie jest garderobą, tylko towarzyskim miejscem całego studio. Na lewo jest pokoiik, zaopatrzony w stół ze szminkami, po drugiej stronie kąpielowy. Pewnego popołudnia piliśmy herbatę, gdy zastała zameldowana pewna bardzo sławna dama, najlepsza przyjaciółka Chaplina. Wyszedł jej naprzeciw, a ja poszedłem do bocznego pokoiku, aby się uczesać. Przed lustrem leżał grzebień, biały, ale nie bardzo czysty: znajdował się na nim pęczek wyczesanych ciemnych włosów. Wyrwałem je, rzuciłem na ziemię i doprowadziłem moją fryzurę do porządku. Wpadło mi przy tym do głowy, że będzie można zobaczyć na błyszczącej, czystej podłodze mały pęczek włosów i poznać, że ktoś nieuprawniony korzystał z garderoby. Może być, że te włoski były nawet przeznaczone do określonego celu? Podniosłem je zatem i położyłem znowu na grzebieniu.

Wszedł Harry Crocker, ażeby się trochę upiększyć.

— Niech pan zobaczy — powiedział i pokazał mi coś czarnego widniejącego znowu na białym grzebieniu — to są wąsy. Ma je już piętnaście lat, wciąż te same, pewien nowojorski fryzjer teatralny zrobił je dla niego. Żadne inne wąsy nie zniosłyby trwających całymi miesiącami występów przy każdej pogodzie. A nowojorskiego fryzjera nie mogliśmy więcej znaleźć. Jeżeli wąsy będą na nic, mówi Chaplin, będzie grał zupełnie gładko ogolony.

Musiałem zblednąć. Dzieci, pomyślcie, Chaplin bez wąsów — i to ja byłbym winny.

Rozmowy z Chaplinem obracały się stale około jedności estetycznego i socjalnego celu. On, w którego dziele ta jedność się ucieleśnia, on, który był uważany w towarzystwie za „radykała” i „bolszewika”, wyraża wciąż zwątpienie, być może, dla wywołania dyskusji, być może, ażeby usłyszeć nowe argumenty od odwiedzających, być może, zrażony atmosferą Hollywoodu.

— Gdybyż wszystko było tak proste, jak my sobie tego życzymy! Jak to jest z Poem, moim ulubionym autorem? Nie mogę w nim znaleźć zupełnie śladu miłości dla pozbawionych praw — chociaż tak namiętnie szukam. Shakespeare! To nieznośne szyderstwo z przeciętnego człowieka...

Tutaj rozmowa staje się burzliwa. Krzyczymy, że Shakespeare obsypał królów czymś całkiem innym niż szyderstwem i powstawał przeciwko absolutnemu królestwu w obronie następnej klasy społecznej, szlachty, chciał więc pokazać, że szlachta nie jest plebsem...

— Nie, nie — przekrzykiwał nas Chaplin — Shakespeare jest homoseksualistą, a homoseksualiści są, być może wbrew woli, kastą, zaś każda kasta myśli arystokratycznie. Wszyscy mężczyźni są u Shakespeare’a przebranymi kobietami, a wszystkie kobiety przebranymi mężczyznami. Julia leży na górze, a Romeo na dole, ona jest oparta na poręczy balkonu i poucza, jest w ogrodzie i grucha. Królewscy starcy są kobietami, lady Makbet jednak jest mężczyzną i Porcja wkłada nawet odpowiednie ubranie i występuje jako obrońca przed sądem. Tak, jak mówi Hamlet do Ofelii, nie mówi żaden mężczyzna do kobiety, to nie jest wyładowanie, poryw płci, to jest pogarda, to jest...

I Chaplin gra Hamleta, mówi Shakespearowskie białe wiersze, które świszczą jak uderzenia batem zadane niewolnicy.

— Nie, nie, tu nie ma wcale wyczucia społecznego, a jednak — to jest geniusz.

Udziela mu się tu ostatniego słowa, jakkolwiek bynajmniej go nie otrzymał.

Rozmawiamy często o filmie, Charlie nie zna żadnego z rosyjskich (Hollywood!). Wczoraj był w kinie i denerwował się bez końca, że dany jako wstęp występ taneczny miał falujące srebrne tło, co zepsuło wrażenie.

Opowiada także często epizody o swoich filmach. Małpy w *Cyrku* straszliwie go podrapały i przez sześć tygodni musiał pozostawać pod opieką lekarską. Jeszcze dziś można zobaczyć dwie szramy.

A wrzask właścicieli małp! Mianowicie małpy usłyszały cztery rozkazy, a każdy uważał swój za najważniejszy. „Opuść aparat niżej” — krzyknął jeden do kinooperatora „widzisz przecież, że Jonny jest na ziemi. Zaś drugi: „Teraz, teraz! Mungo podnosi głowę”. Charlie gra scenę: cztery małpy, czterech poskromicielei, siebie samego i zdjęciowca.

*Noce pięknej kobiety* nie miały powodzenia. Co ja, Mr. Kisch, sądzę o *Shoulder the arms*<sup>111</sup>? Nie znam tego filmu, nie wolno było go grać w Niemczech.

— I w Ameryce nie może być grany, gdyż występuje tutaj Hindenburg, prezydent zaprzyjaźnionego państwa. Przy tym nie jest on wyszydzony, tak samo zresztą, jak cesarz i następca tronu! Nie robiłem ani przez sekundę pośmiewiska, nikogo nie skarykaturowałem prócz jednego pruskiego oficera, który się źle obchodził z pruskimi żołnierzami. I gdy mu dają baty, przychodzą niemieccy żołnierze i potrząsają mi z wdzięcznością ręce. To się nie podobało militarystom: amerykański żołnierz, który z „Hunami” zamienia uścisk dłoni! Jestem bardzo dumny z tego filmu, powstał wśród szalonej psychozy wojennej i pokazuje całe rozprężenie i przerażające rzeczy wojny. Jest to rewolucyjny film — nie, nie, pacyfistyczny, rewolucyjny w obliczu czasu. Musi go pan zobaczyć, musi go pan natychmiast zobaczyć.

Rzuca laseczkę bambusową i kapelusz i biegnie do sali filmowej. Siedzę więc tam, gdzie przed kilku dniami siedziałem, patrząc na fragment z *City Lights*, obok kogoś, kto mi zabraniał wyrażać pochwały. Dzisiaj siedzi ten ktoś obok mnie, łapie mnie za kolana i uderza w plecy.

— Niech pan uważa, teraz będzie śliczna scena.

Ty, drabie po mojej lewicy, nie trącaj mnie, któż potrzebuje mi na filmie Chaplina udzielać rady, abym dobrze uważał!

— Widzi pan, to mi także wzięto za złe, że kazałem ze śmierzącego sera zrobić przysmak amerykański. I to, że okopy są zalane... — (Żołnierz Chaplin kładzie się do wody, ale bierze lejek do ust, aby nie utonąć. Wczesnym rankiem wyciąga z wody zdrętwiałe nogi i trze je, dopóki nie zauważy, że należą one do jego dwóch sąsiadów).

— Tę scenę — (Chaplin jest przebrany za drzewo poza niemieckimi liniami) — robiliśmy na otwartej przestrzeni. Nikt nie mógł mnie zastąpić, musieliśmy pędzić w morderczym gorącu, dopóki nie połamałem się na kawałki. Widzi pan tego grubego? Zna go pan.

Tak, poznaję go, to jest Bergmann, siedzi spokojnie przede mną i wspomina gonitwę w morderczym upale za uciekającym drzewem.

— Widzi pan?... Widzi pan...

— Do diabła ciężkiego, tak, widzę. Widzę wszystko, niech pan mnie nie szturcha!

Ale później przychodzi miejsce, ładniejsze niż nowela Gorkiego o starej dziewczce publicznej, która prosi pewnego pisarza, aby jej pisał listy do zmyślonego kochanka. Poczta polowa nic nie przyniosła żołnierzowi Chaplinowi ku jego rozczarowaniu, nawet karty. Więc zadowala się tym, że spogląda przez ramię swego kolegi, który czyta list z ojczyzny. Chaplin kiwa głową, zadowolony, gdyż dowiedział się, że w domu jest wszystko w porządku. Chaplin śmieje się z uwag, które zrobiły dzieci. Ale brązowa łaciata krowa przed ośmiu dniami zachorowała i zdechła. Chaplin płacze nad brązową łaciatą krową, i jego łzy padają na kark tego, do którego przyszedł list.

Ten odwraca się, wściekły, a Chaplin poruszył po Chaplinowsku ramionami i począł pał dalej, pełen winy, gdyż do tej radości i do tego smutku nie miał prawa.

Tu kładę memu sąsiadowi rękę na kolanach.

## W KAŻDEJ PRZEGRODZIE – TRUP

Nie jest tylko przypadkiem, że „*Mortnary*”, morga<sup>112</sup> nowojorska, znajduje się tak blisko portu, lecz przypadek zrządził, że muzeum bezpieczeństwa jest oddalone od niej tylko o parę kroków.

W muzeum bezpieczeństwa oglądać można środki ochronne w różnych zawodach, lampy górnicze i maski gazowe, którym nic nie można zarzucić, siatki ochronne, automatyczne semafony i tablice ostrzegawcze, okulary, odtrutki i inne w tym rodzaju.

W mordze leżą ludzie, którym nie pomógł żaden środek ochronny. Przyniesiono ich tu z ulicy lub z wody, wielu bezpośrednio, wielu za pośrednictwem szpitala.

<sup>111</sup>*Shoulder the arms* — polskie tłumaczenie tytułu: *Charlie żołnierzem*, film z Charliem Chaplinem z 1918 r. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*morga* (daw., z fr. *morgue*) — kostnica; budynek, w którym wystawia się do rozpoznania zwłoki nierozpoznanych zmarłych. [przypis edytorski]

Dobrze chłodzona piwnica jest podzielona przez głębokie szafy z przegrodami. Można je łatwo wysuwać — i oto stoi doktor Becker oko w oko z bohaterami kroniki wypadków, samobójstw i kryminalistyki. Ale oni żyją.

Doktor Becker wysuwa parę przegród, gdyż na nich widnieją nazwiska, które zna z ostatnich gazet. Na przykład przemytnik alkoholu, Sigmund Weiss, który onegdaj miał być przeprowadzony z „Tombs”, więzienia śledczego, na rozprawę, przy czym podczas zawiązywania sznurowadeł wypadł mu rewolwer z kieszeni. Łotr — można było czytać na tytułowej stronie pism wieczorowych — bronił się z niedźwiedzią siłą przeciwko odebraniu mu broni i został zastrzelony przez zagrożonych strażników więziennych. Oto leży tu ten łotr: smukły młodzieniec o jasnych włosach, z ośmioma krwawymi ranami.

Jak wyglądała konieczna obrona, której musieli użyć jego siepacze, dowiaduje się doktor Becker, wysunawszy sąsiednią przegrodę. O leżącym w niej mężczyźnie, nazwisko którego pozostało nieznane, można było również czytać w pismach. Przed paru dniami zjawił się w paru filiach „Fanny Farmers Kandies” z wydobytym rewolwerem i splądrował kasę. „Fanny Farmers Kandies” zaczęli strzec detektywi. Onegdaj wieczorem został zastrzelony na Lexington Avenue.

Detektywi nie mogli, niestety, wymyślić bohaterskiej historii o brutalnej walce i strzelaninie, gdyż „rewolwer” zabitego okazał się nieszkodliwą imitacją ze szkła...

Zabity, lat około trzydziestu, o słowiańskich rysach, uśmiecha się. Uśmiecha się, być może, dlatego, że personel dał się zapędzić w kozły róg szklaną zabawką, uśmiecha się może dlatego, że kasa była dobrze nabita.

Za ladą czyha śmierć, ale nie uśmiecha się ona, drży za to i strzela, nieprzytomna ze strachu. Można naliczyć cztery rany, z których pierwsza już była śmiertelna. Młodzieniec uśmiecha się.

Ofiary aut, pomiędzy nimi dzieci. Po czaszkach, zmiażdżonych przez spadające ciężary lub rozbijane haki dźwigów, poznać można martwych robotników portowych. Droga ich z miejsca pracy do morgi nie była zbyt długa, doki są odległe zaledwie o dwie minuty.

Szafy wypełnione są przez nabrzmiałe zielone ciała topielców o czarnych twarzach. Ofiary Manhattanu, ofiary morderczego ładu stałego. Woda była tylko ostatnią narkozą.

Corocznie przesuwają się przez te przegrody szesnaście tysięcy mieszkańców Nowego Jorku, dwa razy na tydzień ma miejsce na Hart Island pogrzeb co najmniej pięćdziesięciu trupów. Pozostałym wyprawiają pogrzeb bliscy.

Morga posiada kaplicę; niepodobna jest do innych kościołów i kaplic Nowego Jorku, nie zbudował jej Vanderbilt ani Morgan. Wygląda biednie i opuszczenie, ma cztery rzędy nędżnych ławek i zagłębienie, gdzie nie ma nawet świętego obrazka, tylko sześć świec i skromny krucyfiks z pięciocentowego bazaru Woolwortha; Woolworth ma i dziesięciocentowe towary, ale ten jest za pięć centów.

Nie ma o czym mówić! Gdybyż można było przynajmniej zabalsamować zmarłego! W Nowym Jorku balsamuje się prawie wszystkich zamożniejszych nieboszczyków.

Doktor Becker przygląda się pracy człowieka, który czyni to w mordzie. Balsamujący nie lubi, gdy mu się przeszkadza. Zawadza mu tylko ramię nieboszczyka i dlatego założył je sobie na biodro. Wygląda to jak grupa w *panopticum*<sup>113</sup>: chory obejmuje ramieniem lekarza, który pochyla się nad nim z lekarstwem. Mistrz Balsamo wsunął trupowi jedną flaszkę pod głowę. Gdy mikstura ta jest mu akurat potrzebna, używa innej butelki za poduszkę.

Opodal Murzyni zbijają z desek trumny. Po włożeniu zwłok i zabicu gwoździami zawieszają się na niej kartkę z nazwiskiem zmarłego i miejscem, skąd przybył do morgi — „received from penitentiary”<sup>114</sup> lub coś w tym rodzaju.

Częstokroć widnieje na niej zamiast nazwiska jedynie „mężczyzna” lub „kobieta”, wiek i numer. Dokładniejsze dane można przeczytać w kancelarii; na jednym arkuszu zapisuje się zawartość kieszeni i części ubrania, które nosił ten numer, wiele mówiący wizerunek milczącego — odciski palców, znaki szczególne, przyczyna śmierci, wynik sekcji. I tu notuje się wiek, nie w okrągłych cyfrach, lecz — tu oglądacz zwłok zwraca doktorowi Beckerowi z naciskiem uwagę — zupełnie dokładnie: „54 lata” na przykład:

<sup>113</sup>*panopticum* — zbiór osobliwości lub wystawa rzeczy osobliwych; muzeum figur woskowych. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*received from penitentiary* (ang.) — otrzymany z zakładu karnego. [przypis edytorski]



— Skąd wiecie o tym z taką pewnością? — pyta doktor Becker.

— To rzecz doświadczenia. Codziennie opisuję przeszło czterdzieści zwłok, a większość z nich zostaje wkrótce rozpoznana. Nabywa się przez to nieomylnego spojrzenia!

Doktor Becker, który dotychczas nie wierzył właściwie w nieomylnie spojrzenia, chciał się dokładnie przekonać, czy zetknął się obecnie z takowym.

— Wiele lat mam według pana oceny? — zapytał.

Nieomylnie spojrzenie wpija się w oczy doktora Beckera, szacuje jego uzębienie i ogląda od tyłu.

— Fałdy skóry na karku są najpewniejszą oznaką — wyjaśnia oglądacz zwłok.

„A, tak — myśli doktor Becker — jeśli są nieomylnie znaki, łatwo nieomylnemu spojrzeniu stać się nieomylnym...”

Ten tok myśli zostaje przerwany przez apodyktyczne twierdzenie urzędnika:

— Ma pan 31 lat.

— Och, prawie 33 — odpowiada doktor Becker.

— Kiedy skończy pan 33?

— W kwietniu.

Człowiek o dotychczas nieomylnym spojrzeniu potrząsa głową.

— Nigdy bym nie przypuszczał! Nigdy jeszcze nie omyliłem się o całe dwa lata. Pan jest specjalnie dobrze zakonserwowany!

Doktor Becker objaśnia, że młodo się ożenił i prowadził solidny tryb życia, co nie pozostało bez wpływu na fałdy skóry na jego karku.

Przechodząc przez salę sekcyjną, widzi doktor Becker lekarzy i studentów schylonych nad trupami, które są cennym materiałem. Wczoraj, kiedy żyli jeszcze, byli niepotrzebni światu ani sobie i pozwolono im zdechnąć w więzieniu lub popełnić samobójstwo w porcie. Chowani są bez nazwiska, jedynie z dokładnym podaniem wieku.

Ale doktor Becker ma 44 lata.

## KRAJOBRAZ, KULTURA I RZEŹBY HOLLYWOOD

Każdy wie zapewne, że Hollywood jest rajem, czarodziejskim ogrodem, krainą z bajki. Nie chcemy poddawać wątpliwości ani osłabiać tego ogólnie uznanego pewnika, gdyż dałoby to nam rozgłos zręcznych opozycjonistów lub poszukujących za wszelką cenę oryginalności. Zadowolamy się zatem pewnym uzupełnieniem wzmiankowanego pewnika, a mianowicie, że nie ma na całym świecie nowoczesnego miasta, które stałoby na bardziej zapuszczonej, odstręczającej i nieurodzajnej ziemi niż Hollywood.

Była to pustynia, zanim nie osiedlił się tu przemysł filmowy ze względu na warunki świetlne i brak deszczu, i pustynią pozostała.

Czemuż jednak szczęśliwe współzycie sztuki i bogactwa nie miałyby i na tym gruncie wybudować tych pełnych smaku pałacyków, otoczonych barwnymi ogrodami, które podziwiamy z zachwytem w pismach ilustrowanych i na kolorowych pocztówkach jako siedziby naszych ulubieńców? Jedno nie wyklucza drugiego i możemy uważać za nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że wszystkie wille są najgorszego gatunku kiczami, a ogrody składają się z ogródkowej zieloności.

Żadnego plenerowego zdjęcia nie można skutecznie na tle krajobrazu Hollywoodu, sceny miłosnej i polowanie nie stałyby się tutaj *box office*, nie miałyby powodzenia kasego.

W samym Hollywood nie rośnie trawa, ale w atelier reżyser może oczywiście to zarządzić, i tam, gdzie wczoraj wznosiła się sala średniowiecznego zamku, rośnie dzisiaj bujna trawa w żądanych wymiarach. W ten sposób przedstawiają się kawałki murawy przed niektórymi willami, na ulicach zaś miasta, które — to jasne! — nazywają się „Boulevards”, umieszczono nawet palmy, eukaliptusy, drzewa pieprzowe. Tej murawy i tych drzew nikt przez noc nie uprzątnie, pogoda szkodzi im równie mało, jak pomaga, a ukraść — któż by mógł ukraść taką florę!

Zamki na wzgórzach, to poważny gotyk, późny gotyk z 1925 r. po Narodzeniu Chrystusa, ze strzelnicami dla kuszy, mostami zwodzonymi dla jeźdźców i wieżami dla grających fanfary strażników, krótko mówiąc, wszystkiego potrzebuje władca filmu, gdy pragnie wymknąć się wieczorem ze świata uludy. Ale góry, na których wznoszą się te dumne

Miasto, Pustynia

skalne gniazda, są prawdziwe: ich szarość i wysokość przypomina śmietniska lub stopy odpadków.

Każdy dom ma swój garaż, do którego prowadzi z ulicy mała rampa. Ale z autami dzieje się to samo, co z palmami i murawą: ponieważ tutaj nie ma ani śniegu, ani deszczu, a auta nie kradnie się (gwiazdy rzadko kradną auta, gdyż i na filmie zdarza się to tylko rzadko, a brak jest innej ku temu podniety), zajeżdżają one przed garaż, ale nie do garażu, w którym trudno jest manewrować. I auta stoją przed swymi siedzibami, jak gdyby operator dopiero co zamknął obiektyw.

Wszystko jest prowizoryczne. Na przykład domy mieszkalne, jednopiętrowe, pokryte dachówkami, w hiszpańskim stylu, doniczka z kwiatami pod każdym okrągłym oknem i balkonik pod co drugim oraz parterowe domy handlowe zbudowane z gotowych części drewnianych.

Między domami zieją kilometrowe luki. Gdzie, zapytuję, można przykleić plakaty, przynależne do każdego porządniejszego bulwaru, jeśli nie ma tam ścian? No, to właśnie luki pomiędzy domami wypełnia się ścianami, podtrzymywanymi przez słupy przeznaczonymi na plakaty.

Jeszcze jeden nowy środek reklamy rozpoczął z Hollywood swój triumfalny pochód przez Stany: pomnik w służbie reklamy.

Zaczątki tego rewelacyjnego pomysłu używania rzeźby dla wzmożenia przyływu klientów i dania w końcu praktycznego celu temu rodzajowi sztuki istniały już w Ameryce; lepsze firmy, zwłaszcza towarzystwa akcyjne, handlujące nadającymi się do propagandy towarami, stawiały na publicznych placach pomniki swym najrzęczniejszym prezesom zarządu, którzy jednak musieli już nie żyć do tego celu.

W Los Angeles kupcy budują swoje pomniki za życia. Stoi na przykład na kuli ziemskiej nadnaturalnej wielkości mężczyzna. Przystępujemy bliżej i widzimy, że podnosi do ust filiżankę — *advertising* dla jakiegoś gatunku kawy. Brązowy jeździec mknie w brązowym aucie wyścigowym, umocowanym ze swej strony na brązowym cokole — nazwa fabryki wyryta jest złotymi literami. Dziewczę z warkoczem doi bawolicę — dla najbliższego sklepu z mlekiem. Posągi swoje mają również chłopcy hotelowi w czerwonych kurtkach z walizką pod pachą — w dole widnieje adres hotelu. Statek płynie po falach postumentu — korzystajcie tylko z tego towarzystwa okrętowego. Ten posąg świętego Jerzego na koniu, zabijającego smoka, mógłby być dłuta Donatella — mądra reklama drogerii sprzedającej gorące kiełbaski, zimne napoje i powieści brukowe.

Jeśli rzeźba, dlaczego nie i architektura? Budujemy reklamy. Od filmu nauczyliśmy się, jak buduje się do filmu. Cukiernie są wiatrakami, których skrzydła obracają się, sklep z lodami ma wygląd olbrzymiej maszynki do lodów z kręcącą się korbą, kabaret jest wiernym naśladownictwem Moulin Rouge; restauracja, chcąc zareklamować jarską dietę, przybiera kształt szarego lochu z okratowanymi oknami, inna znowu pokazuje, że dostarcza szybko przekąsek, usadawiając się w nowo zbudowanym wraku, nad którym widnieją litery S.O.S.; w kuble jadają bywalcy mleczarni.

Nie zawsze jest zrozumiała ta logika budowlana. Dlaczego restauracja ma kształt twardego, brązowego kapelusza, dlaczego największe kino Hollywoodu jest zbudowane na modłę teatru chińskiego, dlaczego nabożeństwa żydowskie odbywają się w ozdobionym krzyżem kościele z napisem „*Unitarian Church*”... stop! O małośmy się nie zblamowali<sup>115</sup>. Ten ozdobiony krzyżem kościół jest rzeczywiście kościołem, a nie synagogą, jedynie w święta żydowskie zasłania on swoich świętych, ołtarze i kropielnice i wynajmuje się pobożnym przemysłu filmowego. Jeszcze przed paru laty był oddawany jedynie na dzień pojednania, ale okazało się korzystnym dla obu stron odnajmować go, względnie wynajmować na wszystkie święta żydowskie. Wielkie możliwości dla gorliwie naśladowującej Amerykę Europę: w kościele ku pamięci cesarza Wilhelma<sup>116</sup> wygłasza kazanie nadržabin berliński, a w starej synagodze ksiądz — arcybiskup z Pragi udziela wszystkim wiernym apostołskiego błogosławieństwa. Oczywiście za okrągłą sumkę dolarów.

<sup>115</sup>O małośmy się nie zblamowali — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: o mało się nie zblamowaliśmy. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>kościół ku pamięci cesarza Wilhelma — Kaiser Wilhelm Gedachtnis-Kirche: słynna świątynia berlińska. [przypis tłumacza]

Bardzo miłym miejscem jest Hollywood, zarówno jego dary naturalne, jak i architektura, rzeźba i w ogóle kultura i widzimy teraz, skąd czerpie źródło duchowa strona jego filmów.

O miejscu tym, o którym powiedziano więcej niż o jakimkolwiek innym na obu półkulach, nie można już więcej powiedzieć — aby odwrócić powiedzenie Hamleta — jest zaludnione przez błaznów i fałszerzy historii.

## U FORDA W DETROIT

Przy pierwszych odwiedzinach w zakładach Forda rzuca się najpierw w oczy, że prawie wszyscy robotnicy mają nabrzmiałe policzki. Zadaje się pytanie, skąd to pochodzi. Otrzymuje się w odpowiedzi: „Tak, mister Ford jest niepalący”.

To znaczy, że nie znosi palących. O, nie tylko przy pracy — zajęty przy transmisji nie ma czasu na zaciąganie się papierosami. Ale także przed i po pracy palenie jest wzbronione; w warsztatach, które nie posiadają żadnych przedmiotów grożących pożarem, a i bez tego są pełne kurzu i żaru z pieca, i poza salami fabrycznymi — na ulicach, placach i grzędawiskach pomiędzy fabrycznymi budynkami, któredy przejeżdżają dymiące pociągi. W autobusie, który obwozi cudzoziemców po gotowych, nadających się do obejrzenia częściach zakładów, w kawiarni, gdzie inżynierowie i urzędnicy jedzą obiad, nie wolno palić.

Ażeby więc zaradzić brakowi papierosów, żują robotnicy przez cały dzień tabakę, tak że się zdaje, że wszyscy mają nabrzmiałe policzki. Od czasu do czasu wypluwają prymkę, obojętnie dokąd. W odlewni żelaza celują do nasyconej sodą wody, która przepływa nad rozżarzoną żelazem i pryska w twarz kolegom...

Gdyż mister Ford jest niepalący.

Wozy z zapasami żywności wjechały do hali warsztatu. Piętnaście centów kosztuje paczuszka złożona z trzech kawałków chleba (dwa z mięsem, jeden z marmoladą). Z kotła z zupą zostaje za pięć centów napełniony kubek papierowy. Za flaszkę gorącej kawy płaci się dziesięć centów, ale za pustą flaszkę otrzymuje się z powrotem pięć centów. Przed wozem i przed kotłem z zupą stoją robotnicy w długim szeregu. Trwa z jakiegoś osiem minut, zanim się tam dojdzie. Przerwa obiadowa w zajęciach na trzy zmiany trwa piętnaście minut, w innych dwadzieścia minut. Dlatego gorąca zupa w papierowym kubku, chleb, kawa (pije się ją z flaszki), a do tego zawsze jabłko muszą być zjedzone w przeciągu siedmiu minut. Je się, stojąc albo przykucnąwszy na ziemi. Ławek ani krzeseł nie ma. Kantyny są wydzierżawione trzem towarzystwom, które odgraniczywszy swoje rejony, nie obawiają się żadnej konkurencji i o rozkosze dla swoich gości się nie troszczą.

Gdyż mister Ford nie tylko nie jest palącym, ale nie jest także stałym gościem wozów.

W środku każdej hali jest estrada, gdzie robotnicy mogą powiesić na wieszaku swoje ubrania, kiedy wciągają kitel. To robi tylko bardzo niewielu. Wolą iść do domu w przepoconej koszuli i przepoconym ubraniu bez płaszczka, także zimą, gdyż lepsze części ubrania są kradzione, jeżeli się je zostawia niezamknięte. U Forda odbywa się trzykrotna zmiana nie w ten sposób, że robotnicy zmieniają się wzajemnie partiami; każdy musi być o innej godzinie i minucie na swoim miejscu. Kto więc opuszcza warsztat, gdzie kilka tysięcy ludzi gorączkowo jest zajętych pracą, może niepostrzeżenie zabrać coś niecoś ze sobą.

Jest bardzo mało klozetów i trzeba stać w ogonku.

Gdyż mister Ford jest nie tylko niepalącym i niestałym gościem wozów z żywnością, ale także nie korzysta z klozetów w swoich warsztatach.

---

Nowy zakład Rouge Plant, Czerwona Fabryka, nazywa się tak dlatego, że leży nad rzeką Czerwoną<sup>117</sup>, ale Mr. Flenry chce wprowadzić dla całego okręgu nazwę „City of Fordson”, przeciwko czemu protestuje rada miejska, w której zakresie to leży.

Dawna fabryka, Highland Park, zostaje właśnie zlikwidowana i odstąpiona innemu przemysłowemu przedsiębiorstwu.

---

<sup>117</sup>*rzeka Czerwona* — tu: River Rouge, rzeka o długości 204 km na obszarze Metro Detroit w południowo-wschodniej części stanu Michigan w Stanach Zjednoczonych, wpadająca do Detroit River przy Zug Island, zindustrializowanej wyspie stanowiącej granicę między miastami River Rouge i Detroit. [przypis edytorski]

Tysiące urzędników i robotników osiedliło się w sąsiedztwie fabryki — no i budzą się któregoś dnia oddaleni od niej o dziesięć mil.

Dziesiątki tysięcy nie mogą dostać mieszkań w Detroit i jadą do Rouge Plant więcej niż dwie godziny, przeważnie stojąc, gdyż autobusy, tramwaje i wozy są przepelnione. Robotnicy mieszkający poza obrębem sieci komunikacyjnej starają się kupić sobie jakieś stare, małe auto i odwożą codziennie kolegów za miesięczne wynagrodzenie — to są te auta robotnicze, które się widzi, stojące masami przed amerykańskimi fabrykami, i o których się słyszy jako o dowodzie panującego dobrobytu. Ale Henry Ford, niepalący, mieszka w Deaborn.

Wewnątrz samych zakładów Forda nie udaje się dopełnić przez rozmowy z robotnikami tego, co pokazują, dlatego że nikt nie ma przede wszystkim czasu, po wtóre zaś ochoty wypaplać coś i potem za to cierpieć. Za to w Detroit albo w okolicy nie sposób jest poznać kogoś, aby rozmowa nie zesłała na Forda. Każdy albo rozpoczynał tam pracę, albo pracuje, panowie wszystkich krajów zgromadzili się w kraju jednego pana — legia cudzoziemska przemysłu. Ludzie mało rozprawiają o polityce i nie wiedzą nawet, co za człowiekiem jest ziomek, który się tak interesuje ich opowiadaniem o fabryce. A jednak nie słyszy się od nich nic prócz skarg.

Robotnik

Najgorszym zaś jest „*lay off*”. I to jest właśnie najgorsze. Za błąd w pracy, za drobną niedokładność (gdyby nie była drobna, robotnik zostałby natychmiast zwolniony) jest się „zawieszonym”. Na dzień lub dłużej, do 14 dni. O tego rodzaju karze nie znajdzie się nawet wzmianki w książkach dotyczących Forda. Także w dziełach z prawa karnego nic o tym nie ma. Piszą w nich, że nikt nie może być pozbawiony swego sędziego, który powinien wyrokować zgodnie z paragrafem prawa po wysłuchaniu świadków, biegłych i oskarżycieli. Prawo karne i nakładanie kar załatwia się nieco prościej w „Ford Motor Company”. Kto wszczął kłótnię, wypił podczas pracy łyk mleka, albo i bez tego dał okazję głównemu majstrowi, zostaje „*lay off*”. Gdyby na przykład na Johna D. Rockefellera nałożono z powodu niedokładności w pracy taką karę, to znaczy połowę jego miesięcznego dochodu, to to nie byłoby to samo, gdyż John D. Rockefeller mógłby milion dolarów zapłacić z oszczędności — zaś pracownik Forda nie. Dla niego oznacza czternaście dni „*lay off*” głód wraz z żoną i dziećmi, wyrzuty i bezcelowe szwendanie się po mieszkaniu. Mógłby wprawdzie szukać pracy gdzie indziej, w Detroit jest dość fabryk samochodowych: Chrysler — Dodge, General Motors, Packard, Studebaker, ale zanim znajdzie nowe miejsce, termin kary upływa i może wrócić do Forda. Po powrocie płaca tygodniowa zostaje obcięta na dwadzieścia pięć dolarów, co jest z korzyścią dla karającego. Często, jak na przykład wiosną 1927 roku, „zawieszają się” dziesiątki tysięcy „z przyczyn technicznych” i wkrótce przyjmuje z powrotem, nie za od dawna ustalone wynagrodzenie, ale za pięć dolarów dziennie. (Tydzień pracy u Forda ma tylko pięć dni roboczych).

Dodać należy, że Mr. Henry Ford wskutek konkurencji, szczególnie General Motors, nie może już tak gromadzić pieniędzy. Jego upór jest tu winien. Podobnie jak wielu przedsiębiorców, którzy wprowadzili jakiś nowy wynalazek i przez koniunkturę zostali wyniesieni w górę, uważał się za nieomylnego. W procesie, który Henry Ford wytoczył „Chicagowskiej Trybunie”, gdyż zarzucała mu brak inteligencji, nie sprostął najłatwiejszej próbie obrazkowej i oskarżone pismo urzędowało później konkurs z nagrodami: ośmioletnie dzieci ze szkoły odpowiadały jakoby na pozostawione przez Forda bez odpowiedzi pytania. „Swoich książek” nie napisał i później częściowo ich się zaparł. Uparcie trzymał się automodelu T, chociaż był już dawno udoskonalony, a nawet stał się śmieszny. Zamiast przy pomocy swego tytanicznego aparatu utrzymać w rękę całą fabrykację małych aut, blamował<sup>118</sup> się propagowaniem małych samolotów (*Fliver-Plans*), które masowo spadały, i innymi projektami, zanim się zdecydował na model A i na ośmiocyndrowe wozy Lincoln. W międzyczasie konkurencja prześcignęła go wielokrotnie.

Teraz oszczędza on na wypłatach.

Gdy robotnik zostanie zraniony, otrzymuje pomoc lekarską i musi powrócić na swoje miejsce pracy. Gdy złamie prawe ramię, dostaje wtedy pracę, do której potrzebuje tylko lewej ręki; stał się jednym z wielu upośledzonych.

Robotnik, Praca, Korzyść,  
Choroba

<sup>118</sup>blamować się — ośmieszać się, kompromitować się. [przypis edytorski]

3595 rodzajów zatrudnień (wszystkich razem jest ich 7882 w zakładach Forda) może być wykonanych przez ograniczonych w zarobkowaniu, z tego 670 przez pozbawionych nóg, 2637 przez mających jedną nogę, 2 przez bezręcznych, 715 przez mających jedną rękę i 10 przez ślepych.

Nawet w szpitalu są zatrudnieni robotnicy-metalowcy; czarna, nawoskowana chustka, rozpięta nad łóżkiem chorego, jest warsztatem, na którym pacjenci umocowują śruby na kółkach.

To brzmi tak nieprawdopodobnie, że trzeba zacytować to, co w książce *Moje życie i dzieła* Henry Forda jest powiedziane o wprowadzeniu pracy chorych: „Przebywający w szpitalu byli akurat tak samo zdolni do pracy, jak ludzie w fabrykach, i zapracowywali w ten sposób na swoje zwykłe wynagrodzenie. Tak, ich produkcja była o 20% wyższa niż zwykła produkcja fabryczna. Nikt nie był, naturalnie, do tej pracy zmuszony, ale wszyscy chętnie pracowali. Praca pomagała im przepędzić czas, sen i apetyt były lepsze niż przedtem i wyzdrowienie robiło szybsze postępy”.

Kto nie jest w stanie dalej pracować, nie otrzymuje żadnej zapłaty ani wsparcia przysługującego choremu. Tylko w wypadku trwałego, przy pracy powstałego kalectwa otrzymuje się odszkodowanie na zasadzie *compensation-bill*<sup>119</sup>.

Na pierwszym piętrze w *B-Building* wypłaca się pensje. Trwa przeciętnie pół godziny, zanim każdy otrzyma od płatnika swój zarobek. Proszę to dodać do wielogodzinnej jazdy z i do zajęcia i ośmiogodzinnej, prawie bez przerwy pracy.

---

Sale maszyn, po których odwiedzający są oprowadzani, lśnią czystością. Nigdzie w świecie nie ma bardziej oszczędząco czystej fabryki metalowych wyrobów. Że Fordowska huta szklana, papiernia i fabryka skóry odznaczają się nieskazitelną czystością, wydaje się mniej godne podziwu, gdyż ilość zatrudnionych w nich ludzi jest względnie mała. Jednakowoż i zamiatane lub asfaltowane drogi, i place między warsztatami tworzą miły kontrast z resztą Detroit, nawet grzęzawiska w obrębie fabryki mają pielęgnowane brzegi, a lokomotywy Fordowskiej kolei żelaznej Detroit-Toledo-Iranton lśnią zwierciadlanym niklem. Na kołach maszyn w warsztatach nie ma pyłku, a pas transmisyjny lśni jak jezioro alpejskie.

---

Jeden przy drugim stoją robotnicy, tak że chwytają zbliżającą się odpowiednią część pod ramieniem lewego sąsiada, przed jego twarzą wykonują swoje zadanie, a muszą je kończyć bezpośrednio przed twarzą prawego sąsiada. Dosłownie o włos nad głowami, gdyż muska ich włosy, obraca się *conveyor*<sup>120</sup>, na którego błyszczących łańcuchach wiszą różne przedmioty jak podarunki na choince.

Każdy musi chwycić przeznaczony dla siebie podarunek, w przeciwnym razie posuwa się on niepowstrzymanie dalej, a za to dostaje robotnik odpowiednie podziękowanie.

Dlaczego jednak nie ma miejsca? Czy w obrębie fabryki nie ma wielkich przestrzeni, czyż hale pracy nie są dostatecznie wysokie, aby pas transmisyjny i wał stalowy umieścić na bardziej bezpiecznej odległości od głów?

O! Oddalenie stanowi stratę czasu.

A czas — to wynagrodzenie za pracę. To jest przyczyna ścisku, przyczyna braku ławek lub stołów dla zjedzenia obiadu, braku pomieszczeń dla zmiany ubrania, małej ilości ustępów i umywalni, przyczyna zakazu palenia.

Nie traci się nawet sekundy z wynagrodzenia za pracę, dzień i noc obraca się pas, z którym spleceni są robotnicy.

---

Chwyć za łańcuch, umocowanie mutry, chwyć za łańcuch, wkręcenie śruby, chwyć za łańcuch, dwa uderzenia młota, chwyć za łańcuch, nałożenie automatycznego świdra, iskry pryskają, chwyć za łańcuch, umocowanie płytki ołowianej, izolacji parafinowej, pokrywy, wiązki świec, wału korbowego, a w międzyczasie wciąż chwyć za łańcuch, ruch i skutek, postawa i umocowanie, człowiek i maszyna, stale upodabniający się do siebie.

---

<sup>119</sup>*compensation-bill* (ang.) — rachunek na odszkodowanie. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>*conveyor* (ang.) — transporter, przenośnik. [przypis edytorski]

Gotowe motory turkoczą przy próbnej pracy. „*Final Assembly Line*”, ostatni z poruszających się pasów, to już nie strumień, to nurt, długości 268 m z wieloma dopływami. Z kadzi z lakierem wynurza się w górę tylna oś, toczy się, dołączają się już gotowe koła, osadzają błotniki, na ramię montuje się motor, ukazuje się chłodnica, lakiernicy rozpylają farbę, nadwozie ze skórzanymi siedzeniami, lustrzanymi szybami i latarniami przykrywa to z góry jak odrębna całość, należy ją tylko przyśrubować.

Okazuje się wkrótce, że poruszający się pas normuje tempo pracy, ale nie odwrotnie.

Tylko nieliczni robotnicy stoją na swoim miejscu, wielu posuwa się dalej za swoją częścią, siedząc na wózek wysokości około 30 centymetrów, jakiego używają beznodzy i żebracy; tutaj nogi ślizgają się po podłodze, nogi robotnika, który musi gonić swoją część, ażeby ją wykończyć i wygładzić, a wszystko w ruchu. Coraz bardziej zbliża się ta suma części składowych do pojęcia automobilu. I nagle wskakuje jakiś człowiek na siedzenie szofera, naciska pedał, rozlega się jakby krzyk noworodka i po pochylej płaszczyźnie, która biegnie od żyjącej istoty, odrywa się auto z obracającej się pępowiny i pędzi do hali, która nazywa się A-A.

Ośmiu inspektorów obmacuje i ogląda auto. Próbuje się klamki u drzwi, okna, chłodniki, ster.

550 aut przychodzi tu codziennie na świat. Sprzedawcy ich i urzędnicy z numerami w dłoni czekają już, zaopatrują je w benzynę i jadą na nowo narodzonych wozach do domu.

---

W Deaborn, miejscowości, którą nawet Ford musi tak nazywać, znajduje się lotnisko i jego fabryka samolotów. Hangar i dwa inne, które służą jako warsztaty. Ani śladu *conveyor*, ani śladu taylorizmu czy też fordizmu nie daje się tu zaobserwować, metalowy Ford-Tri-Motor, typu Stout na czterech pasażerów, cena 6500 dolarów, jest tu budowany według metod przyjętych w każdej fabryce samolotów. Mimo to służy fabryka za cel zwiedzania. Znajduje się tu parę przedmiotów zabytkowych, na przykład samolot „Pride of Detroit”, który obleciał kulę ziemską w 193 godziny, samolot wyprawy arktycznej kapitana Byrda, kopia dwupłatowca, w którym w 1909 Bleriot przebył kanał. Zwiedzający są natargiwie namawiani przez przewodników na lot nad Detroit. Cena osiem dolarów.

---

Na prawo i na lewo od olbrzymiego kompleksu budynków Forda wznosi się pagórek żelastwa, resztki czterechset okrętów wojennych „Eagle Boats”, przekazanych przez ministerstwo marynarki USA mister Fordowi jako szmelc; część przetwarza się na stal wanadową dla budowy aut, część służy za statki dla przewozu aut przez rzekę Czerwoną i rzekę Detroit.

Po przekroczeniu tej rdzawo-czerwonej rzeki kończy się królestwo Forda. Można już zapalić papierosa w aucie lub czekając na tramwaj, i jechać do domu przez wschodnie Detroit, miasto, gdzie ma miejsce więcej zbrodni niż w Chicago, więcej morderstw, zamachów i napadów rabunkowych niż w jakimkolwiek mieście na kuli ziemskiej. Ale mister Ford jest niepalący.

## I TO NAZYWA SIĘ PIŁKĄ NOŻNĄ

„Ta amerykańska piłka nożna jest niebezpieczną zabawą!”

Doktor Becker stwierdził to z całą pewnością, gdy znalazł się w sobotę o wpół do drugiej po południu w hali kolei podziemnej, aby wyruszyć na zawody uniwersytetu nowojorskiego *contra* uniwersytet Missouri.

Nigdy jeszcze nie widział amerykańskiej gry w piłkę nożną. Mimo to pogład jego, że „ta amerykańska piłka nożna” jest sportem brutalnym i niebezpiecznym dla życia, był dla niego — a była to, jak już zaznaczyliśmy, sobota, punktualnie o drugiej po południu — niewzruszony. Nie stał tak niewzruszenie sam doktor Becker. Początkowo wklonowany w zwartą masę czekających, był stopniowo spychany na brzeg peronu; przednie rzędy wywalczyły sobie miejsca w kolejce podziemnej, wpędzając wysiadających mimo ich obrony (wyrażającej się w przekleństwach i boksie) z powrotem do wagonów i wciskając się za

nimi. Teraz, w sobotę, punktualnie o wpół do trzeciej po południu, wisi doktor Becker, przygwożdżony do sąsiadów, niemal nad szynami.

Niepewne położenie, zaiste. Ale mimo to tęsknił za nim, gdy — było to w sobotę ściśle za kwadrans trzecia po południu — został wciśnięty przez stojących za nim do wagonu, który unosił tłum żadnych rozrywek do stadionu Yankee.

Doktor Becker nie mógł na razie myśleć i dlatego snuł dalej swoje wyobrażenia, że „ta amerykańska piłka nożna” jest niesłychanie brutalna i bezwzględnie niebezpieczna dla życia. Oczywiście, chciał — nie widział przecież zawodów — przez to tylko powiedzieć, że sport zagraża życiu widzów. Teraz zaczął przedstawiać sobie, jak bezpieczni czują się gracze w porównaniu z widzami, jak... Ale co do tego doktor Becker jest w błędzie.

---

## II. Na skraju boiska

W zwartych szeregach płynęli ludzie do stadionu, automobiliści w samochodach, piesi pieszo, oczywiście można specjalnie nie zaznaczać, gdyż tak samo dzieje się u nas.

Uderzająco różny od naszych stosunków jest za to fakt, że ludzie z niebezpieczeństwem życia i poświęceniem, do którego od czasów Winkelrieda zdolna jest jedynie amerykańska walka o byt, rzucają się prawie pod koła aut, z głośnym wołaniem żądają, jeśli zaś jest to bezskuteczne, błagają żywymi gestami kierowców, by zaparkowali u nich auta. Wynajęli miejsce, sobota jest jedynym dniem, w którym może się opłacić spekulacja, stąd pochodzi ich pogarda śmierci. Ale auta mijają na twardych jak stal oponach te przeszkody w mchu.

## III. Osłupiały ze zdziwienia

staje się doktor Becker. Nie możemy mu brać tego za złe. Z tysiącami tłoczył się koło i w środku kolei podziemnej, z dziesiątkami tysięcy pieszych i tysiącami aut przebywał ten ostatni kawałek drogi! — i oto widownia stadionu jest pusta.

Trzeba jednak użyć wyrażenia „pusty” w odniesieniu do stadionu, w którym jest niezajętych nie mniej niż czterdzieści tysięcy miejsc.

Nie zmienia to istoty rzeczy, że zajętych jest czterdzieści pięć tysięcy miejsc. Yankee-Stadion mieści 85 000 osób (berliński 30 000), i brakuje z nich prawie połowa.

## IV. Preludia gry

Na wstępie na boisku gra marsza orkiestra wojskowa, która jednak nie jest wojskową, lecz składa się z umundurowanych studentów; i kapelmistrz w wysokim białym kapeluszu skórzanym, ocieniającym poważne oblicze, jest prywatnie słuchaczem uniwersytetu nowojorskiego. Odmaszerowują. Oklaski. Jest ich trzynastu. Chociaż tylko jedenastu jest jednocześnie czynnych na polu, potrzebni są zastępcy, co zobaczymy zresztą nieco później.

Wbiega drużyna uniwersytetu nowojorskiego wraz z zastępcami. Burzliwe oklaski. Nowojorczyki mają fioletowe koszulki i zielone spodenki, goście z Missouri noszą ubiór pomarańczowy — czarno-pasiasty. Wszyscy mają helmy, miejscowi białe, missourijczycy barwy złotej; okrągłe masywne osłonki chronią uszy — przy poważnych zawodach nie wyrzywa się już sobie muszli usznych.

Poza tym gracze wypchani są watą, co nie podoba się doktorowi Beckerowi, gdyż gra w piłkę nożną z opatrunkami i bandażami wydaje mu się (ach, Europejczycy!) nielogiczna. Zjawia się *referee*, rodzaj pomocnika sędziego. Żywe zadowolenie. Pojawia się *umpire*, rodzaj sędziego. Burzliwe zadowolenie.

## V. Naganiacze ekstazy

Jest już czas chyba, aby powiedzieć cośkolwiek o powstawaniu i znaczeniu tych parokrotnie używanych pojęć: „zadowolenie”, „żywe zadowolenie” i „burzliwe zadowolenie”.

Poza boiskiem grasują sympatyczni młodzieńcy, noszący urzędowo tytuł „*cheer-leaders*”. Ci organizatorzy owacji zatrzymują się podczas gry, uzbrojeni w megafon, przed pojedynczymi odcinkami areny i wrzaskiem zarządzają, jakiej załodze lub jakiemu graczowi należy w tej chwili robić owację. Uczyniwszy to, odkładają megafon i dyrygują zbiorowym aplauzem, wykonując jednocześnie pewne ruchy gimnastyczne: głębokie zginania

kolan, wysuwanie rąk do przodu i na boki. Rytuał i rytm ich zdają się być pochodzenia staroindyjskiego, najczęściej słyzy doktor Becker rozbrzmiewające wyrazy uznania na cześć *back'a* Missouri, nazwiskiem Rosemheim, lub lewego członka ataku Nowego Jorku, nazwiskiem Jerry Nemecek.

Rah, rah, rah,  
Sis, bum, bah,  
N. Y. U., N. Y. U.  
Nemecek, Nemecek, Nemecek.  
(Bez gwarancji za wierność pisowni).

#### VI. Piłka

Piłka bynajmniej nie jest okrągła jak normalna piłka europejska. Ma ona kształt śliwki, dosyć dużej, ale niedojrzałej i jeszcze niezupełnie okrągłej, a za to posiada ostro ścięte boki. Tak wygląda. Rzeczywiście.

Jakaś detonacja przeraża nieprzygotowanego doktora Beckera: pośrodku granicy boiska rozległ się wybuch ładunku prochu — gra rozpoczyna się.

#### VII. Historia naturalna gry

Amerykański sport narodowy został niewłaściwie nazwany „*football*”, jak gdyby nie było już na świecie innej gry w piłkę nożną i jak gdyby miało to jakikolwiek związek z nogą lub z piłką (patrz niżej). Wprawdzie i w Ameryce jest uprawiana znana w Europie gra w piłkę nożną w ciepłarniach (profesjonalizm), bądź też swobodnie rozwija się na wolności (amatorzy), ale nikt nie używa nazwy „*football*” tylko „*soccer*”, co ma być zniekształceniem słowa „*association*”<sup>121</sup>. Tak zwana piłka nożna jest mimo to niczym innym, jak rugby z niektórymi zmienionymi zasadami gry.

Partia rozgrywa się w czterech etapach po piętnaście minut. Boisko ma sto metrów długości, każde pięć metrów zaznaczone jest linią. Istnieją duże bramki (*goals*); poprzeczka nie jest przymocowana do wierzchołka słupków, lecz pośrodku nich. Trzy drążki tworzą razem literę H, co bynajmniej nie oznacza, że bramka jest świętością<sup>122</sup>, jak to dzieje się na rozsądnym kontynencie; wprost przeciwnie, odgrywa ona podrzędną rolę i umieszczona jest poza boiskiem.

To ostatnie rozpoczyna się od poprzecznej linii, biegnącej pięć metrów przed bramką przez całe boisko, „*goal-line*”. Jeśli jednej z drużyn uda się przenieść piłkę poza „*goal-line*” przeciwnika, zyskuje ona „*touchdown*” — duży zysk, odpowiadający w przybliżeniu naszej bramce.

Drużyna, która zdobywa „*touchdown*”, zyskuje sześć punktów i prawo, by jeden z jej graczy bez przeszkód strzelił z odległości dwudziestu metrów do bramki przeciwnika; gdy piłka przejdzie nad poprzeczką, liczy się to za dodatkowy punkt.

Trzy razy może każda ze stron rzucać i podczas tych trzech „kroków naprzód” winna przenieść piłkę co najmniej dziesięć kroków. Gdy kopnięta piłka przejdzie nad poprzeczką, *goal from field*, to liczy się to za trzy punkty.

#### VIII. Przebieg gry

Piłkę nosi się zatem stale albo raczej usiłuje nosić. Bo przecież cała nieprzyjacielska jedenastka ma za zadanie nie dopuścić do przejścia tych dziesięciu kroków względnie linii bramkowej. W jaki sposób nie dopuszczają do tego? Nie dopuszczają w ten sposób, że uzbrojoną w hełm głową walą niosącego piłkę w brzuch, chwytają go za nogi, uderzają pięścią w twarz lub obdarzają innymi podobnymi pieszczotami.

Oczywiście każdorazowy posiadacz piłki przewraca się co najpóźniej po piętnastu sekundach, a partnerzy i przeciwnicy padają na niego w splątany kłębie ciał. Sędzia gwizdże i kłęb rozplątuje się. Jedynie gracz leżący na spodzie, przed chwilą dumny posiadacz piłki, zostaje przeważnie na ziemi, ranny, omdlały lub jedno i drugie.

Czarno ubrani służący klubowi pędzą na miejsce, aby doprowadzić ofiarę do przytomności sztucznym oddychaniem i octem. Zbliża się i lekarz ze skrzynką instrumentów. Sędzia nie może jednak ścierpieć takiego bałaganu na boisku i każe wynieść ten strzęp

<sup>121</sup>*association* (ang.) — stowarzyszenie, towarzystwo. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>Trzy drążki tworzą razem literę H, co bynajmniej nie oznacza, że bramka jest świętością — po niemiecku: *Hailigtum* [tzn. świętość]. [przypis tłumacza]



człowieka. W międzyczasie pozostali przy życiu gracze orzeźwili się wodą z lodem (czas to pieniądz) i spokojna gra toczy się dalej.

Ćwierć minuty, czasem pół.

#### IX. Jak rzuca się piłkę?

Rzucająca drużyna ustawia się kołem o trzy kroki za piłką i odbywa, pochylona do przodu, szeptem naradę, „4 rzuca do 7, 9 oddaje 2” i tak dalej.

Następnie dziesięciu graczy wysuwa się do przodu i ustawia w gotowości do skoku w jednym rzędzie; jedenasty, bramkarz, pozostaje z tyłu, i jemu zwykle rzuca się piłkę. Jedyny spośród grających nie nosi ochronnego ubrania.

Pozostała dziesiątka ma naprzeciw siebie w odległości jednego metra jedenastu przy czajonych wrogów, gotowych bez litości obalić każdego, kto otrzyma piłkę.

#### X. Czysto symboliczna piłka

Piłka gra zaledwie rolę pałeczki przy biegu sztafetowym. Można by ją zastąpić innym symbolem, który trzeba przenieść poza linię bramkową. Cała gra jest właściwie biegiem, któremu przeciwnik powinien przeszkodzić. Falanga przeciwko falandze.

Dotykanie piłki nogą rzadko się zdarza w tej dziwnej grze w piłkę nożną i ma małe znaczenie (patrz wyżej).

#### XI. 45 000 wstających człowieczków

Zadziwiające jest nie to, że publiczność obserwuje walkę z dzikim wrzaskiem, lecz że to podniecenie wybucha co ćwierć lub co pół minuty.

W chwili rzucania 45 000 (czasem i 85 000) ludzi wyskakuje ze swoich miejsc, by usiąść z powrotem w chwili gwizdka sędziego. Widok tych co pewien czas siadających i zrywających się tłumów jest niebywale komiczny.

W przerwie poza muzyką można usłyszeć przeróżne głupkowate rozprawy, na przykład jakiś człowiek w niedźwiedziem futrze (niedźwiedź jest symbolem Missouri) użera się z fioletowym (zatem nowojorskim) *college-boy'em*.

Na trybunie prasowej urzędują sprawozdawcy. Przy aparacie Morse'a, przy telefonie, przy mikrofonie radiowym. Jeden z nich naciska klawiaturę — i w tej samej chwili zjawiają się napisy na fasadach siedzib gazet amerykańskich.

Tłumy ludzi stoją tam, widzą i słyszą, że sędzia odgwizduje, wrzeszczą „Oszustwo”, „Stronniczość”... w St. Louis, w San Francisco, oddaleni o tysiące mil.

#### XII. Krytyczne uwagi doktora Beckera

Doktor Becker, operujący europejskimi pojęciami sportowymi, wprowadzony w błąd nazwą „piłka nożna”, obecnością bramki i skórzanej piłki, męczył się prawie trzy kwadransy, aby pojąć sens gry, który został tu wyłożony szczęśliwemu czytelnikowi.

Ogólne podniecenie nie podziało na niego i miał w ten sposób czas powzięcia pewnych wniosków, których wynik jest podany poniżej.

1. Amerykańska piłka nożna podobna jest do europejskiej przez poczucie solidarności graczy, ich szybkość i przytomność umysłu.

2. Wyżej stoi od europejskiej przez swą większą ruchliwość i rozwijanie jednocześnie pracy rąk i tułowia.

3. Niżej stoi od europejskiej przez to, że w Ameryce silniejszy fizycznie gracz ma nad słabszym przewagę, która nie może być wyrównana przez najwyżej nawet stojącą biegłość.

#### XIII. Wynik i skalp

Gdy doktor Becker doszedł do tych wyników, odgwizdał sędzia zawody przy stanie 27:6 dla Nowego Jorku. Zwycięska drużyna zdemolowała bramki, aby zabrać je do domu jako trofea.

W kolejce podziemnej, w tramwajach i autobusach — była to sobota, punktualnie o piątej po południu — zaczęły na nowo rozgrywać się na nowo zagrażające życiu walki.

## CZTERNAŚCIE RZECZY W SING SING

Nie wiemy, czemu okratowana brama, którą wychodzi się z pomieszczeń kancelaryjnych w dolne regiony, jest pomalowana na złoto, wchodzimy przez pomalowaną na złoto bramę i stajemy osłupiali z przerażenia.

Wiele już widzieliśmy, czytaliśmy i słyszeliśmy — ale coś podobnego...

Jest to *Man Cell Hall*, teraz nazwany „*Old Cellhouse*”. Wyobraźcie sobie prostokątny blok skalny, długości około osiemdziesięciu metrów, wysokości dziesięciu, a szerokości dziesięciu metrów. W tym froncie, długości 80 metrów, wykuto z przodu 75 dziur, z tyłu zaś również 75, chociaż blok ma tylko pięć metrów szerokości.

Wysokość dziesięciu metrów jest podzielona na sześć pięter, z których każde liczy w przybliżeniu 150 jam.

Skala ta nie jest tworem naturalnym; przed stu laty została wzniesiona z szarego kamienia w ten sposób, że jamy te nie zostały wykute, lecz pozostawione jako odstępy.

Pracę tę wykonywali więźniowie, może złodzieje, może bandyci, może oszuści, a może podstępni mordercy, w tym miejscu rzeki Hudson, gdzie niegdyś Indianie Sinck-Sinck byli obrabowywani, ograbiani, oszukiwani i mordowani przez ludzi, którzy przez to uzyskali dla siebie i swych następców bogactwo, potęgę, zaszczyty, godności, a przede wszystkim prawo bezlitosnego karania przestępców.

Więźniowie za to zbudowali dla siebie i swych następców te kamienne klatki.

Pracowali przez trzy lata od 1825 do 1828 roku.

Pięćdziesiąt lat później w 1878 budowla ta została uznana za niepodatną i szkodliwą dla zdrowia, gdyż ludzie w tych jamach ginęli w krótkim czasie na suchoty i reumatyzm. Jeszcze pięćdziesiąt lat później te 930 wilgotnych, zimnych, niskich, wąskich kamiennych dziur jest w dalszym ciągu w użyciu i siedzi w nich 930 ludzi.

Niektórzy przez rok (niektórzy lokatorzy w Sing Sing<sup>123</sup>), niektórzy przez dziesięć, piętnaście, całe życie. (Sing Sing ma między swymi 1730 więźniami nie mniej jak 128 dożywotnych, poza tymi, którzy oczekują w „martwym domu”, aż zgromadzi się partia skazańców i będzie się opłacać włączenie prądu elektrycznego.

Oficjalnie rozmiary cel wynoszą: 6 stóp (1 metr 80 cm) wysokości, przy drzwiach 18 cali (45 cm), w głębi zaś 3 stopy (90 cm) szerokości, 7 stóp (2 m 10 cm) długości.

Przez dzień cały mieści się w nich łóżko składane i stołek, w nocy dochodzi jeszcze wiadro, wypełnione ekskrementami, i człowiek.

Głowa łóżka dotyka ściany, za którą stoi głowa łóżka przeciwległej celi, nogi więźniów zwrócone są w kierunku drzwi.

Dół drzwi stanowi płyta z lanego żelaza, górną połowę krata. Te drzwi, niedające się otworzyć od wewnątrz, są prócz tego zamykane na klucz, przez dozorcę więziennego, a gdy to zostanie wszędzie dokonane, główny klucznik opuszcza żelazną sztabę, która przesuwana jest jak rygiel przed każdymi 75 schroniskami ludzkimi.

Dokoła bloku cel i ponad nim wznosi się dopiero dom. Murowana pokrywa jest większa od swej zawartości, i w ten sposób powstaje między nimi korytarz, na którym patrolują strażnicy i ustawiają się rano w szeregu więźniowie, by wnieść razem swe wiadra do kloaki.

Myć się trzeba także na korytarzu. Gdzież w celi można by znaleźć na to miejsce?

Na jednym z podwórzcy można zobaczyć coś, czego nie ma w żadnym więzieniu świata: ptaszarnię.

W barwnych klatkach skaczą, szczebiocą i świergocą czyżyki, kanarki, papugi, a nawet kolibry.

Na pytanie, skąd one się tu wzięły, dowiadujemy się, że są to podarunki dla więźniów. Dobrze, ale dlaczego ptaki te nie są w celach?

— Gdzie? W starym więzieniu? Zginęłyby w ciągu trzech dni. Więźniowie oswajają często myszy lub szczury, ale nawet te stworzenia zdychają szybko w tym powietrzu.

<sup>123</sup> *Sing Sing*, właśc. *Sing Sing Correctional Facility* — amerykański zakład karny o maksymalnym rygorze, znajdujący się w miejscowości Ossining w stanie Nowy Jork, ok. 48 km na północ od Nowego Jorku, nad brzegiem rzeki Hudson; nazwa „Sing Sing”, pierwotnie odnosząca się do dzisiejszego miasta Ossining, pochodziła od nazwy plemienia rdzennych Amerykanów Sinck Sinck, od którego odkupiono te ziemie w 1685 roku. W Sing Sing przebywa ok. 1700 więźniów. [przypis edytorski]

Człowiek musi żyć w tym powietrzu i spać noc po nocy w tym stuletnim zaduchu — cóż więc dziwnego, że rano jest zadowolony z możliwości wyjścia nawet do *shops*, niehigienicznych i zaopatrzonych w od dawna przestarzałe maszyny warsztatów.

W tkalni, zaopatrującej przytułki i szpitale stanu Nowy Jork w pończochy i bieliznę, panuje wielkie zamieszanie — jak wyjaśniają nam, przed ośmiu dniami w oddziale wysyłkowym szalał pożar, co zdeorganizowało warsztaty.

Również tylko dla użytku państwowego pracuje się w zakładach szewskich, blacharni, szcnotkarni, drukarni i fabryce materaców Sing Sing. Co rok dostarcza się gotowych wyrobów za dwieście tysięcy dolarów, nie licząc pracy dla samego więzienia, ubrania więźniów itp. Wyrabia się 185 najrozmaitszych artykułów. Czas pracy rozpoczyna się z ósmym uderzeniem dzwonu. W południe około 12 ustawiają się robotnicy rzędami i maszerują do jadalni — w takt wesołych tonów składającej się z 12 więźniów orkiestry, umieszczonej na podwórzu, co jest dawnym obyczajem Sing Sing. Od pierwszej do czwartej kontynuuje się pracę.

Praca jest opłacana — i to jest ta potworność, uprawiana przez ciągnące z tego korzyści państwo — półtora centa za siedmiogodzinny dzień pracy.

Projekt podwyższenia tego niewolniczego wynagrodzenia do dziesięciu centów, godnej bądź co bądź człowieka zapłaty za ludzką pracę, nie został wcielony w życie. Po latach całych regularnej i wydajnej pracy opuszcza skazaniec więzienie bez grosza przy duszy.

A przedtem, w okresie pobytu w więzieniu nie może sobie kupić papierosów i czegoś do zjedzenia — co jest dozwolone do wysokości trzech dolarów tygodniowo — na co pozwala sobie lepiej z domu usytuowany sąsiad.

Więzień, który pali podczas pracy lub łamie obowiązujące przepisy, zostaje wtrącony do celi poprawczej Starego Więzienia i z klasy A, do której zalicza się automatycznie każdego nowego więźnia, przeniesiony do niższej, traci przez to prawo przyjmowania każdego miesiąca odwiedzin (czterech w dni powszednie i jednego w niedzielę), pisania co miesiąc jednego listu w jakiś dzień powszedni i czterech w niedzielę i kupna co tydzień towarów za sumę nieprzekraczającą trzech dolarów.

Niedaleko jadalni mieści się pokój zarządu *Mutual-Welfare League*, organizacji więźniów Sing Sing. Każdy więzień jest jako taki członkiem ligi i może przyjmować udział w wyborach swego warsztatu lub swojej grupy; 45 ludzi wybiera jednego delegata.

Zebrań delegatów tworzy komisję wykonawczą, na czele której stoi obieralny sekretarz i *Sergeant-of-arms*, mający za zadanie utrzymanie porządku podczas wszelkich organizowanych przez więźniów przedstawień i zabaw, jak również i podczas posiłków. Liga broni interesów więźniów przed dyrekcją i uśmierza kłótnie pomiędzy więźniami.

Tylko tej organizacji można zawdzięczać, że w Sing Sing urzędnicy i dozorczy nie noszą przy sobie broni. (Za to na przykład w Tombs, więzieniu miejskim Nowego Jorku, nadzorcy są uzbrojeni w rewolwery, kastet i kajdanki, a mimo to nie można zapobiec, by w regularnych odstępach czasu nie przytrafiały się wypadki zabójstwa strażników więziennych).

Drużyny baseballowe M. W. L. trenują codziennie po czwartej po południu na otoczonym trybunami boisku na brzegu Hudson, ale tylko raz do roku doznają zadośćuczynienia sportowego — rozgrywania zawodów. Corocznie przybywają do Ossining „New York Giants” i biją „M. W. L.”.

Podczas gdy wojownicza młodzież gra w baseball, poważniejsi spacerują lub czytają dzienniki, abonowane przez siebie lub kolegę; reporterzy i dziennikarstwo nie jest tolerowane w tym więzieniu.

O zmierzchu rozlega się hasło: „Przynieść kubły”. Trzymając te naczynia, kierują się wszyscy ku swym pomieszczeniom. Deski, które zastępują łóżko, nie są jednak jeszcze opuszczone, gdyż więźniowie wpakowani (dosłownie) do Starego Więzienia po dwóch godzinach są znowu wyprowadzani do kaplicy na — przedstawienie kinowe. Chociażby widzieli ten rozwlekły film cztery czy pięć razy, muszą do wpół do dziesiątej przebywać poza celami, gdyż każda godzina pobytu w nich wzmaga śmiertelność w Sing Sing!

W szpitalu przebywa właśnie 62 chorych, oślepych, chorych na gruźlicę, z guzami podagrycznymi na kościach palców. Kościół podzielony jest na trzy podłużne przedziały, środkowy jest przeznaczony na nabożeństwa katolickie, lewy na protestanckie, prawy zaś na żydowskie. Odbywają się tutaj również pobożne rozmyślenia Armii Zbawienia

Praca, Więzienie, Interes,  
Pieniądz

i Christian Science, i każdy więzień może słowami swej wiary usłyszeć, że łaska Boża jest niewyczerpana. Czasem rzuci ukradkiem spojrzenie przez okno i widzi czerwony, z cegieł dom śmierci, w którym żyją trupy, póki się ich nie zataszczy na elektryczne krzesło...

Bez polegania na łasce Bożej! Zapewne równie trudno jest dla niej przedostać się poprzez mury więzienia, jak więźniowi z nich się wydostać.

Któż nie myśli o ucieczce, kto nie marzy o wolności! Ale wszędzie, gdzie mury się krzyżują, strzegą oszklone węże ziemi i morza. Służbę pełni się na wieżach dniem i nocą; jeden ruch, i rozbłyśnie reflektor, aby szukać śladu zbiegłej zwierzyny.

Rozbrzmiewa pobudka. Znaczenie jej dźwięków widnieje na wszystkich ścianach: „W wypadku ucieczki rozlegają się z syreny alarmowej przez dziesięć minut gwizdki trzydziestosekundowe w odstępach trzydziestosekundowych; w wypadku buntu — pięć krótkich dwusekundowych gwizdków w odstępach jednej sekundy; w razie wydania tych sygnałów wszyscy wartownicy mają jak najszybciej udać się do biura nadwartownika (*principal keeper*) i oczekiwać jego rozporządzeń”.

Zeszłego lata wyrwała się na Hudson łódka, może o trzysta kroków od muru więziennego. Rozbitkowie, mężczyzna i kobieta, utrzymywali się na wodzie, wołając pomocy. Prawie wszyscy więźniowie zaoferowali się, błagając o pozwolenie popłynięcia celem ratowania nieszczęśliwych, (więzienie nie posiada oczywiście łódki). Strażnicy nie udzielili pozwolenia i na oczach setek gotowych do niesienia pomocy ludzi musiała nieszczęsna para pójść na dno.

Niedawno znaleziono w kotłowni szkielet więźnia, który ukrył się tu przed dziesięć laty, aby umknąć przy nadarzającej się okazji. Wciśnięty w jakiś zakamarek wołał widocznie umrzeć z głodu niż pozwolić odnaleźć się i zniweczyć w ten sposób swój plan ucieczki.

Minęliśmy wejście do „*Classification Prison Clinic*”, która przeznaczona jest do badania kryminologicznego przestępców z całej Ameryki i ma za zadanie segregowanie i kształcenie więźniów stosownie do ich wieku, wykształcenia i uzdolnień. Dotychczas zrobiono z tego tylko reklamę.

Zupełnie tak samo, jak z kompleksów cel, wybudowanych niedaleko starego więzienia z 680, względnie 704 klatkami; mały kompleks wybudowany jest według systemu „*outside*” — czyli każda cela posiada okno, większy „*inside*” — blok wewnątrz domu. Urządzenie do bieżącej wody w każdej klatce jest już gotowe, zaś potrójny kościół w budowie.

Była tu już nawet wycieczka dla rozgłoszenia, że po wybudowaniu tych nowych budynków zostały zlikwidowane wszystkie okropności dawnego Sing Sing. Na razie umieszczono w nich tylko 279 i 308 więźniów, większej ilości nie można było tam usadowić, zanim nie wybuduje się muru ochronnego, co może długo potrwać.

Stare więzienie jest wciąż jeszcze zapełnione i mimo że powinno być pokazywane jako epizod strasznej przeszłości jak przynajmniej nieco obszerniejsze kazamaty twierdzy Piotra i Pawła, jest jednakże faktem strasznej teraźniejszości.

Idziemy dalej: oto nowiutki ceglany budynek miłego czerwonego koloru; kosztował 200 000 dolarów i wart jest tych pieniędzy. Oficjalnie nazywa się „*Condemned Cells*”<sup>124</sup>, ale ludzie z Sing Sing nazywają go rzeźnią.

Dwadzieścia siedem cel potępionych: tuzin dla mężczyzn (trzy są obecnie zajęte!), trzy dla kobiet, sześć cel szpitalnych (dla tych, co zachorowali i są leczeni, by można ich było stracić) i sześć cel „ostatniej chwili”, nazwanych także „salą tańca”, gdzie umieszcza się ofiary rankiem dnia stracenia. Obok tych dwudziestu siedmiu klatek prowadzi korytarz do pomieszczenia, które z łękiem nazywane bywa jedynie „Z tamtej strony”...

Tu, moi panowie, możecie ujrzeć to słynne krzesło, które jednoczy w sobie ducha średniowiecza z największym wynalazkiem nowoczesnym — elektrycznością. Na krześle tym — możecie na nim spokojnie usiąść, prąd nie jest włączony — na tym krześle siedziało już wiele mężczyzn i kobiet.

7 lipca 1891 r. pierwszy został stracony w Sing Sing Harry A. Smiler, od tego czasu wykonane tu wyroki doszły do liczby 293; między straconymi był jeden ślepy, dwóch o jednej nodze (jeden z nich zapisał swą protezę jakiemuś szczególnie wrogo usposobionemu doń urzędnikowi sądowemu z życzeniem, by wkrótce musiał ją nosić), wiele kobiet

Więzienie

<sup>124</sup>*condemned cells* (ang.) — cele skazańców. [przypis edytorski]

(niedawno pani Snycler ze swym kochankiem Greyem), kapłan niemiecki, nazwiskiem Hans Schmidt, bracia Morris, Józef Diamond i wspólnik ich Giovanni Farina, którzy zastrzelili w Brooklynie inkasenta bankowego, rabując 44 000 dolarów, Marta Palce, czarującą piękną mężobójczyni.

Najwybitniejszym skazańcem był szef nowojorskiej policji kryminalnej, porucznik Karol Becker, który najął czterech opryszków, każąc im 13 lipca 1913 roku zastrzelić właściciela klubu karcianego, Rosenthala, gdyż ten ostatni ogłosił dnia tego w „World” zaprzysiężone wyjaśnienie, że pan szef miał dwudziestoprocentowy udział w zyskach potajemnego domu hazardu...

Na drzwiach „Sali tańca” widnieje słowo „Cisza”. Jest to jedyne słowo, które można ujrzeć w tej sali, nie słyszy się zaś żadnego. Na czterech rzędach ławek siedzi dwunastu świadków, dwanaście spluwaczek stoi na wypadek, iż ktoś ze świadków dojdzie do przekonania, że żyje w dwudziestym wieku...

Tracenie elektrycznością odbywa się tu około jedenastej w nocy w czwartki, żeby w razie nieprzewidzianej przeszkody pozostały jeszcze trzy dni do wykonania wyroku sądowego: „Pozbawić życia w tygodniu, rozpoczynającym się od poniedziałku, dnia...”

Skazaniec siada zatem na krześle, jak wy teraz siedzicie. Umocowane są do niego taśmy skórzane, którymi opasuje się klatkę piersiową, nogi i ręce człowieka, co trwa za ledwie minutę przy pomocy trzech wprawnych dozorców więziennych. Równie szybko przytwierdza się kontakt do jego prawej nogi; drugi umieszczony jest na огоłonej dziś potylicy, podczas gdy na twarz, zwilżoną słoną wodą, nakłada się skórzaną maskę.

Wtedy nasz lekarz naczelny, dr Sweet, daje znak człowiekowi w okienku.

Człowiek w okienku, Mr. Robert Elliot z Long Island. Ma niezłe wynagrodzenie — 150 dolarów za każde stracenie — za jeden ruch dźwigni. Jest przy tym katem wielu stanów. Zglądził on też Sacco i Vanzetti’ego. To było jednak złym interesem, gdyż przed paru miesiącami obrzucono za to dom jego bombami i zrównano z ziemią.

Jego zadaniem jest tylko opuszczenie dźwigni, przez co powstaje prąd o napięciu 2000 wolt, obniżanym do 150 i znów podniesionym do 2000. Po dwóch minutach dr Sweet daje znak Mr. Elliotowi, który wyłącza prąd.

Któż wynalazł to tracenie elektrycznością? Któż, jak nie Edison, ten stary czarownik. Ale jak stało się ono urządzeniem państwowym, to już jest historia czysto amerykańska, ha, ha, ha, manewr konkurencyjny. W ósmym dziesiątku ubiegłego wieku Edison chciał wprowadzić oświetlenie elektryczne prądem o słabym napięciu, co było bardzo kosztowne; używany przez Jerzego Westinghouse’a prąd zmienny o wysokim napięciu wypadł znacznie taniej.

Zagrożone towarzystwo „Edison” wskazało na niebezpieczeństwa używania silnego napięcia i nastawało na zabronienie tegoż. Wysłało nawet swego urzędnika, Heralda P. Browna do Albany, stolicy stanu Nowy Jork. Mr. Brown uśmiercał tam publicznie konie, psy, koty i króliki przez zetknięcie z aparatem konkurencji.

W końcu Edison Company wymogło ogłoszenie prawa, że wszelkie stracenia w Stanie Nowy Jork odbywać się będą nie za pomocą stryczka, lecz prądem o wysokim napięciu; przez to zostało wszystkim naocznie przedstawione niebezpieczeństwo systemu Westinghouse. *Business as usual*<sup>125</sup>.

Skazaniec nie żyje i zostaje przeniesiony do sali sekcyjnej, gdzie lekarze stwierdzają, co może stać się w ciągu dwóch minut ze zdrowym, żyjącym człowiekiem.

Obok, moi panowie, mieści się trupiarnia z sześciu marami. Co to za skrzynka? To trumna. Krewni straconego mogą zabrać ciało; gdy nie czynią tego, grzebie się je w Ossining, bez krzyża i bez nazwiska.

To wszystko, co jest godne widzenia w Sing Sing. Polecam wam rzucić raz jeszcze spojrzenie na majestatyczną Hudson, grającą w piłkę z lśnącymi opalami obłoków, na słońce, zachodzące za wspaniałymi skalnymi murami, gdzie promieniają lasy, wszystko dyszy ciszą i spokojem. Jak przyjemnie jest żyć.

<sup>125</sup>*business as usual* (ang.) — jak zwykle interes. [przypis edytorski]

## PRZEŻYTE MIĘDZY HOLLYWOOD I SAN FRANCISCO

Nigdy nie otrzymasz, Inez, listu, który teraz do Ciebie piszę. Treść jego znasz równie dobrze, jak ja, wszak przeżyliśmy ją razem, o tajemnicy zaś, którą kryję przed tobą, nigdy się nie dowiesz. Gorzkie byłoby dla ciebie jej poznanie — żałowałabyś naszego tygodnia.

Zaprowadziłaś mnie do miasta, które kochasz, oprowadzałaś mnie po nim, wyprowadziłaś z niego i znowu wróciłaś tam. Muszę mówić o nim, gdyż to jest moim celem i zadaniem, Ty zaś żądałaś tego; tam, w górze, w parku Lincolna, na porośniętym trawą urwisku, patrząc na płynny kobalt i na pozłocisty brzeg, chwyciłaś mnie nagle za rękę: „Życzliwie napiszesz o San Francisco, wszak prawda?”

Nie powiedziałaś tego właściwie z myślą o San Francisco, jasne było dla Ciebie, nawet w chwili wzruszenia, że to miasto nie potrzebuje moich pochwał, że przez większych było już opiewane... Są więksi, wiesz o tym, Inez, i źle postąpiłaś w stosunku do siebie, a dobrze w stosunku do mnie i do nas obojga, mimo to jednak źle dla siebie; jest to jednak aluzja, której nie zrozumiesz, i nie będziemy już więcej o tym mówić!

Znowu siedzę na porośniętym trawą urwisku z notesem i wiecznym piórem w ręku, w dole widnieje płynny kobalt, w górze pozłocisty brzeg, a poza mną miasto, które kochasz i o którym napiszę życzliwie, dobrze? Tobie zawdzięczam poznanie tego miasta. Właściwie miałem zamiar udać się do Chicago. W środę wieczór odezwaliśmy się do Ciebie w Los Angeles, na rogu Spring Street i Fifth, przyjaciel mój i ja. Poszłaś pogardliwie dalej, przyspieszając kroku, chciałaś przejść przez ulicę, ale policjant zawołał do Ciebie „stop”. „Widzi pani” — powiedzieliśmy. Uśmiechnęłaś się i poszłaś z nami do hiszpańskiej restauracji.

Następnego dnia spotkaliśmy się w cukierni — tylko we dwoje, gdyż mój przyjaciel nie miał czasu — zauważył, że pociągam Cię bardziej — i powiedziałaś tam: „Dobrze, a teraz jadę do Oakland”. — „Ja zaś — rzuciłem, nie mając pojęcia, gdzie leży Oakland — towarzyszę pani”.

I oto jechaliśmy w Twym małym aucie przez wieczór, noc i rano następnego dnia, na północ brzegiem Pacyfiku przez połowę Kalifornii, drogą konkwistadorów, misjonarzy, meksykańskich żołnierzy i poszukiwaczy złota. Księżyc świecił, a Tyś robiła 45 mil na godzinę, czasem mniej, a raz zatrzymałaś nawet auto, Inez.

A przy tym podczas tych piętnastu godzin znaleźliśmy czas na rozmowę. Hacjenda Twego ojca w południowej Kalifornii byłaby piękna, gdybyś nie tęskniła do miasta, w którym urodziłaś się. Na szczęście, masz zamężną siostrę w Oakland, można co trzy lub cztery miesiące wziąć wóz i odwiedzić ją. W Los Angeles zażywasz przez dzień lub dwa wytchnienia, aby zakosztować samotności w mieście, a Oakland, och, Oakland jest wprawdzie najwstrętniejszym zakątkiem kuli ziemskiej, ale jednocześnie czymś przepięknym — przedmieściem San Francisco. „San Francisco spodoba Ci się, pokażę Ci miasto”.

Pozostałaś w Oakland, a mnie przewiózł prom przez złotą zatokę, pomiędzy drapacze nieba, wznoszące się na zielonych pagórkach, pomiędzy malownicze czółna włoskich rybaków.

Wysiadłem na Ferry Building, gdzie co rano czekałem na Ciebie. Młodzież umawiała się tam na *hiking* — wycieczki w góry kalifornijskie z tamtej strony zatoki; dziewczęta nosiły bryczesy, jak Ty w aucie, Inez.

Piękne jest miasto, które kazałaś mi chwalić!

Równe, szerokie ulice przecina co pięćdziesiąt kroków prostopadła przecznica. Przez te miejskie ścieżki górskie śmiga w górę i w dół kolej linowa; kolejka górską w lunaparku jest przy niej stolnicą do makaronów. Miasto co chwila wspina się i opada, jakby pod nim szalało jeszcze trzęsienie ziemi.

Pierwszy wieczór na Market Street. Tłum ludzi. Dentysta przyjmujący publicznie. Okulista czyniący to samo. Skrzące się, jaskrawe światła. Sklepy jubilerskie. Domy mód. Sklepy z obuwiami. Bary. Kwiatciarze na wszystkich rogach. Kobiety. Teatry. Variétés. Byliśmy w kinie, które kochasz namiętnie, płakałaś ze śmiechu na widok Chaplina w *Pielgrzymie* i śmiałaś się z płaczem z gry Dolores del Rio w *Poszukiwaczach złota*. Potem pokazałaś mi miejsce, na rogu Steuart Street, gdzie stałaś jako dziecko w lipcu 1916 roku. Wtedy rzucono bombę w pochod imperialistyczny, który miał głosić, że cała Ameryka jest jednogłośnie za wzięciem udziału w wojnie światowej.

Ręka w rękę wałęsaliśmy się po dzielnicy chińskiej, nie tylko po Grant Avenue. Wtedy przekazano Chińczykom jedną z najpiękniejszych nowych, szerokich ulic, gdy zburzone w 1906 roku miasto odbudowało się na nowo. „Przeklęty Chińczyk”, któremu legalnie nie wolno przybyć do Stanów i któremu odmawia się prawa nabycia obywatelstwa, od dawna już jest atrakcją miasta i źródłem dochodów San Francisco; obecnie robi się z „Johna Chinaman” reklamą dla cudzoziemców; nie marzył na pewno o tym, przekradając się z bliskiego Zachodu (który dla reszty świata jest dalekim Wschodem) na najbliższy brzeg!

Ulice z pagodami. W wystawach widać skrobaczki z kości słoniowej, filiżanki do herbaty z podstawkami, tabakierki ze szkła, malowanego wewnątrz, brązowe fidibusy do fajek wodnych, wazy, wachlarze i gongi, dobrobyt bożków, pałeczki do jedzenia, porcelanowe talerze z uszkami dla prętów bambusowych, obrączki, mydło, ryby, orzechy włoskie, cukierki i trzcinę cukrową! Właściciele sklepów przesiadują pod wyrzeźbionymi z drzewa połączanymi girlandami przed maszyną rachunkową.

Później zrobiło się późno w nocy, a potem jeszcze później. Gdy opowiadałem o sobie i wyjąłem z szafy swoje świadectwo marynarskie, tupnęłaś z radości nogą: „to ja lubię!”. Ucieszyłem się i ja z tego, gdyż my, mężczyźni, sądzimy, że gdy spodobamy się kobiecie, to gra tu rolę jakiś jej osobliwy instynkt. Ale przyszła mi na myśl tajemnica — tajemnica, która pali mi serce i której wyznać Ci nie mogę, Inez.

W niedzielę spacerowaliśmy po Sutter Street i mówiłaś o pewnym antykwariuszu, weteranie literatury i socjalizmu kalifornijskiego. W Parku Lincolna usiedliśmy na porośniętym trawą stoku ponad płynnym kobaltem rzeki, naprzeciw złotego brzegu, tu, gdzie teraz siedzę i piszę do Ciebie, gdzie schwyciłaś mnie wtedy za rękę.

„Życzliwie napiszesz o San Francisco, dobrze?”

W poniedziałek przyjechałaś w aucie z Oakland, czekałem znowu przed Ferry Building i poprowadziłaś wóz do Palo Alto. Pokazałaś mi audytorium, gdzie z zespołem stanfordzkiego uniwersytetu broniłaś przeciwko zespołowi uniwersytetu Princetown tezy, że państwo nie powinno cenzurować artykułów dziennikarskich o kryminalnych aferach. Natychmiast odnalazłbym sypialnię w Robbie Hall Quart, gdzie mieszkałaś jako studentka, i dom korporacji „Kapa-Delta”, której byłaś członkinią.

We wspomniałym kościele opowiadałaś mi, że uniwersytet został ufundowany ku pamięci zmarłego piętnastoletniego synka multimilionera<sup>126</sup>. Ojciec, król kolejowy, zapytał pewnego profesora, wiele kosztowałoby założenie uniwersytetu. „Trzydzieści milionów dolarów” — brzmiała odpowiedź. „It's all right” — rzekł Mr. Stanford i zwrócił się do swej żony: „Zrobimy to?” W ten sposób powstają w Ameryce wyższe uczelnie — o dziesięć minut drogi dalej jest druga — ta w Santa Clara, znów o dziesięć minut dalej dwie inne w San Jose, metodystyczny uniwersytet Pacyfiku i katolicki Notre Dame College.

Przed willą Mr. Herberta Hoovera umocowana była lina „No thoroughfare”<sup>127</sup>, skierowaliśmy się przez ogród owocowy, gdzie kwitły drzewa migdałowe. Pokazałaś mi ławkę, na której podczas pewnej *necking-party* Twój przyjaciel chciał być czuły, a Ty stamtąd uciekłaś. „I ja, głupia, czekałam na Ciebie” — „Czy żałujesz tego?” — Roześmiałaś się. „Nie, lubię takich jegomościów. Jesteś bez wątpienia dobrym pisarzem, a nie jakimś pismakiem. Dowiem się o ciebie u doktora Hoffmanna”. O, biada!

A gdybyś poznała tę tajemnicę — Ty, która lubisz „takich jegomościów” — przygoda nasza napelniłaby Cię wstrętem.

Z Tobą i Twoim autem jechałem we wtorek wieczorem promem przez zatokę. Na brzegu zakręciłaś korbą — i nigdy już Cię nie ujrzę, Inez.

Sam idę przez San Francisco, miasto, w którym kolej uliczna chybotcze się nad falami. Odkryłem park, stromo opadający zapuszczony trawnik, Portsmouth Square, gdzie przesiadują Włosi w aksamitnych spodniach, czytając „Lavoratore”, i bawią się okrągłogłowe

<sup>126</sup>uniwersytet został ufundowany ku pamięci zmarłego piętnastoletniego synka multimilionera — Stanford University został założony przez byłego gubernatora Kalifornii, senatora Leland Stanforda i jego żonę Jane Lathrop Stanford w 1891 r. na cześć zmarłego w 1884 na dur brzuszny dwa miesiące przed swymi szesnastymi urodzinami syna, Leland Stanforda juniora. Stanfordowie twierdząc, że nic więcej nie mogą dla niego zrobić, postanowili uczynić Stanford juniora patronem uniwersytetu, „aby dzieci Kalifornii były naszymi dziećmi”. Akt założenia pochodzi z 1885 r., uniwersytet został otwarty 1 października 1891 r. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>no thoroughfare (ang.) — przejście wzbronione. [przypis edytorski]

dzieci chińskie, dzika, nędzna okolica obok Sądu Karnego i więzienia. To dobre miejsce — wszędzie na świecie można jeszcze coś odkryć.

Przeszedłem całą milowej długości ulicę Suttera, aby odnaleźć antykwariusza, o którym mi mówiłaś, Inez. I znalazłem go wreszcie. Siwowłosy Mac Devitt godzinami całymi opowiadał mi historię miasta, sztuki i walk socjalnych San Francisco. Wyszukał mi broszury i gazety, piszące o pierwszym ruchu robotniczym przeciwko chińskim obniżaczom cen, o gorączce złota 1848 roku, o niemieckim „Naprzód do Pacyfiku” i o Tomie Mooney, który z powodu tej bomby na Market Street został skazany na dożywotnie więzienie. Stary księgarz mówił o Ambrozym Bierce, poecie nietzscheaniście i jego uczniach, którzy stali się podczas wojny nacjonalistami i wszyscy skończyli samobójstwem; Jerzy Sterling i jego pierwsza żona, Jack London, Nora MacFrench. Równie pewien Niemiec amerykańskizowany poszedł w jego ślady. I on stał się nacjonalistą, aczkolwiek o odwrotnym zabarwieniu; nazywał się Herman Jerzy Scheffauer i był jedynym z tego koła, który nie popełnił samobójstwa. „Myli się pan” — zauważyłem. — „Tak?” — odrzekł Mac Devitt — więc i ten również!”

Wiele opowiadał Mac Devitt o swym przyjacielu, Jacku Londonie.

Czy wiesz, Inez, że Jack London mieszkał w Oakland i był tam socjalistycznym kandydatem? Teraz mniej odrażającym wydaje mi się to miasto, którego światła lśnią wieczorem nad zatoką. Ale Ty nie przybędziesz już do mnie rankiem.

Mac Devitt pokazał mi wydartą ze sztambuchu kartkę z wierszem Swinbourne’a, przepisany przez Jacka Londona. „Dla Doroty” — widnieje na niej; są to wiersze, które odegrały taką rolę w miłości młodego Martina Edena do córki burżuazji.

Mac Devitt odnalazł niedawno pierwszą drukowaną nowelę Londona *Dwie złote cegielki* — autor nie dowiedział się nigdy, że ukazała się ona w druku, gdyż wyjechał do Klondyke wkrótce po posłaniu jej.

„Jack London jako młody chłopak — opowiadał antykwariusz — miał zwyczaj przesiadywać na Portsmouth Square, gdzie było również ulubione miejsce Jerzego Louisa Stevensona. „Gdzie?” — „Na Portsmouth Square — stromo opadający trawnik za Sądem Karnym i więzieniem. Ale Stevenson i Jack nie znali się wzajemnie”. O, szatani, nic już nie można nigdzie odkryć na świecie!

Czy wiesz, Inez, że z pewnością przedstawiłbym ich sobie — jest to mój zawód tu na ziemi chociaż daleko mi do nich, bardzo daleko, w to możesz uwierzyć. Zresztą to jest na pewno dla Ciebie obojętne.

Och, gdyby nie było między nami tej tajemnicy! Gdybyś przeczytała ten list, roześmiałybyś się: „Jakaż to tajemnica? Żadna tajemnica nie może mi odebrać radości naszego tygodnia!” Tak. Cóż by Cię mogło obchodzić, dziewczę z Savannah, czy jestem żonatym i ojcem dziesięciorga dzieci, czy też syfilytykiem, złodziejem kieszonkowym, czy czymś w tym rodzaju, czy nigdy nie byłem pisarzem i nigdy marynarzem nic by to nie zakłóciło szczęścia naszych sześciu dni!

Sądzę jednak, Inez, że zabolaloby Cię, gdybyś usłyszała, że przyjacielem moim, z którym zaczęliśmy Cię w Los Angeles i od którego mnie wolałaś — był Charlie Chaplin.



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kisch-raj-amerykanski-czesc-druga/>

Tekst opracowany na podstawie: Egon Erwin Kisch, Targ Świata, tłum. E. Grodzki, Wydawnictwo Wspólczesne, Warszawa 1931.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Alicja Rodziewicz, Dominika Malinowska, Natalia Goździak, Paulina Choromańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).